

Eliza Orzeszkowa

Nad Niemnem



Eliza Orzeszkowa
Nad Niemnem

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=21105622

2016

Содержание

Том I	4
I	4
II	26
III	65
IV	100
V	146
VI	197
Конец ознакомительного фрагмента.	204

Eliza Orzeszkowa

NAD NIEMNEM

Tom I

I

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie jaśniało, kwitło, pachniało, śpiewało. Ciepło i radość łąły się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały znad pól porośłych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami¹ i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba ogromnym półkołem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole. Dnia tego

¹ *borek* – mały bór, lassek.

w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobróczy złotej, przepasanej jak purpurową wstęgą tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu². Na świetnym tym tle w zmieszanych z dala zarysach rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu dworków małych. Był to wraz z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole sznur siedlisk ludzkich, większych i mniejszych, wychylających ciemne swe profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami, w powietrzu czystym i spokojnym wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerynały drogi białe i trochę zieleniejące od rzadka porastającej je trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny³ i smółek⁴. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, słały się w trawach fioletowe rohule⁵, żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki⁶ i kurze ślepoty, liliowe skabiozy polne wylewały ze swych stulistnych koron

² *margiel* – odmiana skały osadowej złożonej z węglanów wapnia lub magnezu.

³ *dzięcielina* (gw.) – koniczyna.

⁴ *smółka* – kwitnąca na czerwono bylina z rodziny goździkowatych.

⁵ *rohula* – ostróżka.

⁶ *brodawnik* – mniszek lekarski.

miodowe wonie, chwiały się całe lasy słabej i delikatnej mietlicy⁷, kosmate kwiaty babki stały na swych wysokich łodygach, rumianością i zawadiacką postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków. Za tymi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już osypane drżącymi różkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane słały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyzny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdziegdzie kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołymi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

Wśród tej wesołej przyrody ludzie dziś także byli weseli; mnóstwo ich ciągnęło po drogach i miedzach. Gromadami na drogach, a sznurami na miedzach szły wiejskie kobiety, których głowy ubrane w czerwone i żółte chusty tworzyły nad zbożami korowody żywych piwonii i słoneczników. Od tych gromad lały się i płynęły po łąkach strumienie różnych głosów. Były to czasem rozmowy gwarne i krzykliwe, czasem śmiechy basowe lub srebrzyste, czasem płacze niemowląt u piersi w chustach niesionych, czasem też pieśni przeciągłe, głośne, których nutę porywały i przedłużały echa ze stron obu: w borkach i gajach rosnących na wzgórzach i w wielkim borze, który ciemnym pasem odcinał pozłoconą, przetkaną

⁷ *mietlica* – gatunek trawy.

szkarłatą ścianę nadniemeńską od wysadzanych srebrnymi obłokami błękitów nieba. W tym ruchu ludzkim odbywającym się na urodzajnej równinie czuć było najpiękniejszy dla wiejskiej ludności moment święta: wesoły i wolny w słoneczny i wolny dzień boży powrót z kościoła.

W porze, kiedy ten ruch znacznie już stawał się mniejszy, na równinie, z dala od tu i ówdzie jeszcze ciągnących gromad, ukazały się dwie kobiety. Szły one z tej samej strony, z której wracali inni, ale zboczyły znać z prostej drogi i chwilę jakąś przebyły w jednym z rosnących na wzgórzach borków. Było to przyczyną ich spóźnienia się, tym więcej, że jedna z nich niosła ogromną wież leśnych roślin, które tylko co i dość długo zapewne zrywała. Druga kobieta zamiast kwiatów trzymała w ręku niepospolitej wielkości chustkę, która za każdym jej szerokim i zamaszystym krokiem kołysząc się wraz z długim ramieniem powiewała jak sporej wielkości chorągiew. Z dala to tylko widać było, że jedna z tych kobiet miała w ręku pęk roślin, a druga szmatę białego płótna; z bliska uderzały one niezupełnie zwykłą powierzchownością.

Kobieta z chustką była niezwykle wysoka, a wysokość tę zwiększała jeszcze chudość jej ciała, które przecież posiadało szkielet tak rozrosły i silny, że pomimo chudości ramiona jej były szerokie i wydawałyby się bardzo silne, gdyby nie małe przygarbienie pleców i karku objawiające trochę znużenia i starości, gdyby także nie ostre kości łopatek podnoszące w

dwu miejscach staroświecką mantylę⁸ z długimi, co chwilę powiewającymi końcami. Oprócz tej mantyli zaopatrzonej w płócienny kołnierz miała ona na sobie czarną spódnicę, tak krótką, że spod niej aż prawie do kostek widać było dwie duże i płaskie stopy ubrane w grube pończochy i wielkie, kwieciste pantofle. Ubiór ten uzupełniony był przez stary kapelusz słomiany, którego szerokie brzegi ocieniały twarz, na pierwszy rzut oka starą, brzydką i przykrą, ale po bliższym przyjrzeniu się uwagę i ciekawość budzić mogącą. Była to mała, chuda, okrągła twarz ze skórą tak ciemną, że prawie brązową, z czołem sfałdowanym w kilka grubych zmarszczek, z wpadłymi i kościstymi policzkami, z wyrazem goryczy i złośliwości nadawanym jej przez ostrość nosa i zaciśnięcie warg, a wzmaganym przez szczególną ognistość i przenikliwość oczu. Te oczy zdawały się być jedynym bogactwem tej biednej, zestarzałej, złośliwej twarzy. Może kiedyś były one jedyną jej pięknością, a teraz, wielkie i czarne, spod czarnych, szerokich brwi oświecały ją jeszcze przejmującym blaskiem; miały one spojrzenie przenikliwe, ostre, urągliwe i płomiennosc nieustanną, jakby wciąż z wnętrza podsycaną, a dziwną przy tej szerniałej, w dłoni czasu czy losu zgniecionej twarzy. Szła szerokim, zamaszystym, do pośpiechu znać przyzwyczajonym krokiem, a długie jej ramiona, u których wisiały ciemne, kościste ręce, kołysały się u jej boków w tył i naprzód, białą, rozwiniętą

⁸ *mantyla* – najczęściej: krótki płaszcz lub chustka, lekki szal zakrywający ramiona i głowę kobiet.

chustką jak chorągwią powiewając.

Kobietę z kwiatami trudno byłoby nazwać od razu panną z wyższego towarzystwa albo też dziewczyną z niższych warstw wiejskiej ludności. Wyglądała trochę na jedno i na drugie. Wysoka, choć znacznie od towarzyski swojej niższa, ubrana była w czarną wełnianą suknię, bardzo skromną, która jednak wybornie uwydatniając jej kształtną i silną, w ramionach szeroką, a w pasie cienką kibić zdradzała znajomość żurnalu mód i rękę biegłego krawca. W wyprostowaniu jej kibici i w delikatności cery czuć było także manierę i cieplarnię. Ale w zamian ruchy jej i gesty sprzeczały się z całością jej osoby trochę popędliwości i jakby przybranej rubaszości, nie miała ona przy tym na sobie ani kapelusza, ani rękawiczek. Głowę owiniętą czarnym jak heban warkoczem i twarz śniadą, z purpurowymi ustami i wielkimi, szarymi oczami śmiało wystawiała na upalne gorąco słońca. Płócienny, tani parasolik opierała o ramię, a ręce jej dość duże i opalone zdradzały nader rzadkie używanie rękawiczek. Wszystko to uderzało tym więcej, że sposób, w jaki trzymała swą odkrytą głowę i ciemne brwi nad siwymi oczami ściągała, nadawał jej wyraz śmiałości i dumy. W ogóle ta panna czy ta dziewczyna na lat dwadzieścia parę wyglądająca wydawała się uosobieniem piękności kobiecej zdrowej i silnej, lecz dumnej i chmurnej. Pogody, jaką nadaje ludzkim twarzom szczęście lub rezygnacja, w tej młodej i świeżej, ale niespokojnej i zamyślonej twarzy nie było, jakkolwiek rozjaśniało ją teraz to zupełnie fizyczne ożywienie, którym istotę ludzką, niezupełnie jeszcze

przez życie zniweczoną, napełnia długa i swobodna kąpiel w kipiącym zdroju przyrody.

Prędko idąc, aby szerokim krokiem towarzyszki swej wyrównać, z zajęciem, prawie z miłością przyglądała się ona uzbieranej przed chwilą więzi roślin. Były tam bujne liliowe dzwonki leśne, goździki, pachnące smółki⁹, liście młodych paproci, młodzietkami szyszkami okryte gałązki sośniny. Wszystko to rzucało jej w twarz falę dzikiej i przenikliwej woni, którą też ona od chwili do chwili wciągała pełnym i długim oddechem swej silnej, szerokiej piersi. Rozkosz, którą uczuwała wtedy, i upał słońca, w którym nurzała swą odkrytą głowę, rumieńcem powlekły śniade jej policzki; zarazem surowe jej i zamyślane, choć pełne purpurowej krwi usta rozchyliły się w młodym i szczerym śmiechu. Śmiała się ze słów towarzyszki swej, która idąc wciąż prędko i wielkimi stopami swymi z wysoka i mocno o ziemię uderzając, grubym, nieco ochrypłym, przez brak oddechu często przerywanym głosem ciągnęła w borku jeszcze rozpoczęte opowiadanie.

– Ot, tu, powiadam ci, w tym samym miejscu, pomiędzy tymi wzgórkami, te głupie chłopcy wzięli mnie za cholereę... Może nie wierzysz? Słowo honoru, prawdę mówię! Jeszcze wtedy nie była w Korczynie, jeszcze mała byłaś, bo było to właśnie wtedy, kiedy ojczulek twój z tą Francuzicą romansował!...

Urwała nagle, stanęła, chrząknęła tak głośno, że aż rozległo

⁹ *smółka* – niski kwiat z rodziny roślin goździkowatych koloru czerwonego, purpurowego, bordowego i karminowego.

się po polu; chustką trzymaną w rękę jeszcze głośniej nos utarła i gniewnie do siebie zamruczała:

– Wieczna głupota moja!

Młoda panna, której na chwilę twarz znieruchomiała, uśmiechnęła się znowu.

– Co tam! Niech ciocia na to nie zważa! Jaż wiem dobrze o wszystkim i z przeszłością oswoiłam się zupełnie... Przecież ciocia nie przez złośliwość pewno... Co tam! Jakże to było z tą cholera?

Zaczęły iść dalej, tak samo prędko jak wprzód. Stara mówiła znowu:

– Ot, jak było. Z kościoła wracałam, tak jak i teraz, a śpieszyłam bardzo, bo Emilka była chora i goście mieli na obiad przyjechać... Więc leciałam co tchu, wprost przez pole, które wtedy ugorem stało, przez puste zagony... Co dam krok, to półtora zagona przesadzę... Wprost jakbym nad ziemią leciała... A miałam na sobie zieloną suknię... jeszcze wtedy kolorowe suknie nosiłam... Kapelusz taki, ot, słomkowy zdjęłam i dla ochłody machałam nim sobie przed twarzą... Uf! nie mogę...

Zdyszała się, stanęła znowu i zaczęła kaszleć. Kaszel jej był gruby, chrypliwy, głośny, jakby dobywał się z głębi beczki. Mało jednak zwracała nań uwagi i zaraz idąc znowu opowiadała dalej:

– Cholera wtedy grasowała po świecie; w naszych stronach jej jeszcze nie było, ale ludzie lękali się, aby nie przyszła... Otóż, kiedy mnie chłopci wracający z kościoła zobaczyli tak lecącą polem, jak narobią krzyku, płaczu... Jedni zaczęli uciekać i

biec tak prędko, jakby ich diabeł gonił, drudzy popadali pośród dróg na kolana i nuż żegnać się, czołami bić o ziemię, pacierze głośno mówić... „Cholera! – krzyczą – ot i już bieży, nam na zgubienie!” „Ale! – odpowiadają drudzy – już to nie co innego! Cholera i koniec! Wielka taka, że głową nieba dostaje, w zielonej sukni i złotą łopatą macha!” Ta łopata, uważasz, to był mój kapelusz na słońcu błyszczący... prawda, że go też dobrze spłaszczyłam, bo zdjąwszy w kościele z powodu gorąca i nie mając gdzie podziać, położyłam go na ławce i przez całe nabożeństwo na nim siedziałam... Uf! nie mogę...

Znowu zabrakło jej oddechu, chrząkała, nos ucierała i chwilę szła milcząc.

– I cóż się stało potem? – zapytała młoda panna.

– A cóż? Daremnie ekonom, który jak raz wtedy wracał też z kościoła, i Bohatyrowicze, którzy mnie kiedyś znali, z bliska nawet znali, perswadowali chłopom, że to nie była cholera, tylko panna Marta Korczyńska z Korczyna, kuzynka pana Benedykta Korczyńskiego... Nie uwierzyli i do dzisiejszego dnia nie wierzą... „Ot – mówią – czy to taka kobieta może gdzie być na świecie? Głowę do nieba dostawała, nad ziemią leciała, zieloną suknię miała na sobie i złotą łopatą machała, morowe powietrze przed sobą pędząc...” Wieczna głupota ludzka! Powiadam ci, Justynko, że ludzka głupota to wielki i wieczny kamień. Większy on jeszcze od ludzkiej złości. Już ja to wiem, bo był czas, że i sama tak uderzyłam się o swoją własną głupotę, że... Uf! nie mogę...

Sapała, chrząkała, kaszłała znowu głośno jak z beczki. Justyna policzki i usta topiąc w dzwonekach¹⁰, paprociach i gwoździkach zauważyła:

– Przecież cioci te niemądre gadania nic nie zaszkodziły...

Czarne oczy Marty Korczyńskiej spojrzały ostro, prawie zjadliwie.

– Tak myślisz? – sarknęła – wiecznie to samo. Nikt nie uwierzy w to, czego sam nie doświadczył. Nie zaszkodziły! Pewno, nie zjadły mnie one, ale... ukąsiły. Czy ty myślisz, że to miło być wziętą za cholere? Nie byłam ja wtedy tak stara... dwanaście lat temu miałam lat trzydzieści sześć...

– Więc teraz czterdzieści osiem? – z niejakim zdziwieniem zauważyła Justyna.

– A ty może myślałaś, że sześćdziesiąt? – ostro zaśmiała się Marta. – Zapewne wyglądam na tyle, sama to wiem, a i wtedy już niewiele lepiej jak wyglądałam. Może nie wiesz dlaczego? Ha? Czy wiesz, dlaczego?

– Wiem – z powagą odpowiedziała panna.

– No, to dobrze, że wiesz, bo może zrobisz co takiego, abyś i sama prędko na cholere wyglądać nie zaczęła...

Justyna ramionami wzruszyła.

– A cóż ja takiego zrobić i co przeciw temu poradzić mogę?

Zamyśliły się obie i mimo woli zwolniły kroku, co najpierw spostrzegła starsza.

¹⁰ *dzwonek* – kwiat o kształcie dzwonka, najczęściej koloru białego i fioletowego; głównie spotykany w górach.

– No, wleczem się jak żółwie. Prędeży, bo już tam Emilka wyrzeka pewno, że nie wracam, i zaczyna dostawać migreny albo globusa...¹¹

– A Terenia – podchwyciła panna – biegnie po krople z bobrowej esencji albo po proszki bromowe, albo po antymigrenowy ołówek¹², albo po Rigollot¹³.

Zaśmiała się, lecz wnet spowaźniała znowu.

– Wujenka jest naprawdę biedna z tym ciągłym chorowaniem. Marta kiwnęła głową i machnęła ręką.

– A pewno – rzekła – biedna kobieta! Ale bo, widzisz, żeby tak pchły pieścić, jak ona swoje choroby pieści, to by na wołów powyrastały, słowo honoru!

W tej chwili za rozmawiającymi rozległ się turkot powozu; droga była w tym miejscu wąska, zeszły więc na stronę. Szły samym skrajem pola porośniętego gęstą pszenicą. Biała i sucha kurzawa owiała je wielkim kłębem, o tyle jednak przezroczystym, że rozpoznać w niej było można zgrabny faeton¹⁴, ciągnięty przez cztery piękne, błyszczącą uprzężą okryte konie i dwu siedzących w faetonie mężczyzn. Widziały

¹¹ *globus* (łac. pełna nazwa: *globus histericus*) – kula histeryczna; daw. nazwa znanego objawu zaburzeń nerwicowych polegającego na uczuciu utrudniającego przełykanie i oddychanie ucisku w przełyku.

¹² *antymigrenowy ołówek* – sztyft parafinowo-mentolowy stosowany dla złagodzenia bólu głowy.

¹³ *Rigollot* (daw.) – plaster gorczycowy; eponim od nazwiska lekarza fr., będącego wynalazcą tego środka stosowanego przy bólach mięśniowo-stawowych.

¹⁴ *faeton* – lekki powóz używany do spacerów.

też, że obaj mężczyźni, spostrzegłszy je, podnieśli nad głowami czapki, a jeden z nich nawet przechylając się nieco ku nim zawołał:

– Święte panny: Marto i Justyno, módlcie się za nami!

Marta z rozżarzonymi oczami i machając ku powozowi swą białą chustą odkrzyknęła:

– A modliłam się, modliłam się, aby Bóg panu rozum przywrócić raczył!

Wykrzykowi temu odpowiedział z oddalającego się szybko powozu wybuch śmiechu, widocznie basowy i ochryply głos Marty przedrzeźniającego. Na twarzy Justyny wybił się wyraz silnie uczutej przykrości, prawie udręczenia.

– Boże! – szepnęła – a ja miałam nadzieję, że ten człowiek dziś już do nas nie przyjedzie, że go ten pan Różyc do siebie na obiad zaprosi...

– Nie głupi on! – odpowiedziała Marta. – Zapewne Różyc zaprosił go do swego powozu; wołał więc swoje szkapiny do domu odprawić, a sam i w cudzym faetonie poparadować i u nas cudzy obiad zjeść... dwie razem korzyści dla hultaja tego...

Justyna była widocznie zaniepokojona. Już pachnąca więź¹⁵, którą trzymała w ręku, zajmować ją przestała.

– Ciekawam – szepnęła – jaką to komedię mieć dziś będziemy?

Marta spojrzała na nią przenikliwie i ciszej trochę rzekła:

– O papuńcie swego lękaś się, ha? Ten błazen wieczne

¹⁵ więź – bukiet.

facecje¹⁶ wyprawia z tym safandulą...

Tu aż się za wklęsłe usta swoje wielką ręką chwyciła.

Po czole, ustach i nawet ramionach Justyny przebiegło drgnienie nagle jakby uczutego obrzydzenia; wnet jednak odpowiedziała:

– Niech ciocia śmiało wszystko przede mną mówi. Ja dawno już rozumiałam położenie ojca i swoje, dawno, dawno... ale oswoić się z nim nie mogę, i nigdy, nigdy z nim się nie pogodzę...

Marta zaśmiała się.

– Ot. Lubię takie gadanie! Ciekawam, co zrobisz? Musisz pogodzić się albo powieszysz się chyba czy utopisz się... Każdy desperuje z początku, a potem i godzi się z takim losem, jaki mu Bóg czy diabeł nasyła. Bo aby wszystkie losy ludzkie były robotą Pana Boga, w to ani trochę nie wierzę. Spowiadałam się już z tego i raz nawet absolucji¹⁷ od księdza nie dostałam, jednak nie wierzę... Powiadam ci, że każdy z początku desperuje, a potem jak baran na rzeź spokojnie swoją drogą idzie... Uf! nie mogę!

Zakaszła się tak, że aż jej oczy łzami zaszczyły. Krztusząc się jeszcze, tymi załzawionymi oczami na towarzyszkę popatrzała.

– Ty bo, Justynko, straszną melancholiczką jesteś! Czemu nie robisz tak jak i inne panny? Z łaski wuja i wujenki korzystaj, strój się, kiedy cię stroić chcą, baw się, gdy tylko zdarzy się okazja, mizdrz się do kawalerów, a może którego złapiesz i za mąż wyjdiesz... ha? Słowo honoru! Czemu ty tak nie robisz?

¹⁶ *facecja* – żart, dowcip.

¹⁷ *absolucja* – rozgrzeszenie.

Justyna nie odpowiadała. Szła prosto i równym krokiem jak wprzód, tylko w rozpalonych i zamyślonych jej oczach błysnęły łzy.

– Phi! – zaśmiała się Marta – melancholiczką jesteś... i dumna jak księżniczka. Od wujostwa nic przyjmować nie chcesz, ze swoich procencików ubierasz siebie i ojca, trzewiki nawet oszczędzasz, tak że czasem boso chodzisz, kapelusza i rękawiczek nie nosisz...

– O, niech ciocia tak nie myśli! – porywczo prawie zawołała Justyna. – Ja ani kłamać, ani udawać nie chcę! Prawda, że zawsze łamię sobie głowę, aby mnie i ojcu tych kilku własnych naszych groszy na odzienie przynajmniej wystarczyło... Ale boso czasem chodzę i kapeluszków ani żadnych drogich rzeczy nie noszę nie tylko dlatego... nie tylko dlatego...

– To i dlaczegóż? No, dlaczegóż? – błyskając oczami dopytywała się stara panna.

– Dlatego – z nagłym i silnym rumieńcem odparła Justyna – że dawno już odechciało mi się ich strojów i zabaw, ich poezji i ich miłości... Żyję tak, jak oni wszyscy, bo skądże sobie wezmę innego życia, ale jeżeli mogę zrobić co inaczej niż oni, po swojemu robię i nikogo to obchodzić nie powinno.

Marta przypatrywała się jej przenikliwie i z uwagą.

– A wszystko to – rzekła – poszło od tej historii twojej z Zygmuśkiem Korczyńskim... prawda? Cha! cha! Myślałaś wtedy pewno, że cię otwartymi ramionami spotkają i do rodziny swojej wprowadzą... bo i tak przecie krewną im przychodzisz... A oni

tymczasem... gdzie! Ani pomyśleć o tym nie dali mazgajowi temu... Cha! cha! wiem ja to wszystko, wiem! Wieczna głupota ludzka!

Justyna ze wzrokiem w ziemię wbitym milczała.

– No, a myśliszże ty jeszcze czasem o tym mazgaju? Serce... boli jeszcze czasem?

– Nie.

Z krótkiej tej odpowiedzi poznać można było, że panna Justyna mówić nie chce o przedmiocie przez starszą jej towarzyszkę zaczepionym. Tylko już wszelki cień uprzedniego ożywienia zniknął z jej twarzy. Zmysły jej przestały pić z kielicha rozkwitłej przyrody rozkoszny napój zapomnienia. Gryząca troska przejrzała się w zwierciadle jej szarych, przezroczystych źrenic; jakieś wspomnienia czy wstręty opuściły w dół końce pąsowych warg, nadając im wyraz znudzenia i goryczy. Wtem na drodze za dwoma idącymi kobietami zaturkotały znowu koła, tylko nieco inaczej niż wprzódy. Nie był to głuchy i do cichego grzmotu podobny turkot faetonu, ale klekotliwe trochę i z lekkim skrzypieniem połączone toczenie się kół prostego wozu. Kurzawa też podniosła się znacznie mniejsza, opadła prędko i dwie kobiety, obejrzawszy się ujrzały za sobą długi wóz napełniony słomą, którą z obu boków przytrzymały drewniane drabiny, a okrywał wzdłuż wozu rozesłany, pasiasty i barwisty, na domowych, wiejskich krosnach utkany kilimek¹⁸. Wóz ten ciągnęła para koników małych, tłustych, z których

¹⁸ *kilim* – ozdobny, kolorowy dywanik, najczęściej wieszany na ścianę.

jeden był kasztanowaty¹⁹ z konopiastą grzywą, a drugi gniady²⁰ z białymi nogami i białą łatką na czole. Oplatała je z rzadka uprząż z prostych, grubych powrozów. Gdyby nawet koła tego wiejskiego ekwipażu nie turkotały wcale, a ciągnące go drobnym truchtem koniki stapały bez najlżejszego szelestu, zbliżenie się jego dałoby znać o sobie przez unoszący się zeń wielki gwar głosów. Napełniało go towarzystwo liczne. Na słomie okrytej pasiastym kilimkiem, pomiędzy okrągłymi poręczami drabin, siedziało kilka kobiet, z których jedna tylko była niemłoda, w ciemnej chustce na plecach i wielkim czepcu na głowie, inne zaś, niby klomb ogrodowy, kwitły rumieńcami twarzy i jaskrawymi barwami ubrań. Było im tak ciasno, że siedziały w różnych postawach i kierunkach, twarzami, bokami i plecami ku sobie zwrócone, ściśnięte jak kwiaty w bukiecie. Jednym z nich w tym ścisisku chustki z głów pospadały i tworzyły na plecach kapiszony z muślinu albo perkalu; innym kosy²¹ nawet czarne albo złociste rozwinęły się na błękitne albo różowe staniki, a u wszystkich nad uszami i przy skroniach zwieszały się albo sterczały wetknięte we włosy pąsowe, liliowe i żółte kwiaty. Wóz trząśł nimi i silne

¹⁹ *kasztanowaty* – określenie maści (a więc barwy sierści) konia; maść kasztanowata to taka, w której włosy na ciele, w grzywie oraz ogonie konia są brązowej lub złocistej barwy; możliwe są natomiast tzw. odmastki, czyli np. biała skarpetka na nodze lub gwiazdka na czole.

²⁰ *gniady* – określenie maści konia; maść gniada to taka, w której włosy tułowia są barwy brązowej, czekoladowej lub złocistobrązowej, zaś sierść nóg i pyska ciemniejsza lub całkowicie czarna, a włosy grzywy i ogona czarne lub ciemnobrązowe.

²¹ *kosa* – tu: warkocz.

ich kibicie chwiały wciąż w kierunki różne, chwytaly też drabiny ciemnymi rękami albo czepiały się wzajem swych ramion i sukien śmiejąc się i gadając głośno i wszystkie razem. W tym gwarnym ogródku było tak ciasno, że woźnicy zabrakło miejsca do siedzenia: kierował on końmi stojąc u samego brzegu wozu, a można by przypuścić, że postawę tę przybrał nie z konieczności, ale przez zalotność, dlatego aby w najkorzystniejszym świetle wydać się współtowarzyszkom podróży. Był to mężczyzna trzydziestoletni, wysoki i tak zgrabny, jakby go matka natura z lubością i wielkim staraniem na łonie swym wyhodowała. Tymczasem nie co innego, tylko ciężka praca około zdobywania jej darów, gorące jej żary letnie i dzikie polne powiewy nadały temu ciału taką harmonię i siłę, że trzęsący się i podskakujący wóz nie mógł zmącić ani na chwilę jego prostych i wyniosłych linii. Od ogorzałej cery jego twarzy silnie odbijały złociste, bujne wąsy i jasnozłote włosy, opadające spod czapki na kołnierz szarej, krótkiej kurty, ku ozdobie zapewne zieloną taśmą oszytej. Niedbale w ogorzałych rękach trzymając lejce i nie odwracając twarzy ku wiezionym przez się kobietom, odpowiadał wesoło na zapytania ich i przycinki, czasem męski śmiech swój łączył z chórem cienkich, piskliwych śmiechów dziewcząt.

Marta i Justyna zatrzymały się u brzegu drogi, w cieniu wierzby, której kwiat podobny do zielonawych robaczków osypywał im suknie i głowy. Marta w kierunku jadących machnęła swą białą chustką i niezwykle u niej przyjaznym głosem krzyknęła:

– Dobry wieczór, panie Bohatyrowicz! Dobry wieczór!

Woźnica szybko zdjął czapkę, odkrywając czoło mniej opalone od reszty twarzy, gładkie i pogodne.

– Dobry wieczór! – odpowiedział.

– Dobry wieczór! – chórem krzyknęły dziewczęta.

– A skądżeś to pan wziął tyle dziewcząt? – zawołała znowu stara panna.

– Po drodze jak poziomki uzbierałem – nie zatrzymując koni, ale tylko zwalniając nieco ich biegu odpowiedział zagadnięty.

Jedna z dziewczyn, najśmielsza znać, przechylając się przez drabinę wozu i białymi zębami błyskając, głośno prawić zaczęła:

– Piechotę, proszę pani, słyśmy... a on nas napędził, tośmy mu kazały, aby nas zabrał...

– Oho! Kazały! – zażartowała Marta.

– A jakże! – potwierdziła dziewczyna z wozu – czy ja nie mam prawa jemu nakazywać? Jaż jego strieczna²² siostra! Dla siostry szacunek mieć powinien! Bardzo słusznie!

W tej chwili wóz zrównał się ze stojącymi pod wierzbą kobietami, woźnica po raz drugi zdjął czapkę i spojrzenie jego z wysoka spłynęło na Justynę. W tym szybkim spojrzeniu dostrzec można było, że oczy woźnicy błękitne były jak turkusy i że w tej chwili przeleciała w nich błyskawica. Ale wnet włożył na głowę czapkę, twarz znowu ku drodze zwrócił i poruszywszy lejcami zawołał na konie, aby szły prędzej.

Wóz zaczął toczyć się prędzej. Justyna z zaciekawieniem

²² *strieczna* (gwar.) – *stryjeczna*.

i figlarnością w oczach, z rozchyłonymi w uśmiechu ustami podskoczyła i gestem wesołym, który by nawet wykwintnemu oku mógł wydać się rubasznym, rzuciła na jadące kobiety swoją więź gałęzi i kwiatów. Na wozie wybuchnęły śmiechy, dziewczęta chwyciły rozsypane kwiaty, niektóre z nich wołały:

– Dziękujemy! Dziękujemy panience!

Ale woźnica nie obejrzał się i nie zapytał o przyczynę powstałego na wozie gwaru. Zamyślił się o czymś tak bardzo, że aż głowę, którą przedtem wysoko trzymał, trochę pochylił.

Dwie kobiety iść znowu zaczęły. Marta mówiła:

– Ten Janek Bohatyrowicz na pięknego i dzielnego chłopaka wyrósł... Znałam go dzieckiem... Znałam ich kiedyś wszystkich... kiedyś... dobrze i z bliska...

Zamyśliła się, mówiła ciszej trochę niż zwykle.

– Był, uważasz, taki czas krótki, że ci Bohatyrowicze u nas we dworze bywali i do stołu z nami siadali... mianowicie, ojciec tego Janka, Jerzy, i stryj jego, ten Anzelm Bohatyrowicz, co to teraz podobno schorowany i melancholikiem jakimś stał się... Jednakowoż jaki to był kiedyś mężczyzna... przystojny, odważny, patriota... romansowy... Do takiej poufałości wtedy pomiędzy dworem a tą szlachecką okolicą przyszło, że siadę sobie, bywało, do fortepianu i akordy biorę, a Anzelm za mną stanie i śpiewa: „Bywaj, dziewczę, zdrowe, ojczyzna mię woła!” A potem ja jemu śpiewam: „Szumiała dąbrowa, wojacy jechali...” Będzie temu już lat dwadzieścia dwa... trzy... Jaki to był gwar u nas, jakie życie i moje, i wszystkich... A teraz

wszystko inaczej... inaczej... – wieczny smutek...

Mówiła to coraz powolniej, głową kiwała, a ogniste jej oczy nieruchomo tkwiły w dalekim punkcie przestrzeni. Wtem znad wozu, który oddalił się o kilkadziesiąt kroków, z towarzyszeniem klekotliwego turkotu kół wzniósł się czysty i silny głos męski z całej szerokiej piersi śpiewający strofę starej pieśni:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,

A ja doliną;

Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,

A ja kaliną.

Justyna z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi w uśmiechu usta słuchała pieśni, która dalej rozlewała po polach swą rozgłośną i smętną nutę:

Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,

A ja łożami;

Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,

Ja mymi łzami...

– Słowo honoru! – nagle i najgłębszym swym basem zawołała Marta – i my kiedyś z Anzelmem śpiewaliśmy ten sam duet...

Na wozie stojący wysoki mężczyzna w znacznym już od dwóch kobiet oddaleniu śpiewał dalej:

Ty jesteś panną, ty jesteś panną

Przy wielkim dworze;

A ja będę księdzem, a ja będę księdzem

W białym klasztorze...

– Ot – sarknęła Marta – w pieśni jest „będziesz” nie „jesteś”.

Dlaczego on śpiewa „jesteś”? Przerabia sobie stare pieśni, błazen!

Justyna uwagi tej nie słyszała. Gorący płomień przemknął w jej oczach.

– Pyszny głos! – szepnęła.

– Nieszpetny – odpowiedziała Marta. – Pomiedzy nimi często znajdują się piękne głosy i śpiewacy z nich zawołani... I ten Anzelm kiedyś, gdzie tylko, bywało, obróci się... śpiewa.

Z daleka już, z daleka od toczącego się wozu przy płynęła jedna jeszcze strofa:

A jak pomrzemy, a jak pomrzemy,

Każemy sobie

Złotne litery, złotne litery

Wyryć na grobie...

Stara panna stanęła nagle pośród drogi, podobna do wysokiego słupa ubranego w słomiany kapelusz i stojącego na dwu wielkich nogach w kwiecistych pantoflach. Wzrok w twarzy młodej dziewczyny utkwiała, wspomnienia i rozczulenia jakież pracowały w jej chrypliwie oddychającej piersi, aż krzyknęła prawie:

– A koniec tej pieśni znasz? Naturalnie, że nie znasz! Teraz już jej nikt... oprócz nich... nie śpiewa...

Ramiona rozkrzyżowała i grubym, ochryplym głosem zadeklamowała:

A kto tam przyjdzie albo przyjedzie,

Przeczyta sobie:

Złączona para, złączona para

Leży w tym grobie!

– Ot, jaki koniec! – powtórzyła i wnet szerszymi jeszcze jak wprzódki krokami i mocniej ramionami rozmachując poszła dalej.

Wóz napełniony wiejskimi dziewczętami wtoczył się pomiędzy szare domostwa i gęste ogrody wsi, długim sznurem rozciągniętej nad brzegiem wysokiej góry, u której stóp w falach swych błękit nieba i ciemny bór odbijając płynął cichy, spokojny Niemen.

II

W korczyńskim dworze na rozległym trawniku dziedzińca rosły wysokie i grube jawory otoczone niższą od nich gęstwiną koralowych bzów, akacji, buldenezów²³ i jeszcze niższą jaśminów, spirei²⁴ i krzaczastych róż. Dokoła starych, kiedyś kosztownych sztachet, topole, kasztany i lipy ścianą gęstej zieloności zakrywały drewniane gospodarskie budynki. U zbiegu dwu dróg okalających trawnik i rosnące wśród niego potężne grupy drzew i krzewów stał dom drewniany także, niepobielony, niski, ozdobiony wijącymi się po jego ścianach powojami, z wielkim gankiem i długim rzędem okien mających kształt nieco gotycki. Na ganku pomiędzy oleandrowymi²⁵ drzewami, rosnącymi w drewnianych wazonach, stały żelazne kanapki, krzesła i stoliki. Naprzeciw gospodarskich zabudowań wznosiła się nad sztachetami gęsta zieloność starego znac, bo w aleje z grubych drzew wysadzanego, ogrodu. Dalej widać było u jednego z krańców ogrodu przeświecający przez zieloność ów wysoki, w słońcu złocisty brzeg Niemna, a z niektórych punktów dziedzińca widzialna była i sama rzeka, szeroka, w tym miejscu

²³ *buldenez* – krzew ozdobny, należący do odmiany kaliny, o dużych, kulistych, najczęściej białych kwiatostanach.

²⁴ *spirea* – inaczej: tawuła; krzew ozdobny, należący do rodziny różowatych; drobne kwiaty kształtują duże grona; spirea może kwitnąć na czerwono, różowo, żółto i biało.

²⁵ *oleander* – wiecznie zielone drzewo ozdobne o dużych czerwonych, różowych lub białych kwiatach i skórzastych liściach.

okrągłym łukiem skręcająca się za bór ciemny.

Nie był to dwór wielkopański, ale jeden z tych starych, szlacheckich dworów, w których niegdyś mieściły się znaczne dostatki²⁶ i wrzało życie ludne, szerokie, wesołe. Jak działa się tu teraz, aby o tym wiedzieć, trzeba było dowiadywać się z bliska, ale co w oczy od razu wpadało, to wielka usilność o zachowanie miejsca tego w porządku i całości. Jakaś ręka gorliwa i pracowita zajmowała się wciąż jego podpieraniem, naprawianiem, oczyszczaniem. Sztachety psuły się tu po wielokroć, ale zawsze je naprawiono, więc choć połatane, stały prosto i dobrze strzegły dziedzina i ogrodu. Stare również gospodarskie budynki miały silne podpory, a w wielu miejscach nowe strzechy i nowe pomiędzy drewnianymi ścianami słupy z kamieni. Stary dom niski był i widocznie z każdym rokiem więcej wsuwał się w ziemię, lecz z dachem gontowym i jasnymi szybami okien nie miał wcale pozoru ruiny. Rzadkich, kosztownych kwiatów i roślin nie było tu nigdzie, ale też nigdzie nie rosły pokrzywy, łopuchy, osty i chrzany, a stare drzewa i dawno znać zasadzone, bo potężnie rozrosłe krzewy wyglądały świeżo i zdrowo. Dworowi temu, w którym jednak widocznie wciąż się coś psuło i naprawiane było, w którym widocznie także nic od dawna nie dodawano i nie wznoszono, ale tylko to, co już stało i rosło, przechowywano, porządek, czystość i dbałość nadawały pozór dostatku i prawie wspaniałości. Wielkość zajmowanej przezeń przestrzeni, niezmierne bogactwo

²⁶ *dostatek* – bogactwo.

napełniającej go roślinności, sama nawet starość niskiego domu i niejaka dziwaczność gotyckich jego okien wywierały wrażenie powagi, wzbudzały mimowolną poezję wspomnień. Mimo woli wspomnieć tu trzeba było o tych, którzy sadzili te ogromne drzewa i żyli w tym stuletnim domu, o tej rzece czasu, która nad tym miejscem przepłynęła, to cicha, to szumna, lecz nieubłagane unosząca z sobą ludzkie rozkosze i rozpacz, grzechy i – prochy.

Wnętrze domu posiadało te same, co i dwór cały, cechy dawnego bogactwa chronionego przez czujne i niestrudzone starania od rozpadnięcia się w łachmany i próchno. W obszernych, niskich i dobrze oświetlonych sieniach sterczały na ścianach przed wielu już zapewne dziesiątkami lat umieszczone ogromne rogi łosi i jeleni; pomiędzy nimi wisiały uschłe wieńce ze zboża przetykanego czerwienią kalinowych i jarzębinowych jagód; naprzeciw drzwi wchodowych wschody²⁷ wąskie, niegdyś wykwintne, a dziś ślady tylko dawnej politory noszące, prowadziły do górnej części domu. Z tych sieni dwoje drzwi na oścież rozwartych wiodło z jednej strony do obszernej sali jadalnej, z drugiej – do wielkiego o czterech oknach, salonu. Oba te pokoje dostatecznie zapełniały sprzęty, które, jak z kształtu i gatunku ich wnosić było można, kupionymi były przed dwudziestu przeszło laty i kosztowały wiele; teraz przecież ukazywały się na nich tu i ówdzie niewprawną ręką wiejskiego rzemieślnika dokonane sklejenia i naprawy, a drogą

²⁷ *wschody* – schody.

materię, która niegdyś okrywać je musiała, zastąpiła zupełnie tania i pospolita. Obicia na ścianach, tak jak i sprzęty, niegdyś kosztowne i piękne, a teraz postarzałe i spłowiałe, błyskały jeszcze tu i ówdzie złożonymi bukietami i arabeskami²⁸, zakrywało je zresztą w znacznej części kilka pięknych kopii ze sławnych obrazów i kilkanaście rodzinnych portretów w staroświeckich, ciężkich, z wytartą pozłotą ramach. Podłogi były tam woskowane i błyszczące, niskie sufity białe i czyste, drzwi staroświeckie, ciężkie, z błyszczącymi brązowymi klamkami, dywany duże i spłowiałe. W rogu salonu piękny fortepian, u okien ze smakiem ustawione grupy zielonych roślin. Widać było wyraźnie, że od lat dwudziestu nic tu nie przybyło, ale i nic nie ubyło, a to, co brudził, łamał i rozdzierał czas, ktoś ciągle oczyszczał, zszywał i naprawiał. Sprawiało to wrażenie pilnej pracy, usiłującej zwolnić, może zupełnie powstrzymać, stopniowo, lecz nieubłaganie proceder swój wiodącą przemianę bogactwa w nędzę.

W przyległym wielkiemu salonowi pokoju, którego okno, jak i okna salonu, wychodziło na błękitniejący zza rzędu starych klonów Niemen, znajdowało się towarzystwo złożone z osób czterech. Pokój ten miał pozór gabinetu wykwintnej kobiety. Wszystko tu było miękkie, ozdobne i wbrew temu, co działo się w innych częściach domu, dość jeszcze nowe. Obicie osypane

²⁸ *arabeska* – wzór złożony z ułożonych symetrycznie elementów geometrycznych oraz motywów roślinnych; tradycyjnie wykorzystywany w kulturze arabskiej (stąd nazwa).

bukietami polnych kwiatów miało pozór nieco sentymentalny; gotowalnia²⁹ okryta zwojami białego muślinu połyskiwała kryształowymi i porcelanowymi cackami; na etażerkach³⁰ leżały książki, stały zgrabne koszyki i pudełka z przyborami do ręcznych robót. Materia okrywająca sprzęty paśową barwą swą sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie świetności.

Z tymi wszystkimi szczegółami sprzeczała się atmosfera pokój ten napełniająca. Była ona duszna i pełna zmieszanych zapachów perfum i lekarstw; ponieważ zaś okno i drzwi od przyległych pokoiw ścielnie były zamknięte, pokój ten przypominał pudełko apteczne oklejone papierem w kwiatki i napełnione wonią olejków i trucizn. W rogu tego pokoju na paśowym szezlongu we wpołleżającej postawie siedziała kobieta w czarnej jedwabnej sukni, z kibicią zbyt szczupłą, ale mającą w kształtach swych i ruchach wiele delikatnego wdzięku, z twarzą kiedyś znać zupełnie piękną, a i dziś jeszcze pomimo przywiednięcia i zbytecznej chudości uderzającą niezmierną delikatnością płci; wielkością czarnych oczu o powłóczystym, łagodnym spojrzeniu, bujnością czarnych, starannie ułożonych włosów. Jakkolwiek skądinąd wyglądała na lat blisko czterdzieści, nie miała ani jednego siwego włosa, i jakkolwiek kibić jej i cera zdradzały do niedołęstwa posuniętą fizyczną słabość, drobne jej wargi były paśowe i świeże jak u

²⁹ *gotowalnia* – ozdobna toaletka z ruchomym lustrem, niekiedy składająca się z trzech części: dwóch ruchomych skrzydeł i części środkowej.

³⁰ *etażerka* – ozdobny mebel złożony z umiejscowionych jedna pod drugą półek.

młodziutkiej dziewczyny. Rączki drobne, tak chude i delikatne, że prawie przezroczyste, tak pielęgnowane, że paznokcie ich posiadały kolor listka róży i połysk polityry. Z wyrazem niemocy lub słodkiej rezygnacji splatała je ona i opuszczała na suknię albo rozmawiając czyniła nimi gesty rzadkie, drobne, powolne, objawiające śmiertelną obawę przed wszelkim żywszym i choćby odrobinę energiczniejszym poruszeniem ciała czy ducha.

Była to pani Emilia Korczyńska, od lat dwudziestu paru żona Benedykta Korczyńskiego, właściciela odziedziczonego przezeń po ojcach i dziadach Korczyna.

Naprzeciw pani domu siedziała kobieta na pierwszy rzut oka wcale do niej niepodobna, ale po przypatrzeniu się mająca z nią mnóstwo podobieństw. Zdawałoby się, że każda z nich należała do innego gatunku, ale do tej samej rodziny istot. Nieco młodsza, mniej widać piękna za młodu, więc teraz zupełnie już nieładna, była ona zarówno szczupła i delikatna, słodka i cierpiąca; tak samo jak tamta splatała i opuszczała ręce, takie same czyniła gesty, taki sam miała głos smutny i osłabiony. Tylko zamiast pięknego stroju pani Emilii ubiór jej składał się z taniej i wcale nieozdobrej sukienki, z grubego obuwia i z cieniutkiej, batystowej³¹, mocno przybrudzonej chustki, która zakrywając połowę jej brody, uszy i część włosów, małymi kończykami wężła sterczała nad ogromnym i widocznie przyprawnym³²,

³¹ *batyst* – delikatna, przezroczysta tkanina, z której szyte są elementy garderoby; służąca także do ozdabiania wnętrza.

³² *przyprawny* – dziś popr.: przyprawiony; dodany, dosztukowany.

bo mocno zrudziałym warkoczem. Zapewne bolały ją zęby, ale niezbyt silnie, bo z owalnej ramy białobrudnej chustki wychylająca się twarzyczka, drobna, okrągła, przywiedła, niezmiernie czule, prawie miodowo uśmiechała się błękitnymi oczami i przywiedłymi ustami. Uśmiechała się ona w ten sposób do dwu z obu jej stron siedzących mężczyzn, z kolei zwracając się ku jednemu i drugiemu, przy czym szyja jej, biała i okrągła, czyniła ruchy łabędzia schylającego głowę ku wodzie albo synogarlicy³³ wyciągającej dziób ku kawałkowi cukru. Widoczne było, że ludzie ci byli dla niej tym, czym woda dla łabędzia lub cukier dla synogarlicy. Słów ich słuchała więcej niż z wyteżoną uwagą, bo z uszanowaniem i rozkoszą, wtórując im przymilonymi uśmiechami, miodowymi spojrzeniami i cieniutkimi wykrzyknikami. Jednak żaden z nich w tej chwili bezpośrednio nie zwracał się do niej i nawet na nią nie patrzył. Tylko co przybyli, zabawiali rozmową swą panią domu, która także wydawała się ich przybyciem bardzo zadowolona. Właściwie jeden z nich głównie zabawiać ją usiłował i ona też więcej i czulej na niego niż drugiego patrzyła. Nie był jednak ponętny. Średniego wzrostu, niemłody, w bardzo starannym i modnym ubraniu, z przodem koszuli tak silnie nakrochmalonym, że wzdymał się mu na piersiach jak wklęsła płócienna tarcza. Bolesław Kirło miał okrągłą łysinę z tyłu głowy, włosy rzadkie nad niskim czołem, twarz długą, kościstą,

³³ *synogarlica* – gatunek ptaka z rodziny gołębiowatych o szarym lub beżowym upierzeniu.

z małymi, błyszczącymi oczami, ostrym nosem, wklęsłymi ustami, tak starannie wygoloną, że aż na policzkach i brodzie błyszcząca. Brzydką tę twarz oświecała wielka i nigdy, zda się, nie ustająca wesołość. Z wesołym śmiechem, błyskając małymi oczami opowiadał on, że z panem Róźycem z kościoła do Korczyna jadąc widział na polu dwie gracje³⁴. Na mitologicznym tym wyrażeniu nacisk kładąc, z rubasznym śmiechem wołał:

– Gracje, jak Boga kocham, dwie gracje... Jedną, no to już bym każdemu darował, bo stara i zła; ale druga... ho, ho, prawdziwa gracja, niech pan Róźyc powie! Cukierek! Talia zgrabna, twarzyczka śniada, rączki... no, nie bardzo ładne, opalone... bo były bez rękawiczek...

– O! Więc gracja pańska była bez rękawiczek!... – ze słabym śmiechem zawołała pani Emilia.

– I bez kapelusza – dodał Kirło.

– Bez kapelusza! Jakże to można chodzić bez kapelusza! – cichutko chichocząc powtórzyła kobieta z brudną batystową chustką dokoła twarzy.

Kirło śmiał się; małe świdrujące jego oczki coraz ostrzej błyszcząły.

– Niech pan Róźyc zaświadczy... Co, panie Teofilu? Cukierek? Cacko? Prawda?

Wzywany na świadectwo mężczyzna nie odpowiadał. Światło z okna w ten sposób na niego padało, że twarz całkiem pozostawała w cieniu, a widać było tylko postać męską, wysoką,

³⁴ Gracje – w mit. rzym. boginie powabu, wdzięku i szczęścia.

cienką, wykwintnie ubraną i głowę okrytą czarnymi, z lekka ufryzowanymi włosami; u oczu połyskiwały szkła binokli. Od chwili gdy wszedł tu i zamienił z panią domu pierwsze słowo powitania, nie rzekł jeszcze nic... Prawda, że Kirło mówił ciągle i prawie sam jeden. Pani Emilia z ożywieniem zapytywała: kim były gracje spotkane w polu, a szczególnie ta... bez kapelusza i rękawiczek?

– Była to zapewne jakaś wiejska dziewczyna... pan zawsze mistyfikować³⁵ nas lubi, panie Bolesławie!

– Doprawdy! – z uśmiechem pełnym rozkoszy powtórzyła druga kobieta – pan nas zawsze tak mistyfikuje... Doprawdy! Jak to można tak mistyfikować!

– Ależ wcale nie! Przysięgam paniom! Jak Boga mego kocham, wcale nie mistyfikuję... – z komicznymi gestami tłumaczył się Kirło. – Nie była to wcale żadna wiejska dziewczyna, ale panna... co się nazywa panna... z pięknej rodziny, z pięknego domu... z piękną edukacją...

– Panna z pięknej rodziny i z edukacją... – z wielkim już ożywieniem wołała pani domu – pieszo idąca, bez kapelusza... to być nie może...

– To być nie może... Pan zawsze żartuje... – zawtórzyła druga kobieta.

– No, a jak powiem jej imię i nazwisko, to co będzie? – z przekorną filuterią pytał gość.

– Nie wierzę – twierdziła pani Emilia.

³⁵ *mistyfikować* – zwodzić, oszukiwać, celowo wprowadzać w błąd.

– To być nie może; jakże to być może! – wstydliwie chichotał drugi głosik kobiecy.

– A jak powiem! – przekomarzał się Kirło – co mi za to będzie? Bez nagrody nie powiem! Dalibóg! Co mnie panie dadzą za to, ha? Czy panna Teresa pozwoli się pocałować? Co? No, panno Tereso, tak czy nie? Jeżeli pani mnie pocałuje, to powiem, jeżeli nie, to nie!

Wykwintny, w cieniu siedzący mężczyzna uczynił ruch zdziwienie czy niesmak objawiający: pani domu oswojona znać z żartobliwym usposobieniem gościa swego i nawet przyjemną rozrywkę w nim znajdującą śmiała się z cicha, trochę filuternie i zalotnie. Ale nic wyrazić nie zdoła wrażenia sprawionego przez propozycję Kirły na osobie, której ona uczyniona została. W owalnej ramie cieniutkiej, brudnej chustki mała i zwiędła jej twarz okryła się najjaskrawszym karminem; błękitne, niewinne oczy zmąciły się i nabrały wyrazu trwogi połączonej z upojeniem. Wątlą swą kibić w szarym staniku odrzuciła na tylną poręcz krzesła, ręce ku obronie wzniosła i cofając się, odwracając, rumieniając, z chichotem, którym usiłowała pokryć zmieszanie swe i wzruszenie, bełkotała:

– Ależ, doprawdy, panie Kirło... co pan wygaduje?... jakże można? Pan zawsze żartuje...

On jednak nie tylko wygadawał i żartował, ale brał się do czynu i czyniąc gest taki, jakby ramieniem swym kibić jej miał opasać, ogoloną twarz swą z wół dobrodusznym, a wół złośliwym uśmiechem ku twarzy jej pochylał. Z chudych,

bladych rąk swych tarczę sobie czyniąc, cała w tył odgięta, ale z dziwnie miodowym i upojonym wyrazem w oczach, wołała:

– Oj! Oj! O mój Boże! Co pan wyrabia!

Pani Emilia z niezwykłą u niej żywością poruszyła się na szeszlengu i wołać zaczęła:

– Panie Bolesławie! Proszę Tereni nie dokuczać! Niech pan jej nie dręczy! Ją dziś zęby bołą.

Kirło wyprostował się.

– Racja – wyrzekł z powagą – racja! Buziak kobiety, którą zęby bołą, pożądanym nie jest, chociażby człowiek... kiedy indziej sobie na niego i bardzo zęby zaostrzył. No, cóż mam robić? Widzę, że muszę ciekawość pań darmo już zaspokoić. Taki to los biednego człowieka na tym świecie! Żadnej za nic nagrody! Ale nie! – zawołał nagle i z komiczną desperacją zwracając się do pani domu – chyba pani choć w rączkę pocałować się pozwoli!

– Dobrze, dobrze – śmiejąc się i podając mu rękę wołała pani Emilia – tylko niech pan już mówi...

Rączkę sobie podaną, istotnie śliczną, położył na swej dużej, kościstej dłoni i z miną smakosza przyglądał się jej chwilę swymi błyszczącymi, świdrującymi oczkami.

– Śliczna! Miła! Malusia! Malusienieczka rączka! – wymówił i złożył na niej długi pocałunek, w którym cześć i galanteria mieszały się z tajonym, niejako połykanym lubowaniem się przyjemnością innego wcale rzędu. Cień bladego rumieńca przepłynął chude policzki pani Emilii; cofnęła rękę i z większym

jeszcze ożywieniem, z błyskiem w oczach, upomniała się o imię i nazwisko gracji.

– Była to – wzdychając i wydymając wargi zadeklamował Kirło – była to cioteczna siostrzenica pana Benedykta Korczyńskiego, panna Justyna Orzelska.

Dwa cienkie wykrzyki kobiece oznajmieniu temu odpowiedziały. Ale wmieszał się w nie i głos męski, który przemówił:

– Więc ta panna, którąśmy jadąc spotkali, mieszka tu... jest kuzynką państwa...

Pani Emilia dłoń przyłożyła do czoła; może w tej chwili uczuła ból głowy, ale grzeczna i słodka zawsze, goście odpowiedzieć pośpieszyła:

– Tak. Justysia jest krewną męża mego, córką jego ciotecznej siostry. Ojciec jej, pan Orzelski, przez nieszczęśliwe zdarzenia utracił swój majątek, a wkrótce potem owdowiał. Od tego czasu oboje u nas mieszkają. Justynka, kiedy przybyła do nas, miała lat czternaście, a w tym wieku już są przyzwyczajenia, skłonności, którymi pokierować trudno... Jest ona zresztą dobra, bardzo dobra, tylko oryginalna, ale to tak oryginalna, że nie wiem już, doprawdy, skąd jej się to wziąć mogło... Zawsze inaczej robi niż wszyscy.

Wykwintny mężczyzna, którego binokle połyskiwały w cieniu, wymówił:

– Piękna panna.

A po krótkiej chwili dodał:

– Jest w jej powierzchowności jakaś świeżość, siła, prostota...

– O! – zawołał Kirło – widzi pani, jak dobrze się przypatrzył... a raz tylko i to wśród drogi cukierek ten widział...

Kobieta z obwiązaną twarzą wtrąciła:

– Justynka ma śliczną figurę... Ja zawsze figury jej zazdroszczę...

Błyszczące binokle szybko zwróciły się ku niej.

– Pani mówi? – cedząc nieco wyrazy zapytał gość.

Może pani Emilia uczuła niewłaściwość odezwania się swej towarzyszki, bo szybko wtrąciła:

– Tereniu, nie przedstawiłam ci jeszcze nowego sąsiada naszego... Gdy był u nas po raz pierwszy, leżałaś na migrenę czy flukcję³⁶... Pan Teofil Rózyca, panna Teresa Plińska, towarzyszka moja, niegdyś nauczycielka mojej córki, gdy była ona malutka... Wszakże to drugi raz dopiero mam przyjemność widzieć pana w domu naszym?

– Tak, pani – z wytwornym ukłonem odpowiedział zapytany – i wieszę sobie, że w tej pustej okolicy znalazł dom taki jak państwa. Zawdzięczam to panu Kirle, który mnie pod tym względem oświecił...

– Pan Kirło jest w każdym wypadku najlepszym sąsiadem i przyjacielem naszym.

– Ja, pani, jestem zawsze najlepszym z ludzi i tylko...

³⁶ *fluksja* (daw.; z łac. *fluxio*: upływ) – zapalenie dziąseł lub okostnej, często połączone ze zbieraniem się ropy; tu mamy do czynienia ze zniekształconą formą: *flukcja*.

zapoznanym³⁷.

– W domu naszym przynajmniej znajdujesz pan najzupełniejsze uznanie...

Kirło uklonił się z galanterią i wdzięcznością, ale dodał:

– Nie u wszystkich, niestety, mieszkańców tego domu...

– Ależ nie! U wszystkich! Któż by?...

– Panna Marta, na przykład, nie uznaje mię... – z komiczną żałością skarżył się Kirło.

– O, Marta... Ona taka biedna... zgorzkniała... popędliwa...

– Panna Justyna...

– O Justynka! Ona tak jest oryginalna...

– Mąż pani...

– Mąż mój! On zajęty... nietowarzystki... zawsze tylko o gospodarstwie swoim i o interesach...

Przerwała i zwróciła się do Teresy Plińskiej, która w tej chwili z zachwyceniem przypatrywała się błyszczącym binoklom w cieniu siedzącego gościa.

– Tereniu, daj mi trochę wody i proszek bromowy, bo czuję nadchodzący globus.

Teresa poskoczyła ku toalecie i w mgnieniu oka podała towarzysze żądane przedmioty. Pani Emilia delikatnie, z wdziękiem ujęła jedną ręką kryształową szklanę, drugą proszek zamknięty w dwu okrągłych opłatkach i tłumacząc się jakby z czynności, której dokonać miała, do nowego sąsiada rzekła:

– *Globus histericus*... dokucza mi bardzo... szczególnie kiedy

³⁷ *zapoznany* (daw.) – zapomniany, niedoceniony.

się czymś wzruszę... zmartwię...

Tu połknęła proszek. Miała tyle powabu i gracji przy połykaniu lekarstwa, ile jej ma wyćwiczona tancerka w przybieraniu zalotnej pozy. Jednak widać było, że cierpiała naprawdę; ręką dotykała piersi i gardła, w których czuła nieznośne duszenie.

– Czy świeże powietrze ulgi pani nie przynosi – ze współczuciem zapytał Różyc. – Może pani okno otworzyć rozkaże?

– O, nie, nie! – z żywym przeczeniem zawołała cierpiąca kobieta. – Ja się tak lękam wiatru, ciągów, słońca... Od wiatru dostaję zawrotu głowy, od ciągów newralgii, od słońca migreny... Tereniu, podaj mi, proszę cię, toaletowy ocet...

Kirło, cały nad nią schylony, z czułością szeptał:

– Cóż, czy lepiej trochę?... dusi ciągle?... może przechodzi?

Teresa podając ocet schyliła się też nad towarzyszką:

– Początek migreny? Prawda? Mój Boże! I mnie także zaczyna głowa boleć...

Pani Emilia nacierając skronie octem cichutko szepnęła:

– Moja Tereniu, ta Marta nie wraca dotąd z kościoła... jestem niespokojna o obiad... idź, dowiedz się, czy nakrywają do stołu. Czemu ta Marta nie wraca?... Nie wiem, czy gotują już dla mnie rosół... czuję, że nic innego dziś jeść nie będę mogła... Ach, ta Marta nie wraca...

Z żywością i gracją podlotka Teresa biegła ku drzwiom, gdy szeroko otworzyły się one i do gabinetu wszedł mężczyzna

wysoki, barczysty, siwiejący, z długim wąsem, ogorzałą twarzą, pomarszczonym czołem i wielkimi, ciemnymi oczami, w których na pierwsze wejrzenie nic więcej wyczytać nie można było nad troskę i prawie ponure zamyślenie. Na powitanie gospodarza domu, pana Benedykta Korczyńskiego, dwaj goście szybko powstali. Ręka, którą im on na powitanie podawał, wielka była, od opalenia zgrubiała. Zimno dotknął dłoni Kirły, a szerszym nieco, choć obojętnym także, uściskiem objął białą i gładką jak atlas, wypielegnowaną i wychudłą rękę Różyca. Teraz, gdy ten ostatni witając pana domu w świetle okna stanął, dokładnie obejrzeć było można powierzchowność jego arystokratyczną i jeszcze piękną, choć wyniszczoną i cierpiącą. Wysoki był i bardzo cienki, na małej i zgrabnej głowie fryzował włosy, dlatego zapewne, aby ukryć tworzącą się nad czołem łysinę; twarzą jego, o rysach prawidłowych i delikatnych, skórze białej i gładkiej jak welinowy papier³⁸, wstrząsały co chwilę nerwowe drgania przebiegające czoło i brwi. Od pierwszego rzutu oka poznać w nim można było człowieka bardzo światowego, przez fizyczną może słabość łagodnego i z systemem nerwowym chorym. Gdy stanął obok silnego, barczystego, ogorzałego pana domu, dwie ich postacie przedstawiły sprzeczność tak wielką, jak gdyby każdy z nich urodził się i żył na innej planecie. Jedną tylko cechą mieli wspólną: obaj wydawali się smutni. Korczyński wielką swą,

³⁸ *welinowy* (z fr. *vélin*: skóra cielęca wyprawiona jak pergamin) – cienki, gładki papier wysokiej jakości.

ciemną ręką pociągając w dół długiego wąsa usiadł przy oknie i patrząc na żonę rzekł:

– Dzieci nie ma! Od godziny już by tu być powinny.

– O, ja także zaczynam być o to niespokojna i zapewne dlatego czuję już nadchodzącą migrenę – odpowiedziała pani Emilia i z cicha, z wolna uwiadomiła swoich gości o tym, że oczekuje przybycia na wakacyjne miesiące syna kształcącego się w szkole agronomicznej i córki będącej na jednej z pensji warszawskich. Mówiła, że Witold okazywał zawsze zamiłowanie w gospodarstwie wiejskim – znać odziedziczył to po ojcu – a Leonie wysłała na pensję dlatego, że przy swym słabym zdrowiu wychowaniem jej w domu pokierować nie mogła... Zresztą jest to jeszcze dziecko, ma rok piętnasty...

Kirło, który o tym wszystkim dawno już wiedział, usiłował zawiązać rozmowę z panem domu. Czynił to nawet z pewnym przymileniem, którym widocznie usiłował przełamać jakieś lody lekceważenia czy urazy. Zacierając kościste ręce i mile uśmiechając się rozpoczął:

– Pan dobrodziej nawet w święto około gospodarstwa pracuje...

– A tak – pociągając wciąż wąsa i posepnyimi swymi oczami na przeciwległą ścianę patrząc odpowiedział Korczyński – dla nas święta nie ma. I owszem, kiedy oficjaliści i parobcy świętują, najbardziej pilnować trzeba, aby głodem nie zamorzyli koni i bydła albo dworu z dymem nie puścili...

Nie była to właściwie odpowiedź niegrzeczna, ale ton, jakim

wymówiona została, czynił ją obojętną i trochę rubaszną.

– Ale co się tyczy tegorocznych urodzajów – rozpoczął znowu Kirło – obiecujące są, bardzo obiecujące...

– A tak – odparł Korczyński – nie wiem jak gdzie, bom od kilku miesięcy nie ruszył się z domu ani na krok, ale u mnie na polu wcale pięknie... Jeżeli zbiór i zwózka pójdą pomyślnie...

– Tysiąccki będą, panie dobrodzieju, tysiąccki będą z tego ślicznego Korczyńka – zachęcony i do żartobliwego humoru swego powracając zawołał Kirło.

Korczyński podniósł głowę i z urągliwym wyrazem swych smutnych oczu na sąsiada cieszącego się przyszłymi jego „tysiącckami” popatrzał.

– A ceny? – zapytał. – Czy żona pana dobrodzieja mówiła mu, jakie były i pewno jeszcze na ten rok będą ceny na zboże?

Kirło zmieszał się, ale wnet zatarł ręce i w śmiech uderzył:

– Jak Boga kocham – ze śmiechem zawołał – żona moja jest tak zawziętą gospodynią, że do niczego mnie nie dopuszcza... do niczego... Pod pantoflem siedzę po uszy... Ale mnie z tym dobrze i jej także... Bo i cóż, panie dobrodzieju, na tej nędznej folwarczynie mielibyśmy oboje do roboty? Albo ja, albo ona... A ponieważ ona chciała...

Korczyński uśmiechnął się i zwrócił twarz w stronę, w której stała gotowalnia jego żony. Od tej gotowalni zaleciały go zmieszane zapachy toaletowego octu, ryżowego pudru i rezedowej perfumy. Pociągnął wąsa i zwracając się do żony rzekł:

– Może by okno otworzyć? Straszny tu zaduch!

– O, nie! – łagodnie odpowiedziała pani Emilia – wiesz o tym, że ja nie mogę siedzieć przy otwartych oknach...

– Głupstwo – mruknął Korczyński. – Musisz chorować w takim zaduchu siedząc.

Delikatna, cierpiąca kobieta spłoneęła rumieńcem. Zawstydziała się rubasności męża, okazanej wobec mało jeszcze znanego gościa. Spuściła powieki, dotknęła dłonią piersi i gardła, umilkła.

I wszyscy przez chwilę milczeli. Czuć było, że w zaduchu tego pokoju wszystkim zrobiło się duszno. Pani domu coraz bezwładniej chyliła się na swym szezlongu; Kirło usłużnie posuwał ku niej wyszyte na kanwie poduszki; Korczyński długi wąs swój na gruby palec nawijał; binokle Różycy błyskały w cieniu ciekawie i jakoś drwiąco. W tej chwili kędyś z dołu słyszeć się dały pluski wody i przeciągłe, basowe wołania. Korczyński i Różyc jednocześnie spojrzeli w okno. Za oknem, za przezroczystą ścianą klonów, po błękitnym Niemnie płynęły tratwy, w mowie miejscowej płytami zwane. Jeden za drugim pod ciemną ścianą boru wieńczącego wysoki brzeg rzeki płynęły złote w słońcu, a stojący u sterów płytnicy³⁹, w białej odzieży, silni jak wodne olbrzymy, nadając rudlom⁴⁰ ciężkie półobroty, uderzali nimi po wodzie, która z wielkim pluskiem tryskała w perlistych kaskadach. Zarazem ludzie ci rozmawiali

³⁹ *płytnik* – flisak.

⁴⁰ *rudel* – ster.

z sobą długimi, basowymi krzykami, które obijały się o bór ciemny i wywoływały w nim głośnie echa. Po przeciwległym wybrzeżu, pod gęstym borem, chodzili ludzie różni, pojedynczo i gromadnie, w szarych i białych ubraniach; gdzieniegdzie, nisko nad rzeką, skrzydlatymi punktami przelatywały rybitwy, w jednym miejscu rybackie czółenka kręto prześlizgiwało się pomiędzy płytami; w klonach szczebiotały szczygły, gwizdała wilga, zanosila się od krzyku czeczotka. Świat cały stał w cudnej pogodzie jak czara nalana błękitem i złotem.

– Piękna miejscowość – rzekł w zamyśleniu Różyc.

Korczyński wskazał mu pracujących około rudli płytników.

– Ci ludzie nie mają także święta...

Różyc zdjął binokle i długą swą atlasową rękę powiodł po zmiętym i drgającym czole.

– Mnie się zdaje – rzekł – że oni zawsze mają święto. Są zdrowi, silni i jakimkolwiek jest ich życie, żyć chcą...

– Może pan ma słuszość – po krótkim namyśle odpowiedział Korczyński. – Praca nieszczęściem nie jest; idzie tylko o grunt, na którym człowiek pracuje, i o... skutki. Jeżeli co krok głową o mur uderzać się musisz i myśleć, że wszystko, cokolwiek byś zrobił... na diabła zda się...

Machnął ręką i umilkł. Różyc cierpiącymi swymi, ale inteligentnymi oczami z zajęciem spoglądał na ogorzałe, zorane czoło i w dół spuszczone wąsy obywatela.

– Do czego pan ostatnie słowa swe stosujesz? – zapytał.

Spod wypukłych powiek duże, piwne oczy Korczyńskiego

podniosły się na twarz gościa i utonęły w niej wejrzeniem głębokim i przejmującym.

– Jak pan myśli?... – zaczął i zawahał się z dalszym mówieniem. Ogarnęła go widoczna, a dziwna w tak silnym człowieku nieśmiałość.

– Jak pan myśli? – zaczął znowu – czy w teraźniejszych czasach ci nawet z nas, którzy pieniędzy nie marnują i jak woły pracują, zdołają... to... tamto... tego...

Żrenice jego błyskały przelatującymi w nich iskrami; patrzył ciągle w twarz gościa i koniec węża do ust włożywszy przygryzać go zaczął. Widoczne było, że Różyc nie wiedział dobrze, co mu odpowiedzieć wypadało. Nad przedmiotem zaczepionym przez Korczyńskiego myślał zapewne niewiele; może też obchodził go on niewiele.

– Któż to może przewidzieć? – zaczął. – Czasy są ciężkie. Ja zresztą te strony znam tak mało... świeżym przybyszem jestem...

– Nie o te strony idzie – żywo podjął Korczyński – pod tym względem wszystkie strony u nas są sobie równe. Niechże mi więc pan powie przynajmniej, jak jest tam, gdzie pan mieszkał...

Różyc z niedbałym uśmiechem, choć z silnym drganiem czoła i brwi, odpowiedział:

– Osobiście przedstawiam przykład zasmucający... Moje tamtejsze majątki są dla mnie stracone...

– Wiem o tym, ale to co innego! – zawołał Korczyński. –

Pan z urodzenia był wielkim panem... No, a to... tamto... Ale chciałbym coś wiedzieć o obywatelstwie średnim, takim na przykład jak ja, siedzącym na dziesięcinach⁴¹ ziemi kilkuset, tysiącu... trochę więcej...

Światowemu i do wszystkiego przyzwyczajonemu człowiekowi odpowiedzi na pytania wszelkie zupełnie zabraknąć nie mogło. Począł więc opowiadać o finansowym i gospodarskim stanie średnich majątności ziemskich nad Słuczą położonych, a czy opowiadał dokładnie lub niedokładnie, prawdziwie czy nieprawdziwie, o to widocznie nie dbał. Nie zajmował się tym bardzo żywo, może uważał to sprawozdanie za próżną dla siebie fatygę. Ale mówił płynnie, do wykwintnej polszczyzny mieszając trochę francuskich wyrazów, od czasu do czasu, zręcznie i grzecznie, tłumił nerwowe poziewanie.

Z dala od okna, w przyciemnionym nieco rogu pokoju, prowadziła się inna, znacznie cichsza rozmowa. Kirło, ku gospodyni domu pochylony, mówił do niej o czymś półgłosem, z wyrazem ubolewania naprzód, a potem tak jowialnej żartobliwości, że na koralowe jej usta z wolna powracał uśmiech. Z wdzięcznym na sąsiada swego spojrzeniem wyrzekła:

– Pan zawsze pocieszyć i rozweselić mnie musisz... O, gdyby mi pana jeszcze zabrakło...

– Po co ma zabraknąć? – oburzył się Kirło. – Kiedy już tyle lat...

Ukośne wejrzenie rzucił na pana domu, bardzo w tej chwili

⁴¹ dziesięcina – tu: ros. miara powierzchni ziemi równa 1,09 ha.

zajętego rozmową z Różycem. Potem szare, błyszczące oczki jego wpiły się w delikatne policzki pani Emilii, a koścista ręka posuwała się z wolna ku jej ręce, która na kształt listka lilii spoczywała na zwojach jedwabiu.

– Biedna pani! – szepnął – już ja dziś muszę coś takiego zrobić, żeby panią rozweselić.

Za oknami na błękitnym Niemnie ciężkie rudle wciąż uderzały w wodę, wywołując pluski perlistych kaskad; lekki wiatr szumiał w klonach i mieszały się z nim fruwanie ptasich skrzydeł. Na przeciwległym wybrzeżu, w ciemnym borze, ludność wiejska zbierała pewno poziomki lub zioła, bo w głębi boru odzywały się nawoływania:

– Hu! ho! hej! hop! hop!

Jednocześnie z wnętrza domu, ale z dala, jakby znad sufitu, osłabione odległością słyszeć się dało granie na skrzypcach. Chwilami rozpoznać można było, że w górnej części domu ktoś z wielką precyzją i umiejętnością grał jakąś wielką i trudną kompozycję muzyczną.

Kirle te skomplikowane i pracowicie wywoływane tony skrzypiec jakby coś na pamięć przywiodły. Uśmiechnął się filuternie, dłonią po kolanie uderzył; wybiegł przez drzwi do salonu prowadzące, szczelnie je za sobą zamykając.

W jadalnej sali, dokoła długiego stołu ciężko, lecz żwawo krzątała się Marta Korczyńska, która przed kilku zaledwie minutami wróciła ze swej dalekiej przechadzki. Wielki słomiany jej kapelusz leżał na jednym z krzeseł, a głowa, z cienkim

warkoczykiem przymocowanym z tyłu wielkim grzebieniem, pilnie schylała się nad nakryciami, stwierdzając porządek ich i czystość. Przyrządzała sałaty i kompoty, przynosiła butelki z winem, co chwilę wybiegała, a powróciwszy, z brzękiem kluczy otwierała szuflady kredensowej szafy i urządzając, ustawiając, przyozdabiając wszystko, pantoflami wyszytymi w czerwone róże głośno klapała o podłogę. Dopomagał jej w tym gospodarskim zajęciu jeden tylko kredensowy chłopak, przyodziany porządnie i żwawy, ale niedorosły i ślepo tylko rozkazy jej spełniający. Cztery wiorsty⁴² uszła dziś tam i na powrót, nie odpoczywała ani minuty, a nie znać było na niej strudzenia. Chrząkała, kaszłała, gderała i napędzała małego lokaja, a pomimo ciężkości chodu swego i pedantycznej dokładności, z jaką spełniała rzecz każdą, zwijała się tak prędko, że w niespełna kwadrans stół był już na dziesięć osób nakryty i wszystko do obiadu przygotowane. Chłopak chleb krajał, a Marta wkładała go do serwet, kiedy z dalszych pokojów wbiegła do jadalnej sali Teresa Plińska, w ręce klasnęła i z wybuchem radości zawołała:

– A! Pani już tu, panno Marto! I wszystko do obiadu przygotowane! Jakże to dobrze! Pani Emilia była bardzo niespokojna.

– I niepotrzebnie! – ofuknęła stara panna – niech swoich robótek i swojego słabego zdrowia patrzy, a co się tyczy domu, to już do mnie to należy.

⁴² wiorsta – daw. ros. miara długości, równa 1,067 km.

– To nic – szeptała Teresa – ale ona zawsze o wszystko niespokojna. I teraz dostała globusu, i zaczęła już dostawać migreny...

– Naturalnie! A poziewania jeszcze nie dostała?...

– Jeszcze nie, chwala Bogu! – zupełnie serio i nawet z rzetelną dla Nieba wdzięcznością odparła towarzyszka pani Emilii.

– A Benedykt w domu?

– W domu, tam, z gośćmi i żoną... Znowu gniewał się, że pani i Justynka piechotą poszłyście do kościoła. Mówił, że w święto konie nie zajęte...

– To niech odpoczywają, a jak odpoczną, lepiej się potem do gospodarstwa zdadzą... Wieczna głupota! Czy to my księżniczki, żebyśmy pieszo chodzić nie mogły? Uf! Nie mogę!

Kaszel ją porwał, ale trwał krótko, bo wstrzymywała się z całej siły, i nagła myśl jakaś piorunem, zda się, uderzyła o całą jej istotę. Głośno splasnęła rękami i do okna poskoczyła.

– A dzieci jak nie ma, tak nie ma! – zawołała.

Teresa tymczasem liczyła na stole nakrycia.

– Na dziesięć osób, jak mamę kocham, na dziesięć osób nakryto! – piskliwie zawołała. – Czy więcej gości dziś przyjedzie? Bo nas domowych sześć, a dwóch panów – to osiem... a tu na dziesięć... czy kto jeszcze przyjedzie?

– Dwóch konkurentów do ciebie przyjedzie! – z gniewną ironią krzyknęła Marta. – Alboż mało naczekałaś się jeszcze na nich? No, to dziś trzech będziesz miała od razu. Pan Różyc już jest, a dwóch jeszcze przyjedzie...

Zaczęła śmiać się tak, że aż łzy nabiegły do szyderskich⁴³, ognistych jej oczu. Teresa, zarumieniona trochę, dobrodusznie jej w twarz patrzyła:

– Co też pani wygaduje! Pan Różyc... gdzieżby on tam mógł... taki wielki pan... choć, doprawdy, tak jakoś patzał... ej! oni wszyscy tacy... ci mężczyźni... Ale naprawdę, kto więcej przyjedzie?... moja droga pani, proszę mi powiedzieć, kto przyjedzie?

I szczerpłymi ramionami swymi z dziecinną prawie pieśczołliwością objąć usiłowała grubą kibić i cienką, żółtą szyję towarzyszki. Ale ona gwałtownie wyrwała się z jej objęć.

– A dzieci! – krzyknęła. – Toż Widzio i Leonia powinni już od godziny być tutaj... Może choć na obiad nadjadą...

– A, prawda – z widocznym uczuciem rozczarowania szepnęła Teresa – zapomniałam...

– Zapomniała, zapomniała... – gniewnie ku szafie kredensowej idąc zamruczała Marta. – Może i matka zapomniała także... o dzieciach zapomniała... Co im w głowie? Romanse i apteka... Wieczna głupota!... A dzieci jak nie ma, tak nie ma! ... O Boże mój, Boże! gdyby tylko nie jaki wypadek... bo z tymi kolejami żelaznymi wszystko być może...

Znowu stanęła twarzą ku oknu, głową wielkim grzebieniem sterczącą trzęsła i pęk kluczy głośno dzwonił w jej rękę.

W tejże chwili za przymkniętymi drzwiami sali jadalnej dało się słyszeć szybkie ze wschodów zbieganie, potem szamotanie

⁴³ szyderski – dziś popr.: szyderych.

się jakieś, mocowanie, dwa głosy męskie, z których jeden zdawał się o coś nalegać, a drugi od czegoś wypraszać... struna jakaś kilka razy brzęknęła, na koniec, dalej już, w głębi domu, wybuchnął głośny śmiech Kirły... Marta, zapatrzona w szlak drogi, zza rozwartej bramy dziedzińca widzialny, na szczególny hałas ten nie zwróciła żadnej uwagi, ale Teresa rzuciła się ku drzwiom i naprzód przez nie ciekawie głowę wychyliła, a potem, z cienkim i uszczęśliwionym chichotem, drobnym swym dziewczęcym krokiem przez sienie i salon pobiegła. W głębi salonu drzwi od pokoju pani Emilii otworzyły się głośno i zjawił się w nich Kirło śmiejący się i ciągnący za sobą kogoś bardzo pociesznie w samej rzeczy wyglądającego. Był to staruszek średniego wzrostu, ale tuszy dobrej i w środku figury szczególnie wydatnie zaokrąglonej, z okrągłą, białymi jak mleko włosami okrytą głową, z okrągłą także, pulchną, rumianą twarzą. Wśród tej twarzy pulchne, rumiane usta uśmiechały się teraz z pełną zmieszania dobroduszością i błękitne jak turkusy oczy patrzyły z wyrazem wstydu i załęknięcia. To zmieszanie i załęknięcie źródło swe mieć musiało w ubiorze bardzo niestarannym, bo składającym się tylko z szerokiego, z kwiecistej materii sporządzonego szlafroka. Jedną ręką trzymając smyczek i zarazem powstrzymując od rozchylania się poły szlafroka, drugą ten białowłosy i łagodny starzec przyciskał do piersi skrzypce. Przy tym broniąc się przeważnej sile, która go naprzód pociągała, usiłował wciąż cofać się i ramię swe z dłoni Kirły wyrwać.

– Puść mnie pan... – szeptał i wykrzykiwał głośno – jakże

można? przy damach... w szlafroku...

Ale Kirło wciągnął go do pokoju, przy czym do Różyca zwrócony perorować zaczął:

– Przedstawiam nowemu sąsiadowi naszemu najznakomitszego muzyka okolicy naszej... przepraszam. Litwy... a może i Europy... Zaniedbany ubiór jego przebaczą mu nawet damy, ponieważ jest artystą. Od urodzenia podobno aż do dnia dzisiejszego pracuje nad muzyką. Majątek, panie, przepracował... Ale gra za to... gra...

– Puść mnie pan... przy damach... przy nieznanym człowieku... – wypraszał się i w celu wyrwania się nowe, a coraz śmieszniejsze wysilenia czynił staruszek.

Nieznanym człowiekiem, czyli Różycem, ze zdumieniem na tę scenę patrzył i nie tylko nie śmiał się, lecz delikatne wargi jego przybrały wyraz niesmaku. Korczyński, oswojony znać z dobrym humorem Kirły i jego objawami, spoglądał przez okno na klony i rzekę; panie, Emilia i Teresa, śmiały się: pierwsza cichutko i z niejakim zawstydzeniem, druga głośniej i z rozkoszą. Kirło, zachęcony powodzeniem swym wobec dam, a na obecnych mężczyzn już nie zważając, z komicznymi gestami i minami dalej prawić zaczynał:

– Idę sobie na górę, aby naszego kochanego artystę odwiedzić... słyszę: gra! Dobrze, myślę, niechże przyjdzie zagrać dla nas... Wymawia się, że nie ubrany... Co tam! Tym lepiej... artyści podobno, panie, zawsze nie ubrani i nie umyć...

Wtem zza pleców szamoczącego się i już widocznie

udręczonego starca wysunęła się młoda kobieta w czarnej sukni, wybornie uwydatniającej jej silną i zgrabną kibić. Wyprostowana była i głowę otoczoną czarnym warkoczem wysoko podnosiła. Wśród śmiałej twarzy szare jej oczy wydawały się teraz prawie czarne i w twarz Kirły cisnęły płomienie gniewu. Na nikogo z obecnych nie spojrzawszy zwróciła się ku otwartym drzwiom salonu i zawołała głośno:

– Mars⁴⁴! Mars!

Na to wołanie zjawił się w progu pies myśliwski, ulubieniec pana domu, wielki, czarny ponter⁴⁵. Kobieta krótkim gestem wskazała go Kirle.

– Oto jest Mars – rzekła – wybornie umie on warować, aportować i przez kij skakać. Zawołałam go tu dla zabawy pana!

Głos jej trochę drżał, usta zbladły i z oczu znowu trysnęły płomienie. Powoli jednak i łagodnie ujęła ramię starca.

– Chodź, ojcze! – rzekła.

Kiedy wyprostowana, z podniesioną głową i bladym, lecz niezmaconym profilem prowadziła przez wielki salon siwowłosego, trochę przygarbionego i skrzypce swe do piersi przyciskającego starca, przypomnieć mogła Antygonę⁴⁶...

– Wspaniała! – zza binokli swych ścigając ją spojrzeniem

⁴⁴ Mars – w mit. rzym. bóg wojny.

⁴⁵ *ponter* – wyżeł.

⁴⁶ Antyгона – w mit. gr. córka króla Edypa. Kiedy Edyp po odkryciu swej winy tragicznej (nieświadomie zamordował ojca oraz poślubił matkę) wylupił sobie oczy i udał się na samowolne wygnanie z Teb do Kolony, Antyгона towarzyszyła mu i otoczyła nieszczęsnego opieką.

szepnął Różyc.

Kirło nie zmieszał się ani na chwilę i z nowym śmiechem szeptał do ucha Teresy coś, od czego rumieniała się i najmilszym uśmiechem rozjaśniała jej okrągłą, rumiana, w owalną ramę chusteczki ujęta twarz. Korczyński motał wąż na palec i parę razy, do siebie więcej niż do innych, przemówił:

– Dzieci nie ma! Dziwna rzecz! Dzieci nie ma!

Różyc gospodynię domu nie mógł długo w osamotnieniu zostawiać. Toteż z wyrazem współczucia zapytał ją, czy na nerwy przeważnie choruje, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, z żywszą jeszcze sympatią mówić zaczął o ogólnym teraz usposobieniu do chorób nerwowych i trudności znalezienia na nie radykalnego lekarstwa.

– Co do mnie – rzekł – znam jedną tylko paliatywę⁴⁷, która niechybnie o wczesną śmierć przyprawia, ale chwilowo przynajmniej zaspokaja potrzebę wrażeń i daje zapomnienie... o wszystkim...

Pani Emilia jak do modlitwy ręce złożyła.

– O, cóż to jest? – zawołała.

– Morfina – z niedbałym uśmiechem szepnął gość.

Ze zniechęceniem ręką skinęła.

– Nie – rzekła z cicha – mnie się zdaje, że jedynym lekarstwem pewnym byłoby zadowolenie wyższych potrzeb istoty naszej, potrzeb serca... wyobraźni... szlachetnych

⁴⁷ *paliatywa* (z łac. *pallium*: płaszcz) – środek przynoszący ulgę, nie leczący choroby, ale łagodzący jej objawy.

gustów... Ale któż jest tak szczęśliwy, aby móc spełniać wszystkie marzenia swoje, aby dysonanse życia nie zatrwały mu ducha i ciała?...

– Bywają też ludzie, którzy spełniają wszystkie swoje marzenia i od zbytku tego szczęścia stają się... nieszczęśliwi... – z ledwie dostrzegalną ironią odparł gość.

Znowu drzwi od salonu otworzyły się z łoskotem i zjawiła się w nich na oka mgnienie wielka postać Marty.

– Dzieci jadą! Dzieci... jadą! – krzyknęła swym grubym, ochryłym głosem i wnet jak wichur rzuciła się w kierunku sieni.

W uszach obecnych zabrzmiał tylko głos jej jakąś ogromną radością nabrzmiały, a w oczach wionęły końce mantyli i zamigotały czerwone róże pantofli. Korczyński, jakby wybuchem jakiejś palnej materii z krzesła poderwany, dwoma krokami przesadził pokój i zniknął. Pani Emilia bardzo powoli podniosła się z szeszlona.

– Tereniu, droga moja... dajże mi płaszcz, rękawiczki, chustkę na głowę...

Teresa w kilku fertycznych⁴⁸ poskokach podała żądane przedmioty i do przywdziania ich dopomogła. Potem zaczęła sama owijać się ciepłym szalem, wsuwać na ręce trochę podarte rękawiczki, zawiązywać na głowie włóczkową chustkę.

Pani Emilia postąpiła parę kroków.

– Tak, doprawdy, osłabiona dziś jestem... – z cicha zaczęła – że nie wiem... czy zdołam wyjść na spotkanie moich dzieci...

⁴⁸ *fertyczny* – zwinny, szybki, żwawy.

Ręce jej wspierające się o stół drżały i słyhać było niemal przyspieszone bicie jej serca. Nie udawała: była istotnie bardzo zdenerwowana i słaba. Kirło pośpieszył z podaniem jej ramienia. Wsparta na nim szła przez salon, jak wiotka trzcina chwiejąc się prawie i z szelestem ciągnąc za sobą zwój jedwabiu.

Wkrótce na ganku utworzyła się grupa osób, na której czele stał Korczyński, do niepoznania prawie zmieniony, bez śladu uprzedniej ponurości w błyszczących oczach, prawie bez zmarszczek na czole, z uśmiechem radości pod długim i w dół opuszczającym się wąsem. Na zapadłe policzki tuż za nim stojącej Marty wybiły się okrągłe, ogniste rumieńce; źrenice jej patrzące na drogę, wśród której widać było szybko ku bramie zbliżający się punkt czarny, przygasły i zwilgotniały; zwiędłymi, uśmiechającymi się ustami cichutko szeptała:

– Aniołki! Kotki! Robaczki moje!

Każdy by odgadł, że ci, których tu witać miano, rzucają się naprzód w objęcia tych dwojga ludzi. W głębi ganku, u samych drzwi wchodowych, Teresa z pomocą Kirły ustawiała przyniesiony z salonu fotel, na który wnet bezwładnie opuściła się pani Emilia. Do Teresy szepnęła:

– Trochę laurowych kropli, moja Tereniu..

A do Kirły:

– Wróć pan do pana Różyca. Niepodobna przecież, aby zostawał sam jeden...

Po kilku minutach przed ganek zajęchała czterokonna bryczka, z której razem prawie wyskoczyło dwoje młodziutkich

ludzi: wysmukły, złotowłosy chłopak i niedorośla, zgrabna panienska. Wybuchły pocałunki i zapytania; głosy zmieszały się. Słysząc było huczenie Marty, śmiech podlotka, szybką mowę młodzieńca, spazmatyczne łkanie pani Emilii, piskliwe wykrzyki Teresy przyzywającej pomocy służących dla odprowadzenia pani do pokoju.

Różyc i Kirło z roztargnieniem przypatrywali się tej scenie przez jedno z okien domu. Mało ich ona obchodziła. Nagle Różyc, twarz od okna odwracając, zapytał:

– Któż to jest ta panna Orzelska?

Kirło wybuchnął śmiechem.

– Oho! Wpadła panu w oczko, co? Nieszpetna, co prawda, ale dla mnie niesympatyczna... zimna... rubaszna... oryginalna...

Wzruszył ramionami i usta wydał.

– Gusta są różne – flegmatycznie odparł młody pan i malutką piłką począł bardzo uważnie robić coś około swych pięknych paznokci.

– Biedna? Bez posagu? – zapytał po krótkiej chwili.

– Pięć tysięcy ma na procencie u pana Benedykta. Cóż to za posag... Wcale posagu żadnego nie ma... a dumna przy tym jak księżniczka i zła jak szerszeń.

– Zauważyłem to właśnie przed chwilą.

Ironiczny trochę uśmiech przebiegł mu po cienkich ustach.

– Z temperamentem dziewczyna... – dodał.

Kirło swymi błyszczącymi, świdrującymi oczkami uważnie mu w twarz popatrzał.

– Ej, nie zapalaj się pan tak prędko! – z wyraźnym niezadowoleniem zawołał. – Temperament! Temperament! Był, ale już wywietrzył.

Czarne, wąskie brwi młodego pana silniej niż zwykle drgnęły, a drgnienie to udzieliło się czołu i przebiegło skórę czaszki, aż pod przerzedzonymi i ufryzowanymi włosami. Zupełnie jednak obojętnym a nawet żartobliwym głosem zapytał:

– Cóż tam takiego było?

Kirło znowu filuternym stał się.

– Pamiętasz pan Zygmunta Korczyńskiego, tego malarza, którego spotkaliśmy u Darzeckich?

– Pamiętam, wcale przyzwoity człowiek i podobno nie bez talentu... Żona jego ładna, mała blondynka... Cóż więc?

– No... on i panna Justyna...

– Romans? – dorzucił pan.

– I jaki! – wybuchnął Kirło.

– Już z żonatym?

– Ale gdzie tam! Od dzieciństwa prawie... jak zwykle pomiędzy kuzynami...

– A dlaczegoż więc?...

– Dlaczego nie pobrali się? Ależ i mowy o tym być nie mogło... Familia... i on sam...

Dłużej rozmawiać nie mogli, bo towarzystwo całe z ganku wchodziło już do sieni i zaraz wejść miało do salonu.

Tymczasem po wschodach, niegdyś politurowanych i ozdobnych, dziś tylko czystych i całych, Justyna wprowadziła

ojca do górnej części domu, gdzie pośród obszernego strychu urządzony był wąski korytarz z dwoma naprzeciw siebie otwierającymi się pokojami. Jeden z tych pokoiów należał do Ignacego Orzelskiego i był zarazem sypialnią nocujących tu czasem gości. Justyna opuściła ramię ojca i wyjąwszy mu z rąk skrzypce, umieściła je w stojącym na stole podługowatym pudle. Czyniąc to, z cicha i trochę szorstko rzekła:

– Dlaczego, ojcze, pozwalasz zawsze temu panu żarty z siebie...

Urwała i uczyniła ręką gest zniechęcenia.

– Po co ja to mówię! Tyle już razy prosiłam... przedstawiałam... Nic nie pomaga... i nic nie pomoże!...

Wzięła dzbanek stojący w kącie pokoju i zaczęła zeń wodę do miednicy nalewać. Stary w rozwartym szlafroku i zupełnym pod nim negliżu stał na środku pokoju, zakłopotany trochę i z jednostajnym wciąż, dobrodusznym uśmiechem na ustach.

– Widzisz, moja Justysiu – zaczął – żebyś ty wiedziała, jak to trudno... zresztą... cóż to szkodzi!

– O! – zawołała – właśnie pragnęłabym, aby ojciec uczył...

Umilkła znowu, zawiesiła ręcznik obok miednicy i na jednym ze stołów ustawiła małe lustro. Stary tymczasem drobnymi krokami zbliżył się do skrzypiec i już je z pudła wyjmować zaczął. Justyna delikatnie i powoli instrument znowu na przednim miejscu złożyła.

– Trzeba się ubierać, ojcze! Zaraz zawołają nas do stołu...

– A, do stołu! – powtórzył stary. – Dobrze... dobrze... bo już

i głodny jestem... A nie wiesz tam czasem, co na obiad będzie?

– Nie wiem – odpowiedziała i ułożyła obok lusterka wszystkie przybory do golenia się i czesania służące.

– Wszystko gotowe, ojczy...

Stary nie ruszał się i z ukosa na skrzypce spoglądał.

– A może bym ja trochę jeszcze pograł?

– A obiad? – zapytała Justyna.

– A prawda... obiad? Pewno dziś co smacznego dadzą, bo goście są... Pytałem się nawet panny Marty z samego rana, co tam na obiad będzie, ale czy ona kiedy po ludzku do kogo przemówi! Burknęła... chrząknęła... czchnęła i na dół poleciała... a mnie już na dół nie chciało się schodzić... wypitem więc kawę z sucharkami, troszkę szynki zjadłem i grałem sobie... Szynki w tym roku doskonale urządziła... i sucharki jej zawsze doskonale... w ustach topnieją... caca!

Powoli, leniwie usiadł przed lusterkiem i do robienia toalety swej przybierać się zaczął. Justyna prędko i zręcznie czyściła miotełką surdut ojca. Stary zachmurzył się.

– Otóż to – gderliwym tonem zaczął – jak tylko goście przyjadą albo co tam innego stanie się, Franek u mnie ani nosa nie pokaże... Jeden ten chłopiec do wszystkiego... i przy kredensie, i do stołu służy, i mnie, i panu Benedyktowi... Do czego to podobne, aby w takim domu... nie było komu wody podać i surduta oczyścić?

– Już oczyszczony! – odpowiedziała Justyna.

– Oczyszczony... oczyszczony... – gderał stary. – A któż

go oczyścić? Ty sama! Czyż to pięknie, aby panienka surduty czyściła?... do czego to podobne?

Po ustach Justyny przemknął uśmiech. Stała na środku pokoju i zamyśliła się chwilę.

– Jak ja stąd wyjdę – rzekła – ojciec znowu grać zacznie...

– A może... – odparł stary – to i cóż?

– Teraz nie można – odrzekła – bo jak na obiad zawołają, trzeba, aby ojciec był już ubrany... Lepiej może pudło na klucz zamknąć...

– No, no! Nie zamykaj... nie zamykaj!...

Nic już nie odpowiadając zakręciła mały klucz w zamku, schowała go do kieszeni i wyszła.

Drugi pokój na górze, niezbyt mały i bardzo czysty, o dwu łóżkach i umeblowaniu skromnym, lecz dostatecznym, stanowił od lat kilku wspólne mieszkanie Marty i Justyny. W tym pokoju Justyna stała przed otwartym oknem i rozplótszy warkocze, powolnym ruchem rozczesywać zaczęła gęstwinę czarnych włosów, w które podczas rannej przechadzki wplątały się zielone igły i młodziutkie gałązki sośniny.

Na Niemie ruch ustał zupełnie. Tratwy przepłynęły, rybackie czółna znikły, samotność zaległa płynące błękity wody, nad którymi czasem tylko w olśniewającej światłości słonecznej szybko i kręto przelatywały połyskliwe jak atlas rybitwy. Na cichą wodę wypłynęła łódź mała, od jednego brzegu do drugiego wioząca dwóch ludzi. Jeden z tych ludzi siedział na dnie łodzi i twarz nad wodą pochylał tak, jakby z zajęciem przypatrywał

się podwodnej roślinności, która tu i ówdzie wybijała się na powierzchnię kępami okrągłych liści i żółtych kwiatów wodnych lilii. Drugi, wysoki, w stojącej postawie rozgarniał wiosłem wodę zataczającą dokoła łodzi koliste bruzdy. Justyna spostrzegła, że ten przewoźnik, wstrzymawszy nieco ruch wiosła, z podniesioną twarzą patrzył chwilę na dom, u którego szczytu stała ona w otwartym oknie. Potem, gdy już łódź przybiła do brzegu, człowiek ów, wyskoczywszy na przeciwległe wybrzeże, stanął i znowu w tym samym kierunku spojrzął; ale wnet, na kształt górskiego jelenia, prędko i zręcznie wbiegać zaczął na wysoką, piaszczystą ścianę. Od chwili do chwili zatrzymywał się i podaniem ręki albo podłożeniem dłoni pod łokieć dopomagał towarzyszowi, który wstępował na górę znacznie powolniej, z trudnością, z przygarbionymi trochę plecami i pochylonym karkiem. Pierwszy z tych dwu ludzi ubrany był w kurtę z siermięgowego sukna zielonymi taśmami przyozdobioną, drugi miał na sobie długą kapotę, a na głowie pomimo gorąca wielką baranią czapkę. Wkrótce obaj zniknęli za pierwszymi drzewami boru. Ale zaledwie zniknęli, z boru wybuchnęła i pod same zda się obłoki wzniosła się pieśń męskiego, silnego głosu:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,

Jak różowy kwiat,

Oczy zapłakała, ręce załamała:

Zmienił się jej świat.

Czego ty płaczesz, czego narzekasz,

Dziewczyno moja?...

Głos śpiewającego oddalał się, oddalał się w głębokości boru i przycichał, natomiast z boru ozwały się powitalne czy wzywające wołania:

– Hu! ho! hej! hop! hop!

Ktoś basowym głosem przeciągle wołał:

– Jan—ku! Jan—ku! bywaj! a bywaj!

Jakaś kobieta cienkim i ostrym głosem u samego brzegu lasu na skoczną nutę zaśpiewała:

Kiedy cię śpiewam, luby walczyku,

Myślę o moim miłym chłopczyku...

I urwała, a cisza wraz ze światłością słoneczną stanęły znowu niezmacone od samego nieba do ziemi.

III

Benedykt Korczyński należał do niewielkiej w jego pokoleniu liczby ludzi, którzy odbyli wyższe naukowe studia. Zawdzięczał to czasom, w których upłynęła młodość jego ojca, tym czasem, które światła swe i wzloty otrzymywały od wielkiego i szeroko promieniejącego ogniska. Ogniskiem tym, w samym sercu prowincji roznieconym, była akademia wileńska, a Stanisław Korczyński, syn napoleońskiego legionisty był przez czas jakiś jej wychowawcą. To zapewne, a może także rodowe skłonności, które nie zawsze, ale często jak krynica w łono ziemi w grunt wielu pokoleń wnikają, uchroniły go od zarazków unoszących się zwykle nad stojącymi wodami. Na gruncie pańszczyźnianym wytwarzającym gotowe dostatki, pod skalistym sklepieniem rozpęd wzroków i ruchy ramion tamującym, społeczeństwo było wodą stojącą, pełną zarazków ogłupienia, zezmysłowienia się, lenistwa i apatii. Organizmy ludzkie – biedne te gąbki, które stosownie do drzewa, na którym rosną, wsiąkają w siebie rozkładające lub krzepiące soki – przeciw zarazkom broniły się, jak mogły. Mnóstwo uległo; pewna jednak liczba uzbrojona do walki w odziedziczone lub zdobyte siły oparła się zwycięsko. Do ostatnich należał ojciec Benedykta. Pośród stref, na których jak złotogłowy, pospolite tkaniny lub ścierki zawieszają się ludzkie życia, to życie nie wzbiło się bardzo wysoko, ale też i na niziny

nie spadło. Może ono i miało skrzydła, które w atmosferze gnijącej do niczego służyć nie mogąc, przekształciły się w proste szczudła, użyteczne tylko do chodzenia po bagniskach bez obłocenia się i ugrzęźnięcia. Ale istnienie takich szczudeł w pewnych warunkach gruntu i atmosfery świadczy najpewniej o posiadanych niegdyś zaczątkach skrzydeł. Dość, że trzej synowie Korczyńskiego dzieciństwo swe spędzili w atmosferze wolnej od zgniłych oddechów rozpusty i tyranii, oświetlonej nie słońcem wprawdzie, ale przynajmniej gwiazdą cnoty, ożywionej nie czynami, ale przynajmniej utajoną do nich zdolnością ojca. Wielkie wrażenie w całej okolicy i nawet w całym powiecie wywołał postępek Korczyńskiego, gdy synów swych wysłał on po skończeniu przez nich szkół średnich do wyższych naukowych zakładów. Po co? Dlaczego? Nie mieliż odziedziczyć po nim znacznego obszaru pięknej i żyznej ziemi, na którym żyć i panować będą sobie mogli, jak panowali i żyli przodkowie? Nie byliż szlachcicami, obywatelskimi synami? Nie mieliż zatem z prawa urodzenia, przysługującego im stanu, położenia w świecie – punktu wyjścia dla spokojnego życia? Nie wszyscy postępkowi Korczyńskiego nadawali nazwę dziwactwa: byli i tacy, którzy czynili to samo; ale poważna większość wzruszała ramionami. Gdyby wtedy w cieniu bliskiej przyszłości zajrzał był wróżbiarz jaki, na całe gardło, na cały świat zaśmiałyby się z tych dumnych, ufnych, takich pewnych! Korczyński wróżbiarzem nie był i wszystkiego, co w bliskiej przyszłości stać się miało, nie przewidywał; tak dalece nie przewidywał, że gdyby ktokolwiek

rozwinął był przed nim obraz przeznaczeń jego synów, albo by uniósł się zgrozą i rozpaczą, albo by śmiał się na całe gardło krzyząc: „To niepodobna!” Jednak dzięki temu promieniowi światła, który kiedyś do jego głowy z wielkiego ogniska wniknął, część przyszłości przewidywał on i rozumiał; rozumiał, że prędzej lub później, może wcale prędko, praca niewolnicza stanie się pracą wolną i równiejszymi działaniami rozpadnie się pomiędzy ludzi. Wtedy życie jego synów wraz z życiem całego ogółu, przelane w formę nową, zapotrzebuje nowych narzędzi. Może też pragnął, aby synowie jego zażyli tych samych rozkoszy nauki, koleżeństwa, zaostrzania wzroku przez szerokość dostrzeganych widnokręgów, których on sam w młodości swej zażywał. Może jeszcze cień nadchodzącej przyszłości dotykał czasem jego głowy, bo na przedstawienia i żarty sąsiadów z namarszczonym czołem odpowiadał:

– Na wszelki wypadek! Na wszelki wypadek!

Na koniec w te starania byłego ucznia akademii wileńskiej o dobre przygotowanie synów do życia wchodziła też i rachuba. Nie mieli oni być tak bogaci, jak się to ze strony⁴⁹ wydawać mogło. Z obszaru posiadanej ziemi Stanisław Korczyński należał do średnio zamożnych obywateli. Potem już przez sposób życia powściągliwy i nieco nad inne pracowitszy, z możliwie najmniejszą na owe czasy krzywdą ludzką, do dziedzicznego swego Korczyna dokupił drugi, równej wartości folwark. W całości swej stanowiło to fortunę wcale piękną, która jednak,

⁴⁹ ze strony – z zewnątrz, z boku.

na cztery części rozdzielona – bo oprócz synów Korczyński miał jeszcze córkę – tych, którzy posiadać ją mieli, bogatymi uczynić nie mogła. W myśli swej Korczyński przeznaczał ojczysty Korczyn najmłodszemu ze swych dzieci, Benedyktowi, najstarszemu, Andrzejowi, na folwarku nabytym osadzając i na tych dwóch braci wkładając obowiązek wyposażenia siostry i średniego brata, Dominika, który w dalekim, wielkim mieście studiował nauki prawne.

Benedykt skończył szkołę agronomiczną i do swego Korczyna wrócił w roku 1861. Matki nie miał już od dawna; ojciec mu zmarł przed paru laty; siostra była zamężna. W zamian mniej niż o dwie mile od Korczyna, na pięknym folwarku swym gospodarował od lat kilku już ożeniony, starszy brat jego, Andrzej; a młodszy, po skończeniu uniwersyteckiego kursu, tylko co wrócił do rodzinnego domu z zamiarem użycia w nim niedługiego odpoczynku. Oprócz tego znalazł w domu krewną swoją, od dzieciństwa sierotę i przez rodziców jego wychowaną, Martę Korczyńską. Miała ona podówczas lat dwadzieścia cztery i w pełnym znaczeniu tego wyrazu można było stosować do niej nazwę dziewoi. Znadto może wysoka, ale kształtna i ruchliwa, ognistooka, wesoła i wiecznie czynna, tak mu dom napępiała krzątaniem się swym, ładem i dostatkiem, że opustoszenia jego prawie nie uczył. Zresztą trzej bracia byli ze sobą zawsze w przyjaźni i zgodzie, a teraz do życia ich wpłynął pierwiastek, który z nich uczynił trzy niby strzały równym pędem ku jednemu celowi lecące. We wszystkich trzech ozwała

się naraz krew żołnierzy spod Baru i Samosierry, to zaś, co w pokoleniu najbliższym zadrzemało było i tylko przez sen niekiedy płakało, w nich uderzone dzwonem czasu krzyknęło i na skrzydłach fantazji wleciało w wysoko gorejący płomień. Hej! Gorączką i burzą przeleciały im te dwa lata! Stojące wody społeczne zaszumiały, wzdęły się i wyrzucały w górę kipiące kaskady; w martwej atmosferze wichry zaśpiewały roznosząc po ziemi złote tumany, a na niebie malując jutrzenki i tęcze. Duch demokracji równającym pługiem orał społeczną glebę. Wyżyny, skruchą zdjęte, pochylały się ku nizinom, gotowe do wynagrodzenia krzywd, żebrzące prawie o życzliwość i ufność. Przyjazne i poufałe stosunki zapanowały były wtedy pomiędzy Korczynem a wsią sąsiednią, noszącą nazwę Bohatyrowicze. Mieszkańcy tej wsi mieli kiedyś pergaminy⁵⁰ i przywileje szlacheckie, ale przez zbieg okoliczności różnych utracili je od dość dawna i wiedli znojne, ciasne, ubogie życia małych rolników. Nagle dom korczyński na oścież roztworzył się przed nimi. Hej! Byłóż tam wtedy, było ruchu i tłumy w tym niskim, obszernym domu! Rozlegałyż się tam gwary i krzyki płynąc w dal po falach tej rzeki! Brzmiałyż tam i huczały w głębiach tego boru i na rozłogach tej gładkiej równiny takie stuki i hałasy, jakich ani razu słyhać tu nie było od dawnego czasu, od owego czasu, w którym powstały gęsto w pobliżu Niemna rozsiane okopy szwedzkie⁵¹. Najognistszym z braci

⁵⁰ mieć pergaminy – tu: mieć dowody potwierdzające szlachectwo.

⁵¹ okopy szwedzkie – okopy z czasów potopu szwedzkiego (1655-1660).

Korczyńskich był najstarszy, Andrzej. Mężem i ojcem już będąc, zapominał o żonie, dziecku i gospodarstwie własnym, stale prawie w rodzinnym gnieździe przebywając. Dominik wybierał się w świat dla rozpoczęcia życia na własną rękę, lecz wciąż wyjazd swój odkładał i cichszy, więcej wahający się od innych, z braćmi jednak pozostawał. Marta przebywała wtedy złotą chwilę swego życia. Krzątała się dwa razy więcej niż zwykle, bo gości bywało mnóstwo; pełną piersią oddychała upalnym powietrzem chwili; wraz z innymi spodziewała się i pragnęła, i jak ptak zdjęty radością wiosny często śpiewała... Głos miała prosty i nieuczony, lecz silny i czysty. Z namiętnym i w owej porze rozmarzonym wyrazem swych płomiennych oczu zawsze coś do mówienia i do śpiewania miała z Anzelmem Bohatyrowiczem, przystojnym chłopcem w grubym obuwiu i surducie z domowego sukna, który śmiał się tak głośno, że aż się po całym domu rozlegało, z błękitnych oczu iskry sypał, potężnym barytonem tysiąc pieśni śpiewać umiał, przynosił dla niej do ogromnych mioteł podobne bukiety polnych kwiatów, a gdy obok niej przy obiedzie lub wieczerzy siadał, rumienił się tak, że aż uszy stawały mu w ogniu jak czerwone maki. Brat Anzelma znowu, Jerzy, przyjaźnią bardzo szczególną połączył się z najstarszym Korczyńskim. Szczególna była ta przyjaźń wobec różnic w wykształceniu i przyzwyczajeniach dwu tych ludzi zachodzących. Andrzej był synem obywatelskim, w dostatkach wzrosłym, w szkołach wykształconym, z najbogatszą w okolicy dziedziczką ożenionym, a przez to ożenienie i osobisty

majątek swój bogatym; Jerzy posiadał zagrodę mającą około dwudziestu morgów przestrzeni, w szkole żadnej nie był, ziemię swą własnymi rękami uprawiał. Skądinąd łączyło ich niejaki podobieństwo położenia; obaj, niewiele więcej nad lat trzydzieści mający, posiadali już rodziny. Mały Zygmunt Korczyński i Janek Bohatyrowicz byli rówieśnikami. I inne jeszcze, głębokie podobieństwa zachodzić musiały pomiędzy tymi ludźmi, tak z wielu względów różnymi, gdyż odkąd poznali się z sobą, to jest odkąd bracia Korczyńscy, w niskich drzwiach pochylając wysokie swe postacie, po raz pierwszy weszli do chaty braci Bohatyrowiczów, Andrzeja i Jerzego zawsze prawie widywano razem. Razem na długie rozmowy wychodzili w szerokie pola, razem szli polować na dzikie kaczkę i bekasy, razem rybackim czółnem pływali po Niemnie ku oddalonym wsiom i miasteczkom, razem niekiedy czytali, razem...

Benedykt, wysmukły wtedy, szczupły, z twarzą przez długie przesiadywanie na ławach szkolnych trochę wychudzoną, więcej jeszcze do studenta niż do osiadłego obywatela podobny, przyjmował i gościł w domu swoim braci i sąsiadów; z poważnymi krewnymi, którzy do młodych Korczyńskich przyjeżdżali pełni przestróg i upomnień, staczał zażarte dysputy... Gorączką, gwarem, zapalem zleciały mu te dwa lata!

Wszystko to po upływie pewnego czasu wydawać się mogło snem napełnionym widzeniami prawie nadprzyrodzonymi: tak niezmiernie inne było to, co nastąpiło po nim... Kiedy Benedykt obudził się z tego snu swojej pierwszej młodości,

sposzregł przede wszystkim, że zabrakło mu obu braci. Andrzej Korczyński razem z przyjacielem swym, Jerzym Bohatyrowiczem, zniknął ze świata, a wnet po ich zniknięciu jedno z korczyńskich uroczyisk nazwę swą zmieniło. W uroczyisku tym znajdował się ów bór zaniemeński, który miał około dziesięciu włók rozległości i z którym łączyły się obszerne lasy, do Andrzeja i paru sąsiadów jego należące. Dotąd z powodu porastających je sosen i jodeł nazywało się ono Świerkowym; teraz powszechnie i we wszystkich warstwach ludności nazywać je zaczęto Mogiłą. Kto pierwszy nowej tej nazwy użył i jakie były pobudki, które ją rozpowszechniły, trudno powiedzieć: lecz utrwalona w okolicznej mowie była ona jedynym grobowcem najstarszego z braci Korczyńskich. Innego nie wystawiono mu nigdy... Pozostała po nim wdowa wraz z małym synem osiadła w posagowym majątku swoim dość znacznym, o parę mil od Korczyna położonym. Dominik żył, ale losy odrzuciły go bardzo daleko i po kilku latach zaledwie przysłał bratu wieść, iż w tych dalekich stronach zdołał nareszcie zdobyć sobie byt skromny przez otrzymanie małego zrazu urzędu. Benedykt zaciągnął dług bankowy, aby bratu wypłacić to, co mu się według ojcowskiego rozporządzenia należało. Na wypłacenie posagu siostrze nie miał środków i zatrzymując go na hipotecę Korczyna, ten dotąd czysty jak kryształ majątek obarczył drugim już długiem. Były to długi konieczne, z natury rzeczy niejako, nie zaś z lekkomyślności i marnotrawstwa wynikłe; niemniej, kiedy Benedykt po raz drugi po obudzeniu się ze snu młodości rozejrzał się dokoła, spostrzegł,

że synem bogatego domu obywatelskiego będąc, wcale bogaty nie był... Nie będąc tchórzem i nie mając szczególnych do sybarytyzmu⁵² skłonności, bynajmniej by się tym spostrzeżeniem nie przeraził, ale po nim przyszło wnet wiele innych. Nastąpiła była mianowicie pora niezmiernych urodzajów na te kije, które w koła gospodarstw wszelkich włącząc⁵³, czyniły je podobnymi do wozów przebywających pewnego gatunku jesienne drogi, kiedy to koła po osie, a konie po golenie w gęstym błocie grzęzną. W takim położeniu rumaki, choćby arabskiej krwi, nic zrobić nie mogą: dla posuwania się wozu naprzód – wołów pokornych i cierpliwych potrzeba. Benedykt zrazu wierzgał i z nozdrzy ogień wyrzucał, jak oburzony i zniecierpliwiony rumak, ale stopniowo uspokajał się... Zrazu przyzwyczajeniami młodości pobudzany wyteżał słuch w przestrzeń i oczami wodził czasem po obłokach. Ale spostrzegł znowu, że nic wcale przyjemnego nie mógł już tam usłyszeć ani zobaczyć; że śpiewające drzewa i grające zorze jego pierwszej młodości zaliczonymi zostały do bajek, i do takich w dodatku bajek, którymi dzieci straszą, ażeby były grzeczne. Pochylił tedy karku i zajął się tylko wyjmowaniem kijów z kół swego własnego

⁵² *sybarytyzm* – postawa charakteryzująca się zamięłowaniem do prowadzenia dostatniego, wygodnego, pełnego zbytków życia.

⁵³ *kije, które w koła gospodarstw (...) włącząc (...)* – nawiązując do wyrażenia: „wtykać kij w szprychy”, czyli przeszkadzać, uniemożliwiać jakieś działanie, autorka metaforycznie pisze o represjach stosowanych po upadku powstania styczniowego przez administrację carską w stosunku do polskich właścicieli ziemskich.

wozu. Robota Penelopy⁵⁴! Co wyjął kij jeden, włożyło dwa; wyjął dwa, wyrastało cztery. Z początku czynił to niezgrabnie i zawsze jeszcze ku obłokom trochę zerkając. Wynikło mu stąd wiele strat i nieprzyjemności. Tak na przykład: raz w pierwszych jeszcze latach gospodarowania różne teorie dobrze mu znane wzbudziły w nim chęć, aby mieszkańcy dziedzicznych kiedyś jego wiosek nauczyli się czytać, owocowe ogrody zasadzać, u doktorów leczyć się, karczmy omijać... Lecz bardzo wkrótce wszelkiej roboty około tego zaniechać musiał, bo na kilka miesięcy wyjechał do najbliższego miasta w celu przeprowadzenia dość kosztownej i niebezpiecznej sprawy. Odtąd na ten punkt obłoków nie zerknął już nigdy. Innym razem agronomiczna wiedza jego doradziła mu zmianę istniejącej w Korczyńce rasy bydła na inną: zmienił i znaczne korzyści obiecywał sobie z tego na przyszłość, ale tymczasem wydał sporo pieniędzy, a gdy przyszła pora wypłacenia czasowo ustanowionych podatków, nowy dług zaciągnąć musiał. Kiedy indziej jeszcze, mianowicie przed ożenieniem się z panną młodziutką, ładną, pięknie wychowaną i w której serdecznie był zakochany, zachciało mu się ogród korczyński wykwintnie urządzić i cały stary dom swój

⁵⁴ *robota Penelopy* – tu: niekończąca się, nie przynosząca efektu praca. Penelopa jest w mit. gr. uosobieniem wiernej żony; przez 10 lat czekała na powrót swego męża, Odysa, spod Troi. Nakłaniana, by wybrała sobie nowego małżonka, zastosowała zręczny wybieg. Zalotnikom oświadczyła, że wyboru dokona, kiedy utka szatę dla swego teścia (w niektórych wersjach całun dla ojca). Tymczasem to, co utkała w dzień, nocą pruća i tym sposobem doczekała powrotu męża, w którego śmierć jako jedyna nie wierzyła.

rodzinny otoczyć zbytkiem kwiecistych kobierców i aksamitnych trawników. Sam posiadał znawstwo roślin, wynalazł sobie bardzo biegłego i również kosztownego ogrodnika. Przez dwa lata potem były istotnie w Korczynie cudne trawniki i osobliwe kwiaty, szparagi zadziwiającej grubości, brzoskwinie i nawet ananasy, ale po dwu latach jawnie i absolutnie okazała się niemożność utrzymania nadal tego świetnego porządku rzeczy bez niebezpiecznego zaniedbania najważniejszych majątkowych potrzeb i interesów. Kilka jeszcze podobnych zerknięć ku obłokom, a Benedykt Korczyński byłby do szczytu zrujnowany. Ale w naturze jego, zapalczywej skądinąd, istniała zdolność do powściągliwości. Powściągnął się od wszelkiego wierzgania i rozdymania nozdrzy, a lekkie i pełne gracji kształty rumaka powoli, stopniowo przelewały się w grubą i ponurą, ale w równym i cierpliwym stąpaniu swym niezmordowaną postać wołu. Czy ta metamorfoza przysłała mu z łatwością? Nigdy z tym nie zwierzał się przed nikim, a raczej przed jedną tylko osobą zwierzać się kiedyś chciał i próbował...

Dwanaście lat minęło było od owego osierocenia po braciach, majątkowego zubożenia i śmiertelnego rozbicia się młodzieńczych jego ideałów, kiedy pewnego letniego wieczora Benedykt po obszernym ogrodzie korczyńskim szukał swej żony. Resztki dziennego światła padały mu na twarz opaloną od słońca i błyszczącą od potu; szedł prędko i szerokimi krokami: gruby i do czerwoności ogorzały kark nisko pochylał. Coś go dręczyło, bo koniec długiego wąsa do ust wkładał i w zamyśleniu

zębami go przygryzał. Po długim szukaniu i kilkakrotnym wołaniu usłyszał na koniec ozywający się w głębi cienistej altany łagodny i srebrny głos żony. Altana z przezroczystej kraty, wdzięcznie zbudowana i pachnącym kapryfolium⁵⁵ gęsto opleciona, była jedną z nielicznych pozostałości owych ogrodowych upiększeń, które przed ożenieniem się swym przedsięwzięciem był Benedykt. Teraz dość było jednego rzutu oka, aby poznać, że myśli o jakichkolwiek ulepszeniach estetycznych na tysiąc mil oddalone od niego były. Wszedłszy do altany Benedykt po kilkakroć ucałował rękę i czoło żony obok niej usiadł. Ładna, trzydziestoletnia brunetka w białym negligiu, w postawie objawiającej znudzenie i znużenie, siedziała na wygodnej ogrodowej ławce i poduszkę mając za plecami, ślicznie obute stopy na niskim stołeczku wyciągała. Na kolanach jej leżała otwarta książka. Wejście męża nie ożywiło jej zasępionych rysów, uchyliła się nieco, aby twarz swą odsunąć od głośnego i gorącego jego oddechu.

– Takem się zmęczył, moja Emilciu – zaczął – że już trochę odpocząć muszę. Niech tam sobie ekonom i robotnicy poczekają, a ja kwadransik przy tobie posiedzę... Uf! Te żniwa! Nim je człowiek przebędzie, sto upałów go spali i sto strachów po nim przejdzie...

– Ja także – z cicha odparła kobieta – czuję się bardzo zmęczona upałem.

– Ale co tam ten upał! – ręką po spoconym czole przesuując

⁵⁵ *kapryfolium* – wiciokrzew; roślina pnąca, kwitnąca na biało lub różowo.

ciągnął Benedykt – fizyczną przykrość każdy znieść może, jeśli jest przy tym spokój...

– A cóż cię znowu tak bardzo niepokoić może? – z ledwie dosłyszalną ironią zapytała żona.

– Hm! Zawsze mnie o to pytasz, zawsze ci wszystko opowiadam i zawsze pytasz znowu...

– Tak niezdolna jestem do zrozumienia i zapamiętania wszystkich twoich kłopotów i interesów...

Z większym niż przedtem znużeniem przechyliła się na poręcz ławki i wygodniej drobne swe stopy na podnóżku ułożyła.

– Jednakże – z trochę irytacji w głosie zaczął znowu Benedykt – rzeczy te są bardzo zrozumiałe i do zapamiętania łatwe... Do końca życia chyba nie zapomnę, w jakim byłem strachu, kiedy przeszłej jesieni z powodu złych zbiorów nie mogłem na czas zapłacić bankowej raty... Wszakże już Korczyn opisywać miano i ledwie nieledwie dostawszy pieniędzy, piorunem z nimi do Wilna leciałem. Całą przeszłoroczną jesień biłem się jak ryba w wodzie... Nie daj Boże takiej drugiej jesieni...

Pani Emilia smutnie wstrząsnęła głową.

– Mnie także zeszłoroczna jesień wcale niewesoło przeszła. Chorowałam na zapalenie oskrzeli... i sama w domu byłam... jak pustelnica...

Benedykt rękę żony pocałował.

– Bieda z twoim złym zdrowiem! Prawda, że dwa miesiące prawie nie byłem w domu, a przez ten czas ty kilka dni chorowałaś obłożnie... Ale przecież sama nie byłaś! Miałaś przy

sobie pannę Teresę, Martę, Justynkę, dzieci... a nawet – dodał z uśmiechem – pan Ignacy mógł cię muzyką swoją rozrywać... Jakaż to pustynia?

– Ja ciągle żyję na pustyni – szepnęła kobieta.

– Oj! – krzyknął prawie mężczyzna – bodaj, że lepiej byłoby żyć na pustyni, jak wśród okoliczności takich, z jakimi ja ciągle ubijać się muszę. Ile mnie kosztuje na przykład to ciągłe prawowanie się z chłopami! Człowiek przecież nie urodził się na tyrana i ludożercę... Kiedyś mi do tego naszego ludu serce młotem biło. Ale cóż? Ciemnota to jest, a ja na to nic nie poradzę. Las mi rąbią, zboże spasają, na pastwiska wążą... Czyż mogę własności swojej nie bronić? Gdybym magnatem był, jak Boga kocham, nie dochodziłbym niczego i niechbym tam już mniej miał, byle tych sporów nie zawodzić... Ale samemu ciężko... Tu załatasz, tam dziura; tu zszyjesz, tam się rozporze – i Bóg jeszcze wie, co z nami będzie! Więc muszę, chcąc nie chcąc, włóczyć ich po sądach... a zawsze, dalibóg, we środku mi coś aż płacze!...

Niżej jeszcze pochylił gruby kark, a wielkie wąsy tak mu w dół zwisły, że klap surduta prawie dotykały. Dłonie o kolana opierał i w ziemię patrzył. Pani Emilia, wzniesionym wzrokiem ścigając ruchy gałązek, z którymi wietrzyk jesienny igrał, szepnęła:

– O! I ja także wiem, co to płakać bez łez...

Benedykt podniósł głowę, z uwagą jej w twarz popatrzał, ręką potem machnął i rzekł:

– Tylko, że u ciebie, Emilciu, pochodzi to z nerwów...

mnie zaś – no! już tam o wszelkich rzeczach wysokich albo wesołych i marzyć przestałem... Ale chciałbym czasem odetchnąć swobodniej, pewnym być, że wam wszystkim nigdy chleba nie zabraknie...

– O, chleb! chleb! chleb! – z cicha zaśmiała się Emilia.

Benedykt spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Czegóż śmiesz się? Chleb! Najpewniej o chleb mi chodzi! Więc cóż? Ty nawet bez perfum i tych tam... różnych swoich szlafroczków obejść się nie możesz, a tak ironicznie mówisz o chlebie...

– Ja obchodzę się bez wielu rzeczy, które są tym dla duszy, czym chleb dla ciała – żywiej nieco odparła.

Popatrzał na nią znowu, wzruszył ramionami i pochylił głowę tak nisko, że końce wąsów klap surduta dotykały. Milczał. Ładna brunetka w białym negliżu milczała także, twarz jego, ubiór i całą postawę z wolna wzrokiem obejmując. Z gry jej delikatnych rysów poznać można było, że czyniła w tej chwili bolesne dla siebie uwagi i porównania. Myślała zapewne, że tego człowieka, który teraz obok niej siedział, nie takim wcale poznała i pokochała. Był on wtedy młodzieńcem zgrabnym, ze świeżą twarzą i trochę już smutnymi, ale pełnymi blasku oczami. Wieczorów tanecznych nikt nie wydawał wtedy, więc tańczącym go nie widziała; w zamian kilka razy miała sposobność zachwycić się jego gibkością i siłą, gdy siedział na koniu. Odwaga i zapał jego, dla których wielu nazywało go prawie szaleńcem, a także nieszczęścia dwu jego braci nadały

mu aureolę rycerską i poetyczną. Powiadano, że dziwnym tylko zbiegiem okoliczności mógł tu pozostać. Przy ówczesnym braku młodych mężczyzn uchodził za partię świetną. Dumna była, że ją właśnie wybrał, że rozkochał się w niej z całą zapalczywością swej natury, że życie z nią, z nią właśnie, uważał za jedyną zorzę, która na niebie jego zaświecić mogła po zgaśnięciu tylu innych... O tym, że w Korczyniu, który uchodził za fortunę wcale piękną, otoczyć ją i po wiek wieków otaczać ją miały wszystkie miękkości dostatku i wyszukanego smaku, prawie nie myślała, bo w domu rodziców swych wśród tego wszystkiego wzrosła i nie wyobrażała sobie, aby ktokolwiek mógł żyć inaczej. Rachuba więc nie powodowała nią bynajmniej, kiedy ze szczęściem rękę swą Benedyktowi oddawała. Po prostu, przyszły mąż podobał się jej bardzo, była w nim zakochana. Czemuż więc teraz... Ba! Byłże to ten sam człowiek, co przed dziesięciu laty? Od konnego jeżdżenia po polach i ciągłego ruchu rozrosły się mu kości i mięśnie; pleczysty teraz był, stąpał ciężko, kark miał gruby i zaczerwieniony. Na czole, posiadającym kiedyś białosć i gładkość prawie dziewczęcą, każdy rok upłyniony zostawił po parę zmarszczek, a teraz, w czasie żniw, było ono wilgotne od potu, od opalenia prawie brązowe. Ubiór jego składał się z wysokich butów i płóciennego surduta, a przynosił z sobą ostry zapach tego znoju, który oblewa ciała żniwiarzy, i tych zielsk dzikich, które na ścierniach czepiają się ludzkiej odzieży. Wprawdzie wszystkie te zmiany nie zaszły nagle, ale oko nawykłe do wykwintnych form życia nigdy oswoić się z nimi nie mogło.

Dlaczego człowiek ten stał się taki, jaki był teraz, ani rozumiała, ani dochodziła. Dość, że od lat już kilku doświadczając zaczęła uczyć rozczarowania i zawodu, które czyniły ją smutną i – chorą. W tym odludnym i cichym Korczynie, przy tym człowieku spracowanym i nie mającym czasu ani chęci do dzielenia jej ulubionych rozrywek i zajęć wprost traciła ochotę do życia. Objawiało się to w coraz wzrastającym jej wstręcie do wszelkiego ruchu. Po cóż by zadawać sobie miała jakąkolwiek fatygę, skoro sobie przez nią żadnej przyjemności zdobyć nie mogła? Parę razy dla wzmocnienia sił i nerwów wyjeżdżała za granicę i wracała istotnie wzmocniona i odrodzona. Ale w kilka miesięcy po powrocie wracały jej z naddatkiem wszystkie słabości i smutki. Przestała bywać u sąsiadów, bo byli dawno znani i niezabawni; nie wychodziła na przechadzki, bo nic ciekawego ani miłego nie znajdowała w widoku nieba, ziemi i wszystkiego, co było na nich. Ogarniało ją coś bardzo podobnego do lenistwa ciała i duszy. Samo przejście z domu do ogrodowej altany nużyło ją niekiedy. Szczęściem było dla niej jedynym, że lubiła czytanie i ręczne robótki. Pochłaniała dużo książek, wyrabiała mnóstwo poduszek, serwet, kołder itd. Przy tym tęskniła i czuła się coraz częściej napastowana przez różne bóle, dolegliwości, osłabienia, które zawsze przewidywała z daleka, spotykała z przestachem i usiłowała odegnać mnóstwem starań i środków. Takim było jej istotnie nędzne życie...

Kiedy ładna, trzydziestoletnia brunetka w milczeniu to wszystko wspominała i myślała, pleczysty, ogorzały, zmęczony

i zgryziony mężczyzna w długich butach i płóciennym surducie zwrócił się do niej twarzą, popatrzał jej w oczy i w zgrubiałe swe ręce biorąc jej narcyzową rączkę zaczął:

– Dlaczego ty, Emilciu, od jakiegoś czasu bywasz dla mnie tak obojętna? Co ja ci złego zrobiłem? Czy masz mi co do wyrzucenia? Ot, i dziś biegłem do ciebie, aby przy tobie uspokoić się... odpocząć... Chciałem wygadać przed tobą, rozpowiedzieć ci wszystko, uścisnąć cię i poweseleć... A ty tylko narzekasz albo milczysz... ot, po prostu, jak wroga mnie traktujesz... Nie pierwszy już raz zauważyłem to w tobie, o! nie pierwszy... Jest już tak od dawna, ale dziś większy mnie żal zdjął nad tym... Dlaczego zobojętniałaś tak dla mnie? Dlaczego wiecznie czujesz się nieszczęśliwa, dlaczego? A? Powiedz, aniołku mój, dlaczego?

Ujął jeszcze i drugą jej rękę, twarz swą blisko do jej twarzy przychylił i z miłosnym prawie spojrzeniem, i prośbą, coraz ciszej i czulej zapytywał:

– Dlaczego, Emilciu? Powiedz! A? Dlaczego, moja koteczko?

Nie broniła się pieszczotom jego, ale delikatną i coraz więcej zasepiającą się twarz swą od jego twarzy oddalając, z przejmującym żalem zawołała:

– O! Gdybyś się ty był tak nie zmienił, Benedyckie, gdybyś się tak nie zmienił! I ja... byłabym może taka, jak dawniej... Ale tyś się tak zmienił... zmienił...

Zastanowił się chwilę nad tym, co powiedziała.

– A tak – potwierdził – zmieniłem się istotnie...

– I tak nadzwyczajnie – dorzuciła – jakby cię dotknęła

różdżka jakiegoś złego czarnoksiężnika...

Machnął ręką i zaśmiał się wpółwesoło, wpółgorzko.

– Jaki tam czarnoksiężnik! – odparł. – Życie to, moja duszko, życie zmienia ludzi. W takich, uważasz, okolicznościach ostatni chyba głupiec utrzymywać się może w roli Adonisa⁵⁶... Ale jeżeli ci idzie o moje serce, charakter...

Z wyjątkową u niej energią wyprostowała się i z głębokim przekonaniem rzekła:

– Nie, Benedykcie, nigdy nie zgodzę się na to, aby życie wymagało od nas takich ofiar. Może ono być piękne i szczęśliwe, ale tylko dla tych, którzy odrzucą jego brzydką i prozaiczną stronę. Ale jeżeli kto tak jak ty zanurzy się w samych materialnych interesach, a wyrzeknie się wszelkiego piękna i wszelkiej poezji... wtedy...

– Więc oboje z tobą zanurzać się będziemy w poezji – przerwał mężczyzna – a tymczasem bank lub lichwiarze sprzedadzą nam Korczyn i wraz z dziećmi pójdziemy w świat o kiju...

Mówił to łagodnie, ale gdy teraz spojrzął na żonę, wyraz lekceważenia przebiegł mu po twarzy.

– Nie rozumiemy się i zrozumieć się nie możemy – ze smutną obojętnością rzekła pani Emilia.

– Ale na koniec – zawołał mąż – czegoż chcesz? Co mi masz do wyrzucenia? Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? Czyżbyś naprawdę wymagała ode mnie, abym nieodstępnie przy tobie

⁵⁶ Adonis – w mit. gr. ulubieniec bogini piękności Afrodyty; tu: czuły kochanek.

siedząc zaniedbywał obowiązki, jakie mam dla dzieci i dla ciebie samej? Abym jak bałwan jaki czytał z tobą romanse, słuchał rzępolenia Orzelskiego i nie dbał o ten nasz kawał ziemi, a na koniec i o swój honor? Bo przecież od interesów majątkowych i honor nieraz zależy! Czyżbyś naprawdę tego ode mnie chciała?

– Ależ nie! – żywo zaprzeczyła kobieta – teraz już tego nie chcę... o nie! Każde z nas ma już teraz świat osobny... zupełnie inny...

– Więc czegoś ci brakuje? Zbytkiem istotnie otoczyć cię nie mogę, Ale i po cóż ten zbytek? A niedostatku dotąd, chwała Bogu, w domu naszym nie ma. Pracy i kłopotów nie masz żadnych... Wiedziałem od razu, że nie jesteś do pracy ani stworzona, ani wychowana, i nie wymagałem jej nigdy od ciebie. Gospodarstwem zajmuje się Marta... ty robisz to tylko, co chcesz... Dzieci masz, przywiązanie moje... książki... robótki...

Powoli ładna kobieta wyprostowywała wątłą swą kibić, aż wyprostowała ją zupełnie i z błyskiem w oczach przerwała:

– Wyliczyłeś wszystko co mam, wyliczże teraz to, czego nie mam... Cóż ja mam? Żyję w tym kącie jak zakonnica, więdnę jak kwiat zasadzony na piaskach. Cóż stąd, że nie doświadczam niedostatku? Moje potrzeby są większe, wyższe... O smaczny obiad nie dbam, ale pragnę dokoła widzieć choć trochę poezji, piękna, artyzmu... A gdzież je tu znaleźć mogę? Ja pragnę wrażeń... natura moja nie może być stojącą wodą, ale potrzebuje błyskawic, które by nią wstrząsały... Ja pragnę

nade wszystko podziału uczuć... a czy jest przy mnie choć jedno serce, które by uderzało razem z moim sercem? Mówisz zawsze, że mnie kochasz! Ja to uważam za bolesną tylko ironię! Przebacz, że powiem prawdę. Nie masz natury wytwornej i zarazem gorącej, abyś mógł kochać tak, jak ja kochana być potrzebuję. Gdybyś mnie tak kochał, nie opuszczałbyś mnie na godziny i dnię całe dla prostych materialnych interesów. Przy mnie, dla mnie zapominałbyś o wszystkim, nie obrażałbyś co chwilę gustów i przyzwyczajęń moich, ale wyrzekłbyś się raczej wszystkiego, zapomniałbyś o wszystkim, byle mnie rozweselić, zająć, uszczęśliwić. Tak ja rozumiem miłość, takiej spodziewałam się od ciebie i dawno już wiem, że się zawiodła. Cierpiałam nad tym tak, że aż się zachwiało to biedne, słabe zdrowie moje. Na koniec zdobyłam się na rezygnację. Ale za to gdybym ja miała choć rozrywki i przyjemności jakie... Żyję na pustyni... nikogo nie widując, sama przed światem za lasami tymi ukryta... Proza... proza... proza... Ja na niej, tak jak ty, poprzestawać nie mogę... I nuda... Ja nudzę się... Przecież książki i robótki wystarczyć nie mogą nikomu, a choćbym chciała zająć się jeszcze czym innym, nie pozwala mi na to słabe zdrowie...

Mówiła to wszystko bez gniewu, cicho i tylko z wielkim żalem. Oczy jej napełniły się łzami, które przecież powściągnęła, i z ruchem zupełnego zniechęcenia dodała:

– Ale po cóż o tym mówić? Ty się nie zmienisz i nic się nie zmieni. Gwiazdy losu różnym światłem świecą. Moja jest

ciemna. Z pociechą myślę, że jestem słaba i mam złe zdrowie, może więc wkrótce mogiła...

Woń rezedowej perfumy wionęła od chusteczki, którą na chwilę do oczu swych przycisnęła. Potem odwróciwszy twarz patrząc zaczęła na powietrzną grę kapryfaliowych gałązek, którymi wietrzyk poruszał.

Benedykt nie przerywał, słuchał i koniec wąsa przygryzał, a gdy umilkła, nie patrząc na nią przytłumionym głosem wymówił:

– Ja... moje... mnie... dla mnie... przy mnie...

Po chwili wstał. Zdawać się mogło, że wysoka i silna postać jego cięższa jeszcze stała się niż wprzód.

– Prawdę powiedziałaś – rzekł – że nie rozumiemy się i zapewne nie zrozumiemy się już nigdy... Nie jest to już dla mnie nowym odkryciem, tylko że dotąd łudziłem się jeszcze... Cóż robić? Niech jeszcze i to... Tylko pozwól powiedzieć sobie, te twoje „kwiaty na piaskach”, „wstrząsające błyskawice”, „gwiazdy losu”, „mogiły” i tym podobne górności nie są wcale poezją, jak to sobie wyobrażasz, ale przestarzałą i złej wody romansowością. Ja także kiedyś na rzeczach wzniosłych i od pospolitości życia oderwanych znałem się, a wyrzekłem się ich nie dla hulanki i nie dla metresy, ale dla konieczności i obowiązków życia. Może i w tym jest także trochę poezji, ale ty się na takiej nie znasz... Cóż robić? Niech jeszcze i to...

W głosie jego słyhać było trochę łez i więcej powściąganego gniewu. Wyszedł z altany.

Długo potem Benedykt w gabinecie swoim i na ganku

domu wypłacał tygodniową należność robotnikom, naradzał się z ekonomem, głośny i żwawy spór wiódł z dwoma Bohatyrowiczami, którzy przyszli prosić o zwrot swych koni, w jego zbożu pochwyconych. Ostatnia ta czynność najwięcej zmęczyła go i zgryzła. Od ludzi, którzy w płóciennych kapotach stali na wschodach ganku, żądał pieniężnej zapłaty za stratę, którą poniósł. Oni prosili zrazu, potem jeden z nich stawiał się hardo, zaprzeczając wszystkiemu, wyrzucając mu zbytnią srogość i dla ich położenia niewzględność. Ubodło go to znac do żywego, bo odpowiadając głos tak podnosił, że aż krzyk jego na cały dwór się rozlegał. Ale i jeden z tych ludzi, średniego wzrostu, z twarzą do rydza podobną i zuchwale sterczącymi wąsami, uniósł się także.

– Niechże nas sądy sądzą! – zawołał – niech pan na nas skargę podaje... bez procesu obdzierać się nie pozwolim...

– Podam – krzyknął Korczyński – i także nie pozwolę, abyście mnie okradali...

– Za pozwoleniem pańskim! – krzyknął zagrodowiec – złodziejami nie byliśmy i nie będziemy nigdy... Teraz my na pana podamy skargę za ubligę...

– Podawajcie i do samego diabła, tylko mi z oczu ruszajcie! Zaraz! Jak nazywacie się? To jest... imiona wasze?

Starszy i wyższy, chudy, schorowany i dotąd ciągle prawie milczący postąpił krok naprzód; oczami, które kiedyś błękitne być musiały, ale teraz spłowiały i wyraz miały cierpiący, na Korczyńskiego popatrzał i cicho odpowiedział:

– Anzelm Bohatyrowicz...

Na szczególne spojrzenie i szczególniejszy jeszcze dźwięk głosu, z jakimi to imię i nazwisko wymówione zostały, w gniewie swym najmniejszej uwagi nie zwracając, Korczyński zapytał:

– A drugi?

– Fabian Bohatyrowicz! – jeżąc się i sierzisto odkrzyknął zapytany:

– No, więc będziecie mieli proces... a teraz... wynoście się... pędzej!

Ten, który nazwał siebie Anzelmem, znowu na Korczyńskiego popatrzał i z cicha wymówił:

– Łaska pańska na pstrym koniu jeździ... jednakowoż nieboszczyk pan Andrzej nie tak pewno postępowałby z nami!

Słowa te ukłuły Korczyńskiego. Zmiękł, ochłonął, ale zachmurzył się jeszcze więcej.

– Nieboszczyk pan Andrzej żył w innych czasach – mruknął i szybko zwrócił się ku drzwiom domu. Na progu stanął, zawahał się i przez ramię do odchodzących ludzi zawołał:

– Połowę kary daruję, ale połowę zapłaćcie...

– Nie zapłacimy nic – odpowiedział młodszy i sierzystszy – niech pan do sądu idzie i nas ciągnie... co robić!

Sceny takie na ganku korczyńskim powtarzały się bardzo często, bo kilka wsi chłopskich i jedna okolica szlachecka trzymały Korczyn w oblężeniu formalnym i gdyby Benedykt zażarcie jej nie bronił, mnóstwo tych drobnych rybek rozszarpałoby w mgnieniu oka tę większą rybę. Tego dnia jednak

czuł się więcej jeszcze niż zwykle rozdrażniony i zgryziony. Przyczyniła się do tego w znacznej części owa rozmowa w altanie, a w pewnym też stopniu jakieś mgliste wspomnienia, które mu sprowadziły twarz i słowa Anzelma Bohatyrowicza. Według wyrażenia, którym określał pewne uczucia swe, „we środku mu coś płakało”. Bo prawdą jest, że ideały młodości, grubym piaskiem wielu następnych wypadków przysypane, przemieniają się w szczypawki, które przy lada poruszeniu kąsają w serce.

W gabinecie swym przy biurku, na którym paliła się lampa i leżały gospodarskie księgi rachunkowe, wziął głowę w obie dłonie i pogrążał się długo w myślach ponurych. Potem wyjął jeden z listów, pod ciężkim przyciskiem leżących, i powoli, z uwagą, z częstymi przestankami czytać go zaczął. Był to list brata jego, Dominika, pisany ze stron bardzo dalekich i brzmiący, jak następuje:

Kochany bracie! *Jak mi nie żal ciebie*⁵⁷, że tak męczysz się i gryziesz ze swoim gospodarstwem, ja *winien ci* powiedzieć słowa prawdy. Wy wszyscy nie umiecie dawać sobie rady. Czy człowiek grzybem jest, aby do jednego miejsca przyrastał i choć *jemu tam nie idzie*, gdzie indziej sobie szczęścia szukać nie chciał? Świat szeroki i można na nim znaleźć sobie wygodne miejsce, trzeba tylko mieć energię i trzeźwo patrzeć na rzeczy.

⁵⁷ *Jak mi nie żal ciebie, że tak (...) się (...) gryziesz ze swoim gospodarstwem (...)* – list Dominika Korczyńskiego pełen jest rusycyzmów i błędów językowych; świadczy o tym, że brat Benedykta uległ w znacznym stopniu rusycyzacji.

Żebyś ja wiedział, że ty trzeźwo już patrzysz na rzeczy, to bym postarał się wydobyć cię z tego niezdolnego położenia, w jakim wy wszyscy *postawiliście* siebie. Sprzedaj Korczyn, a ja dam tobie miejsce zarządzającego w *jednych* wielkich tutejszych majątkach. Jestem w bliskich stosunkach z *jednym* księciem, który teraz właśnie potrzebuje człowieka uczciwego i specjalnie wykształconego, aby majątkami jego zarządzał. Pięć tysięcy rubli rocznej pensji, utrzymanie dla ciebie i całej twojej rodziny, mieszkanie w pałacu, pojazd i sześć koni na rozkazy. *Strona* tu przy tym bogata i różne spekulacje robić można, kto ma pieniądze: drzewem handlować czy *winokurnię*⁵⁸ założyć, czy *podrady*⁵⁹ brać. Ale to już trzeba umieć robić i nie wiem, czy ty potrafisz, bo mnie dotąd tylko na *szluzie* doskonale idzie, a spekulacje udają się nie bardzo. Zawsze lepiej by ci było z taką pensją i czystym kapitałem, który by tobie z Korczyna został, niż teraz. Ja wiem, że tobie to wbić w głowę nie będzie łatwo; ja pamiętam, jak i mnie smutno było *po swojej stronie* i jak ja męczył się, póki sobie tych różnych głupstw z głowy nie wybił. Ale na szerokim świecie człowiek *po niewoli*⁶⁰ wiele nauczy się i wiele zapomni. Wszystko jedno, gdzie żyć, byle uczciwie i wygodnie. Ja uczciwie żyję (*temuż* to i w spekulacjach szczęścia nie mam), ale o wygodę swoją i swojej rodziny dbam i *na szluzie* dobrze stoję. Dbajże i ty o to, abyś dla *urojonej celi* reszty życia

⁵⁸ *winokurnia* (ros.) – gorzelnia.

⁵⁹ *podrady* (z ros.) – dostawy dla wojska i instytucji państwowych.

⁶⁰ *po niewoli* – wbrew woli.

nie zmarnował. Ja ciebie chcę ratować i wszystko zrobię, aby ci tu dobrze było. Choć wiele ja zapomniał, nie zapomniałem jednak tych czasów, kiedy my z sobą razem rośli, uczyli się, a potem... Ot, biedny Andrzej! Dwóch nas tylko zostało, a ani ja ciebie nie mam, ani ty mnie... Chciałbym, żebyś ty żył w tej samej *stronie*, co ja, i żeby nasze dzieci zapoznały się z sobą. Zastanów się nad tym, co ci doradzam, pomyśl...

Benedykt myślał, że i ten także zmienił się bardzo. Życie! Od kilku lat pisywał do brata rzadko i listy od niego przychodzące z niesmakiem odczytywał. Kilka razy chciał sprzeczać się z nim listownie, ale na długie pisanie nigdy czasu nie miał i wszelka umysłowa robota była mu coraz trudniejszą. Machał więc tylko ręką, więcej namarszczał czoło, myślał, że naprawdę żadnego już brata nie posiada na świecie, i na długie miesiące o Dominiku zapominał. Teraz jednak łagodniej niż zwykle i uważniej list jego odczytywał. Cóż? Życie! Czego ono z ludźmi nie wyrabia? Jednego zmienia tak, drugiego inaczej. Wiele on tam, ten brat, zapomniał; o dawnej przyjaźni ich przecież pamiętał. Może i słusznie doradza? Może to psie życie do niczego istotnie nie prowadzi? Człowiek rdzewieje tylko, duszę w sobie gasi. Gdyby to choć we dwoje... ale tak... z tym domowym jeszcze nieszczęściem ciężko. Tam pracy zapewne będzie wiele, ale praca nie jest bynajmniej straszna, a tylko to jest straszne, co jej tu towarzyszy. Tam obok pracy będzie spokój, pewność jutra i przy tym... tych wiecznych kłótni z ludźmi nie będzie. O, te kłótnie!

„Gdybym magnatem był, jak Boga kocham, nie dochodziłbym niczego i niechbym tam już mniej miał, byle tych sporów nie zawodzić; ale samemu ciężko... A tak i sam uspokoję się, rdzę z siebie zetnę, i ludziom dokuczać przestanę... Niech już tam lepiej dokucza im kto inny! Kto wie? Może i zrobię tak, jak mi bratczysko radzi... Jak ja go dawno nie widziałem! Co tam ta... prawi o swojej pustyni! Ot, ja to na pustyni żyję! Ani wygadać się przed kim, ani u kogo rady albo pociechy zasięgnąć! Tam miałbym blisko brata. Zmienił się? Cóż? Życie! Biedny on taki jak i ja!”

Odkładał list pod przycisk myśląc, że dziś, jutro napisze do Dominika w sensie twierdzącym.

„Trzeba się tylko o wszystkie warunki detalicznie rozpytać i żeby mi pozwalali, choć raz na trzy lata, w te strony przyjechać, bo jeżeli na zawsze... to z tęsknoty zdechnę...”

Wtem z trzaskiem otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadło małe stworzenie skaczące jak konik polny i przy każdym skoku rozwiewające dokoła głowy włosy mające barwę dojrzałej pszenicy, gdy ją ozłaca słońce. Wpadło, poskoczyło, rękami szyję Korczyńskiego objęło i bardzo cienko i głośno wyszczebotało:

– Ciocia Marta pyta się tatka, czy tatko tu kolację przynieść każe, czy będzie jadł w stołowym pokoju, czy kurczęta i mleko kwaśne, czy maliny... bardzo smaczne, tatku, maliny... Ciocia Marta dała mnie ich dużo, dużo i ciasteczka z malinami pieką się, ale jeszcze nie upieczone. Ciocia Marta mówiła, żeby tatko

dzisiaj jadł mleko kwaśne, bo dobre, a wczoraj było niedobre...

Korczyński pochylił się i usta dziecka pocałunkiem zamknął. Był to jedyny sposób powstrzymania tego ptaszęcego szczebiotu, lecz powstrzymania go tylko na chwilę, bo mały paluszek wnet wyciągnął się w przestrzeń ku białym, małym motyłom, które wleciawszy przez otwarte okno dokoła lampy krążyły albo padając na szarych okładkach ksiąg rachunkowych rozpinały swe skrzydła drobne i drżące.

– Widzi tatko? motylki... o! jakie motylki... ale w ogrodzie ładniejsze... Julek mówił, że za miesiąc będą już rybacy łowić *jacicę*⁶¹ ... wie tatko, w nocy... na czółnach... z takimi ogniami... Czy tatko kiedy łowił z rybakami *jacicę*? Julek mówił, że te takie malusieńkie, malusieńkie motylki... dla ryb, widzi tatko, na przynętę...

– Widziu! – zaczął Korczyński, w twarz małego syna patrząc tak, jak może dotąd nigdy nie patrzył. – Widziu, słuchaj, Widziu!

– Co, tatku?

– Lubisz ty te malutkie, białe motylki.

– Lubię, tatku, takie ładne...

– A Niemen lubisz?

Dziecko aż nóżkami zatupało.

– Tateczku, żeby tateczko wiedział, jak to dobrze pływać i ryby łowić!... Ja z Julkiem dzisiaj pływałem... on złowił szczupaka... wie tatko, na sznur... a ja na wędę dwa kiełby, takie

⁶¹ *jacica* – (białoruskie: *jetica*) owad zbliżony do motyla, żyjący przez jedną noc podczas godów miłosnych; łowiony przez rybaków jako przynęta dla ryb.

Śliczne, śliczne kielbiki...

– A las lubisz, ten co za Niemnem?

– Aj, tateczku, my z ciocią Martą i z Justynką w niedzielę do lasu sobie popłynęli, grzyby zbierali i tak było wesoło, wesoło...

Grube ramię mężczyzny coraz silniej obejmowało szczupłe ciało dziecka i duże, ponure oczy miękły i promieniały topiąc się w czystych, błyszczących, ruchliwych źrenicach dziecięcych.

– A tatka kochasz? A?

Na pomarszczonym czole, szorstkich policzkach i długich wąsach Korczyńskiego nie było takiego miejsca, którego by nie ucałowały śmiejące się i świeże usta jego syna. Był to swawolnik i wisus, jakich mało; nie tylko w całym domu, ale i w całym Korczynie słyhać go było. Kiedy go do nauki napędzano, krzyczał: „Nie dręczcie mnie!” i biegł co siła na folwark do parobkowskich dzieci czy w pole do żeńców albo pastuszków; ale czasem sam, z dobrej woli, zaczynał uczyć się żarliwie, z książką zaszywał się w takie kąty, że go wynaleźć było trudno, a gdy mała siostra raz zachorowała, nianczył ją i bawił całymi dniami, tak że aż sam pobladł i schudł... Korczyński na to dziecko swoje patrzył teraz długo i z zamyśleniem głębokim. Myślał, patrzył i uśmiechać się zaczął.

– Oj, ty, nadziejo moja!

Chłopczyk aż krzyknął, tak mocny i szorstki całus przygniótł mu mały policzek. Korczyński z rozweseloną twarzą rzekł:

– Poproś cioci Marty, aby mi tu przysłała kurcząt, mleka kwaśnego, malin i wszystkiego, co chce... Jeść mi się zechciało

diabelnie!

Tej nocy jeszcze bratu odpisał w sensie przeczącym.

Nazajutrz oboje z Martą wstali jak zwykle o piątej z rana i jak zwykle oba ich głosy przez dzień cały huczały po całym dworze. Mieli oni z sobą oprócz innych i to rodzinne podobieństwo, że głosy ich stawały się z latami coraz grubsze i krzykliwsze. Oprócz pracy kłopotliwej i drobiazgowej, której się oddawali z coraz ciaśniejszą wyłącznością, oboje mieli w życiu swym jakiś pierwiastek, który obudzał w nich częste rozjątrzenia. To usposobienie do gniewu i ponurości wzrosło u Korczyńskiego od dnia, w którym znowu stoczył on z żoną krótką, ale dla niego niezapomnianą rozmowę. Tym razem ona to weszła do gabinetu jego i więcej jeszcze niż przed paru laty smutna i osłabiona oznajmiła, że pomówić z nim chce o interesach. Korczyński zdziwił się i ucieszył. Zawsze jeszcze spodziewał się trochę, że żona jego prędzej czy później weźmie jakiś udział w jego myślach i zajęciach, że nastąpi pomiędzy nimi, jeżeli nie zupełne, to przynajmniej niejaki porozumienie. Pośpiesznie więc przysunął jej najwygodniejszy fotel, oświadczając zupełną swą chęć i gotowość do pomówienia z nią o interesach. Cicho, płynnie, łagodnie wypowiedziała mu, że życzy sobie, aby od połowy jej posagu wypłacał jej procent, który ona użyć chce na osobiste swe potrzeby. Posagu wniosła dwadzieścia tysięcy: prosi o procent tylko od dziesięciu i tylko osiem od sta, choć wszyscy teraz dziesięć i dwanaście płacą z największą ochotą. Może nawet tę sumę otrzymywać w dwóch albo trzech

ratach. Słowem, na rzecz wspólnego życia ustępuje połowę swoich dochodów i w wypłacie drugiej połowy uczyni wszystkie dogodności i ustępstwa, ale pieniądze te musi posiadać w swym ręku i do swego rozporządzenia, ponieważ ma potrzeby swoje i gusta, którymi jego obarczać wciąż nie chce, a bez których zadowolenia na tej pustyni i wśród tych nudów po prostu żyć nie może. Chciałaby przyozdobić trochę swoje gniazdko, to jest te pokoje, w których najwięcej przesiadywać lubi: słabe jej zdrowie potrzebuje wielu lekarstw; lubi przy tym czytać i zajmować się robótkami. Będzie więc sobie za te pieniądze przyozdabiać swoje gniazdko, kupować lekarstwa, książki, włóczki, bawełnę i nawet suknie.

– Spodziewam się – zakończyła – że nie zechcesz mi odmówić tej drobnostki... Wszak i dotąd zawsze kupowałeś mi wszystko, czego zażądałam, ale sprawiało ci to kłopot, a ja znowu odmawiałam sobie wielu rzeczy, byleby ci prośbami mymi nie dokuczać. Tobie to więc nie robi różnicy żadnej, a mnie, w moim smutnym życiu, przyniesie trochę ulgi i przyjemności...

Czy proponowany układ zrobić mu miał jaką różnicę, tego Korczyński najmniejszym ruchem twarzy nie okazał. Łagodnej i długiej mowy żony wysłuchał z uwagą, ze spuszczonej oczami i długi wąs na palec zakręcając. Gdy skończyła, ukłonił się jej z tak wykwintną grzecznością, jakby przed nim siedziała nie kobieta, z którą pod jednym dachem żył już od lat kilkunastu, ale jakaś łaskawa dlań kredytorka, i również z wyszukaną grzecznością odpowiedział:

– Życzenie twoje starać się będę spełniać jak najakuratniej. Proszę tylko, abyś zechciała ściśle oznaczyć mi terminy wypłat...

Odpowiedziała, że ten punkt sprawy jest dla niej zupełnie obojętny, ale wytworna forma obejścia się, jaką dnia tego z nią przybrał, tak ją ujęła, tak jej może dawne czasy i dawnego Benedykta przypomniła, że z powłóczystym spojrzeniem i prawie namiętnym ruchem obie ręce ku niemu wyciągnęła.

Gdyby on był wtedy pochwycił ją w objęcia i okrył gorącymi pocałunkami, gdyby potem zaprzestał ciągłego chodzenia około gospodarstwa i jeżdżenia za interesami, a w wykwintnym i modnym ubraniu przesiadywać zaczął w jej „gniazdku” razem z nią czytając w trzech językach powieści i podróże i długimi godzinami miłośnie w oczy jej patrząc – kto wie, jakie zmiany w pozyciu ich zająć by mogły; kto wie, czy tym sposobem zmysłom jej i wyobraźni uczynić by zadość nie mógł... Ale on znowu tylko uklonił się jej bardzo grzecznie i jednej tylko z wyciągających się ku niemu rączek dotknął z lekka końcami swych palców. Ona też odwróciła się szybciej daleko, niżby się tego po jej osłabieniu spodziewać było można, i odeszła. Wtedy ten pleczysty i silny mężczyzna zaśmiał się zrazu krótkim, nerwowym śmiechem, potem dłuższym, a potem tak długim i ustać nie mogącym, że aż na kanapę z łoskotem upadł i oczy sobie obu rękami zakrył...

Od tej pory pani Emilia przestała już i do ogrodowej altany uczęszczać. Za pieniądze z zegarkową akuratnością otrzymywane od męża okleiła swą sypialnię papierem błękitnym, a gabinet białym w polne kwiatki. Tu ustawiła meble błękitne,

tam pałace, toaletę przyozdobiła puchem muślinów i koronek, etażerki napełniała coraz nowymi książkami i cackami, coraz nowe sprowadzała materiały do ręcznych robótek. Teresę umieściła obok sypialni swej, aby zawsze mieć pod ręką lektorę, powiernicę i podawaczkę lekarstw. Tak żyła, z łóżka przenosząc się na szeszlony i z szeszlonga na łóżko, cicha, łagodna, nie tylko nikomu nie dokuczając, ale cienia przykrości nigdy nie czyniąc, dniami i tygodniami czasem nikogo z domowych nie widując i ani nie wiedząc, co się w dalszych pokojach domu dziać mogło. O tych dwóch swoich ulubionych, ustrojonych wszystkim, co lubiła, usłanych pokojach poufnym swym mawiała:

– To cały mój świat!

Światem zaś Benedykta stał się obszerniejszy od pokojów jego żony, ale także niezbyt obszerny Korczyn. Stopniowo i coraz prędzej te czterdzieści włók gorszego i lepszego gruntu zasłaniały przed nim całą kulę ziemską ze wszystkim, co na niej jest i było. Usiewał co rok dwieście morgów zbożem i pastewnymi trawami; na piaskach sadił kartofle i wyprzedawał je z zyskiem sąsiednim gorzelniom, inwentarze starannie utrzymywał, we dworze zawsze miał coś do naprawiania i podtrzymywania, z sąsiadami o każdy pręt⁶² ziemi, o każdą spasioną trawkę i każdą w lesie zrąbaną gałąź przed sądami i bez sądów ujadał się coraz zacieklej. Z kilku tysięcy przez całą tę pracę otrzymywanego dochodu wypłacał raty bankowe, procenty

⁶² pręt – daw. pol. miara długości równa 4,32 m.; 300 prętów kwadratowych to 1 morga.

od posagu siostry i z największą już regularnością procenty od połowy posagu żony. Potem płacił za syna w szkołach i za córkę na warszawskiej pensji. Co zostawało pieniędzy na utrzymanie domu, tym rządziła Marta. Co zostawało czasu od gospodarstwa i interesów, tego używał Korczyński na polowanie z wyżłem i czytanie gazety, przy którym najczęściej zasypiał. Gazeta mówiła o głośnych i dalekich sprawach, które coraz więcej wydawały mu się obce i jałowe. Wszystkie siły swe przelewał na ten warsztat, na którym od lat tyłu i z takim trudem tkął byt własny i przyszłość swych dzieci. Nici tkaniny rwały się ciągle i uciekały w głąb pasma; chwycił je, związywał i drżał o to, aby kiedykolwiek nie porwały się ze szczętem. Lękał się też wielu innych jeszcze rzeczy. Czasem zdawać się mogło, że zapominał mówić, tak był milczący. Kiedy zaś rozgadał się, nie o wszystkim mówił jasno. Nabył zwyczaju zastępowania niektórych zdań lub imion własnych trzema nic nie znaczącymi wyrazami: „To... tamto... tego...” Nie były one jego przysłowiem, bo nie używał ich zawsze, ale czasem, gdy zaciąwszy się w mowie i trochę jękając się zaczynał swoje: „To... tamto...” słuchaczom się zdawało, że mądry i filuterny błysk przelatywał mu w piwnych, posepnych źrenicach...

IV

Ustawiczne kłopoty i zajęcia pana Benedykta z jednej strony, a z drugiej słabe zdrowie pani Emilii i sposób życia, jaki wiodła ona od lat już wielu, nie dozwalałyby na utrzymywanie szerokich stosunków towarzyskich. Oboje też, choć dla przyczyn różnych, nie pragnęli ich wcale. On unikał wydatków i przeszkód w gospodarskich pracach, ona lękała się ruchu, gwaru i wszelkiej fatygi. Jednak zupełnie wyosobnionymi spośród ludzi być nie mogli. Dawne stosunki sprowadzały im niekiedy odwiedziny krewnych i sąsiadów; raz w rok, na imieniny pani domu przypadające w ostatnim dniu czerwca, zjeżdżała się do Korczyna znaczna ilość gości. Był to już zwyczaj przyjęty od tak dawna, że zmienić go było niepodobna bez uchybienia najprostszej przyzwoitości i narażenia się na niechęć wielu osób.

W wielkiej jadalnej sali około czterdziestu osób wstawiało od stołu okrytego staroświeckimi naczyniami z porcelany i kryształu, i ciężkim, również staroświeckim srebrem. Światło słoneczne, łagodzone przez zapuszczone u okien story, nadawało tej zastawie bogate połyski. Jak w całym dworze, tak i tutaj widać było obfite pozostałości dawnych dostatków tego domu. Nic nowego, ale wszystko, cokolwiek przez trafy losu wydarte nie zostało, ze starannością świadczącą o czujnych i czynnych głowach i rękach zaoszczędzone i przechowane.

Gospodyni domu, cała błyszcząca od dżetowych ozdób, które

ją okrywały, dała znak wstania od stołu. Z najstarszego przy stole miejsca powolnym ruchem podniosła się wdowa po Andrzeju Korczyńskim, kobieta na wiek swój jeszcze zadziwiająco piękna. Matka trzydziestoletniego syna, mogłaby prawie podbijać serca ludzkie, ale jak ogólnie w okolicy tej wiedziano, wszelka zalotność była jej zawsze i zupełnie obca. Od owej przed dwudziestu trzema laty wydarzonej straszliwej chwili, w której dowiedziała się, że jest wdową, nie zdjęła z siebie ani razu sukien żałobnych i w posagowym swoim majątku, wychowaniu i pieścienu jedynaka wyłącznie oddana, żyła jak zakonnica, świata unikając, a wszelkie przypuszczenia o możliwości powtórnego wyjścia za mąż odpierając nieprzezwykłonym chłodem. Toteż cnoty czystości i poświęcenia zdawały się od stóp do głowy przyoblekać jej wysoką i bogato rozwiniętą kibić, którą malowniczo opływała czarna i ciężka suknia. Czarne koronki i gładkie pasma jasnych, siwiejących włosów żałobną ramą otaczały twarz jej o rysach wydatnych i prawidłowych, delikatną bladością okrytych i zmaconych ledwie dostrzegalnymi zmarszczkami, które zbiegały się w drobne snopy około wielkich, smutnych oczu i chłodnych, dumnych ust. Najdrobniejsza błyskotka nie ożywiała jej wdowiego stroju; uśmiech wesół bardzo rzadko oświecał zamyślane rysy. Gdy szła albo do kogo przemawiała, głowę podnosiła wysoko i powieki spuszczała, co rzucało na nią podwójny wyraz wyniosłości i skromności, w którym przemagała wyniosłość. Jak wysoce poważali ją członkowie jej rodziny, świadczył o tym lękliwy nieledwie

pośpiech, z którym gospodarz domu, gdy tylko powstała z miejsca, podawał jej ramię.

Jakiś otyły i na jowialnego gastronomą wyglądający sąsiad ofiarował się na towarzysza siostrze pana Benedykta, pani Jadwidze Darzeckiej, całkiem do brata niepodobnej, przysadzistej, rumianej, gadatliwej i zanadto bogato w aksamit i brylanty strojnej kobiecie, która rękę swą bransoletami okrytą kładąc na ramieniu sąsiada, z za tłumu osób z krzesół powstających dojrzeć usiłowała, z kim dwie dorosłe i dwie niedorosłe córki jej od stołu odchodzić będą. Mąż jej, człowiek wysoki, sztywny, siwiejący, z arystokratycznymi rysami twarzy, który w czasie obiadu płynnie i kwieciście mówił o Włoszech, Paryżu, Ostendzie i różnych innych wsławionych punktach Europy, za gospodarzem domu i jego bratową siedł z panią Emilią. W ogóle na rodzinie Darzeckich znać było niepospolite w tych stronach bogactwo. On miał ruchy i mowę człowieka silnie stojącego na złotych nogach; panie były strojne i mówiły wiele o zagranicy i zabawach.

Równie bogaty albo i bogatszy jeszcze Teofil Różyc siedział był przy stole obok małej, zgrabnej, młodziutkiej blondynki, która szeleszcząc swą jasną atłasową suknią, żywo poruszając głową ubraną w kwiaty, z dziecinnymi prawie ruchami obnażonych śnieżnych ramion, szczebiotała mu po francusku: *comme quoi*⁶³ przed dwoma laty męża swego, Zygmunta

⁶³ *comme quoi* (franc.) – jak; jak to.

Korczyńskiego, na wodach⁶⁴ poznała; *comme quoi* podobał się jej od razu, ale rodzice jej, w odległych stąd stronach mieszkający, długo zgodzić się nie chcieli, aby ona tak wcześniej za męża wychodziła; *comme quoi* matka Zygmunta, pani Andrzejowa Korczyńska, tam przyjechała, za synem się wstawiła i wszelkie przeciwności zwyciężyła; *comme quoi* przed dwoma laty z Zygmuntem do tej okolicy przyjechała, ale okolica nie podoba jej się bardzo, naturę ma monotonną i prozaiczną, towarzystwa i rozrywek wcale nie ma; Zygmunt malować tu nie może, bo mu brakuje natchnień i tematów, więc pewno oboje wkrótce do Monachium lub Rzymu wyjadą, gdzie talent malarski Zygmunta *etc., etc.* Różyc, ze swą wykwintną postawą i białą jak welinowy papier twarzą, grzecznie słuchał tego ptaszącego szczebiotu, podtrzymując go rzucanymi czasem słowami, a często zza szkieł swych binokli patrząc ku przeciwległemu punktowi stołu, na którym Justyna, po francusku także, rozmawiała z niemłodą i bardzo w tym towarzystwie osamotnioną cudzoziemką, nauczycielką młodszych panien Darzeckich. Parę razy spojrzenia jego, wracając od Justyny, zbiegały się w drodze ze spojrzeniami siedzącego po drugiej jego stronie Zygmunta Korczyńskiego, przystojnego, choć trochę zbyt bladego i na wiek swój chmurnego bruneta. Obaj spoglądali często w jedną stronę, co na cienkie wargi Różyca sprowadziło szybki, ironiczny uśmiech. Ale młodziutka Klotylda, szczebiocząc, gestykulując, często w twarz męża wlepiając długie spojrzenia, nic wcale nie spostrzegła, a

⁶⁴ *na wodach* – w uzdrowisku; mówiono również: u wód.

kiedy wstawać od stołu zaczęto, z dziecinną prawie wesołością ramię Zygmunta pochwyciła i wznosząc ku niemu swą zgrabną główkę i swe szafirowe oczy, do niego znowu szczebiotać zaczęła.

Tak utworzyły się cztery naczelne pary, za którymi posunęło kilka innych, daleko skromniej wyglądających, złożonych z kobiet i mężczyzn, których ubranie i twarze zdradzały walkę z losem dość ciężką. Byli to sąsiedzi Benedykta Korczyńskiego, mniej więcej w takim jak i on położeniu będący i podobny prowadzący sposób życia. Kobiety tam były w podstarzałych materiałach i tanich błyskotkach; mężczyźni ogorzali, wąsaci, ubrani wcale nie według ostatniej mody. Pomędzy tymi kilkunastu twarzami kobiecymi i męskimi znajdowały się takie, którym spracowanie czy zgryzoty wychudziły policzki i przedwczesnymi zmarszczkami okryły czoła; teraz jednak, wśród licznego zebrania, czuli się i oni czy usiłowali okazać się wesołymi, a w dodatku jeszcze eleganckimi. Chód i ruchy ich zdradzały, że takie ceremonialne odchodzenie od jadalnych stołów zwyczajne im nie było, że jeśli i znali kiedyś podobne parady, to od dawna od nich odwykli. Mężczyźni nie czynili sobie nawet wielkiego przymusu, ale panie krygowały się nieco, próbowały ruchów majestatycznych lub polotnych, uśmiechami ozdabiały przywiedłe usta, przez co nabierały charakteru obcej im może kiedy indziej nadętości lub gapiowatości.

Za tymi skromnymi parami, na których najwyraźniej odbijało się piętno czasu i miejsca, nastąpiło znowu kilka par świetnych.

Różyć prowadził strojną pannę Darzecką, która miała wysoki wzrost Korczyńskich i chłodne rysy swego arystokratycznego ojca, a której narzeczony, blady blondyn z angielskimi bokobrodami i tytułem hrabiego, podawał ramię siostrze jej, młodziankiej i żywej, zalotnej brunetce. Potem szedł jeszcze Kirło prowadząc Teresę Plińską, która dnia tego już nie twarz, ale gardło obwiązane miała batystową chusteczką, a prowadził ją w ten sposób, że kilka patrzących na to osób uśmiechnęło się albo nawet zaśmiało głośno. Krygował się, ramię jej do boku swego przyciskał, o czymś jej szeptał; widocznie towarzyszkę tę wybrał sobie dla żartu i śmiechu. Na koniec w nieładzie już posypała się młodzież płci obu pod przewodnictwem dwudziestoletniego syna i czternastoletniej córki gospodarstwa.

Justyna, powstawszy z miejsca, szybko przybliżyła się do ojca, który na ogólne wstawanie od stołu nie zważając, pilnie i chciwie dojadał ogromną porcję galarety i biszkoptów. Ku schylonej nad talerzem i srebrem siwizny okrytej głowie jego schylając swą głowę, ubraną tylko w czarny warkocz i parę świeżych kwiatów, z lekka ramienia jego dotknęła.

– Chodźmy, ojcze!

– Zaraz, zaraz – odmruknął – tylko widzisz... skończę...

– Wszyscy odchodzą – bardzo cicho nalegała – samemu tak przy stole zostawać nie wypada...

Błękitne, wilgotne, z rozmarzonym wyrazem oczy starego znad talerza podniosły się na pochyloną twarz córki.

– Nie wypada... to prawda, że nie wypada; a kiedy nie

wypada, to nie ma już co... chodźmy...

Raz jeszcze spojrzął na pozostałą pośród talerza galarete, starannie serwetą otarł swe pulchne, pąsowe usta i siwe wąsy, wstał, właściwym sobie ruchem, wysuwając nieco naprzód żołądek, wyprostował się. Justyna wsunęła mu rękę pod ramię. Poszli za innymi, lecz w znacznej od innych odległości.

– Dobry był obiad – mrucał stary – bardzo dobry... Polędwica trochę, nie te... ale kurczęta i szparagi... caca! Jadłś, Justynko, a?

– Jadłam, ojczy – odpowiedziała.

– Che, che! – zaśmiał się filuternie i na córkę spojrzął – albo to ty na takie rzeczy uważasz? U ciebie jeszcze fiu! fiu! w głowie! Słyszałem dziś, jak Kirło mówił Benedyktowej, że ten Różyć w tobie... te... a i Zygmus znowu dojeżdżać zaczyna... dawne dzieje... przypominają się może? a? choć już żonaty... ale serce to te... sługa... wiem ja to sam... pamiętam.

Justyna szła zwykłym swym równym krokiem, z głową nieco podniesioną i patrzyła w ziemię; można by myśleć, że słów ojca nie słyszała.

W sali jadalnej pozostało tylko parę lokajów, którzy, z gośćmi przybyli, pomagali w usłudzywaniu przy stole jednemu w tym domu lokajcykowi. Pozostała tam także Marta, w dniu tym świątecznie ubrana, z kolorową kokardą na szyi i wysokim grzebieniem we włosach. Do obiadu prawie nie siadała, chociaż nakrycie dla niej znajdowało się na stole; nadzorowała przynoszenie półmisków, kolej podawania

wszystkiego, dokładność i szybkość usługi. Zapewne już i na parę dni pierwej przed tym dniem, zupełnie w domu wyjątkowym, panna Marta sporo do czynienia mieć musiała, bo gdy wszyscy wyszli już z sali, ciężko na jedno z krzeseł opadła i splecione ręce na kolana opuściła. Zgarbiła się przy tym i pochyliła głowę tak, że wydawała się skurczona i jakby w sobie zwinięta. Spod schylonego czoła, na które zbiegło mnóstwo zmarszczek, zamyślonym spojrzeniem wodziła po długim stole i w nieładzie około niego stojących krzesłach. Powoli głową trząść zaczęła tak, jak ktoś, kto wspomina i wśród miejsc tych samych pamięcią ściga wcale inne obrazy i twarze. Powoli też ogniste oczy jej przygasały, nieruchomiały i zachodziły wilgotną mgłą. Nagle odezwał się za nią ostry dyszkant domowego lokaja, Franka:

– Kawę przyniosłem!

Jak sprężyną podniesiona z krzesła wstała i dwoma szerokimi krokami przystąpiła do bocznego stołu, na którym tylko co postawiono wielki imbryk ze zgotowaną kawą. Chwytiła imbryk i nalewać poczęła kawę do starych porcelanowych filiżanek.

– Franek! – zagrzmiął na całą salę głos jej basowy i trochę ochrypy – po jakimu to filiżanki wytarte! Pył na spodzie! Podaj mi tu czystą serwetę, niedołego, słyszysz?

Tymczasem odchodzące od stołu pary przebyły wielki przedpokój i do połowy salonu doszedłszy, rozstawały się ze wzajemnymi ceremonialnymi ukłonami. Pani Andrzejowa, nie podnosząc powiek, cieniem uśmiechu i lekkim pochyleniem

głowy, którą wnet znowu wysoko podniosła, podziękowała szwagrowi. Darzecka rękę otyłego sąsiada, który jej świętego wydawania córki za hrabiego winszował, ścisnęła tak mocno, że aż bransolety jej głośno zadzwoniły. Młodziutka i malutka Zygmunta Korczyńska złożyła przed swoim chłodnym i zachmurzonym mężem dyg żartobliwy, a tak głęboki, że aż prawie do ziemi przysiadła, po czym wnet znowu pochwyciła jego ramię, jakby ani na chwilę rozstawać się z nim nie chciała.

– *Tu fais des folies, Clotilde*⁶⁵ – z cicha upomniał ją mąż.

– *Mais puisque je suis folie de toi*⁶⁶ – tuląc się mu do boku i oczy ku niemu wznosząc odszepnęła.

Pani Emilia, wiodąc panie ku głównym kanapom i fotelom, kończyła rozmowę z wysokim i sztywnym szwagrem swego męża, który z galanterią zwracając ku niej swą delikatną, bladą, w wąską ramę siwiejących bokobrodów ujętą twarz, płynnie i ozdobnie mówił tym razem o Szwajcarii.

– Gdyby bratowa chciała kiedy wyrwać się z tego zakątka i czas jakiś przepędzić w uroczej Szwajcarii, zdrowie jej i humor uległyby niezawodnie bardzo szczęśliwym zmianom.

Jednak zdrowie jej i humor wydawały się dziś doskonałe i patrząc na jej z lekka zarumienione policzki, promieniejące oczy i pąsowe usta, nikt by nie odgadł męczarni, które przez kilka dni poprzednich przebywała. Już przyjazd dzieci na wakacje, mieszając w zwykły tryb jej życia trochę ruchu i

⁶⁵ *tu fais des folies, Clotilde* (franc.) – postępujesz jak szalona, Klotyldo.

⁶⁶ *mais puisque je suis folie de toi* (franc.) – ależ ja szaleję za tobą.

gwaru, stał się dla niej przyczyną wzmożonego bicia serca i paru bezsennych nocy. Wobec mającego wkrótce nastąpić w domu jej zebrania śmiertelnie lękała się na ten dzień właśnie dostać migreny, chrypki, newralgii, żołądkowej niedyspozycji, czegokolwiek słowem takiego, co by jej fatygę przyjmowania gości uniemożliwiło. Z tą obawą przebywała dnie i budziła się nocami, biorąc zdwojone dozy bromu, laurowych kropeł i magnezji, płuczac gardło roztworem różnych soli i kor, smarując maściami zagrożone bólem miejsca. Trwało to aż do dzisiejszego ranka, w którym przy bardzo starannym i długim ubieraniu się przypomniała sobie dawne, lepsze czasy i zapragnęła znowu być choć przez dzień jeden taka, jak niegdyś, niegdyś... Wyszła do salonu dziwnie wzmocniona i podniecona, z żywością ruchów, których wczoraj jeszcze nikt by się w niej ani domyślił, z tym samym rozpromienieniem oczu i uśmiechu, z jakim teraz zwróciła się ku dwom sąsiadkom, które zapytywały ją o jej słabe i tak bardzo, bardzo delikatne zdrowie.

Za otwartymi na oścież szklanymi drzwiami stała wysoka ściana zieloności, w której klony, wiązy, lipy, jawory, w nierozwikłany chaos mieszając potężne swe gałęzie, zdawały się tłumnie tłoczyć i następować na siebie. Gęste sploty dzikiego wina, tworząc grube kolumny i przezroczyście festony, ocieniały obszerny i kilku wschodami z ogrodem rozdzielony ganek, na który gospodarz domu wyprowadził starszych sąsiadów swych i krewnych, częstując ich tam cygarami. W jednym z rogów salonu, przy otwartym fortepianie, Różyc, młody

hrabia z angielskimi bokobrodami i Zygmunt Korczyński, którzy znać cygar palić nie chcieli, bo na ganek nie wyszli, rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, ale bardzo uprzejmie. Mało sobie znani, zeszli się oni z sobą, pociągnięci niby prawem naturalnego doboru. Pomimo bowiem wielkich różnic powierzchowności, z ubiorów swych, gwałtownie na pamięć przywodzących żurnale mód, z postaw i ruchów, nic pod względem wykwiutności nie pozostawiających do życzenia, ze sposobu mówienia, wyróżniającego się lekkim cedzeniem sylab i przymieszką francuskich wyrazów, z kobiecego prawie wydelikacenia cery i rąk – byli oni bardzo do siebie podobni, przedstawiali niejako jeden typ, przez pewne warunki urodzenia, wychowania i majątku wyrabiany. Tylko że hrabia cedził sylaby i francuszczyzny używał najwięcej, a Zygmunt Korczyński najmniej; przy tym u tego ostatniego w układzie włosów, wyrazie twarzy i przybieranych pozach było coś marzącego i jakby nałóg do malowniczości zdradzającego, co koniecznie przypominać musiało artystę.

Istotnie, opowiadał on w tej chwili dwom towarzyszom swym o paroletnim pobycie swym w Monachium, który więcej mu przyniósł korzyści i artystycznych uciech niż kilkuletnie studia odbyte w szkołach sztuk pięknych, wiedeńskiej naprzód, a potem trochę w paryskiej i dusseldorfskiej. Hrabia chwalił także Monachium, Wiedeń, Paryż, ale przekładał Włochy, gdzie wśród najpiękniejszej natury znajdowały się według niego najpiękniejsze w świecie kobiety. Różyc znowu najdłużej

mieszkał w Wiedniu, to miasto znajdował najweselszym i w nim – jak o tym z ironicznym uśmiechem nadmienił – najpiękniejsze swe pozostawił wspomnienia. Po kilku minutach podobnej rozmowy razem jakoś podnieśli powieki i uważniej niż przedtem wzajemnie na siebie popatrzyli. W spojrzeniach ich, oprócz zwiększonej uwagi, przemknął cień ironii i wszystkim trzem razem błyskawiczny uśmiech przemknął się po ustach.

– Pomyślałem sobie właśnie w tej chwili – więcej jeszcze niż zwykle cedząc sylaby zaczął hrabia – jak to dziwnie i... trochę... ambarasująco⁶⁷... poznawszy te wszystkie miejsca, o których tylko co mówiliśmy, spaść na jakąś jałową i głuchą pustynię...

Najpewniej wszyscy trzej razem o tym samym pomyśleli. Różyc nerwowym ruchem pociągnął sznurek od binokli i uwalniając na chwilę od szkieł oczy swe, których czarne źrenice przyciągały były i smutne, niedbale wymówił:

– *Tout lasse*⁶⁸.

– Ale pan – zwrócił się do Różyca Zygmunt Korczyński – nie miałeś jeszcze czasu zmęczyć się tą głuchą i nudną pustynią, o której wspomnieli hrabia, od trzech miesięcy dopiero mieszkając w swoich tutejszych majątkach. Ja, który obywatelskiego nowicjatu liczę już dwa lata, mogę powiedzieć panu, że... ambaras mój, jak wyraził się hrabia, granic nie ma i że dotąd jeszcze nie doszedłem do zrozumienia, jakim sposobem pośród tych stodół, obór i tak zwanych interesów

⁶⁷ *ambarasujący* – kłopotliwy.

⁶⁸ *tout lasse* (franc.) – wszystko nuży.

wyżyć potrafię...

– Na pociechę swą i uprzyjemnienie czasu masz pan przynajmniej piękny talent – uprzejmie podjął Różyc.

Po bladej, ciemnymi bokobrodami otoczonej twarzy Zygmunta, przebiegł bolesny prawie niepokój.

– Zaczynam wątpić, czy go posiadam – z pozorną niedbałością, ale przykrym zagięciem ust odpowiedział.

– Jakież teraz płótno przygotowujesz pan... – zaczął hrabia.

I nie dokończył, gdyż zza Różyca i Zygmunta wysunął się w tej chwili młodzieńcy, dwudziestoletni chłopak, w którym na pierwszy rzut oka można było poznać studenta. Średniego wzrostu i bardzo zgrabny, poruszeniami ciała i grą fizjonomii zdradzał organizację niezmiernie żywą i nerwową. Rysy twarzy miał delikatne i piękne, ale cerę bladawą i zmęczoną; drobny, jasny wąsik zaledwie zaczynał osypywać mu górną wargę, a z wielkich, piwnych oczu, zupełnie do oczu Benedykta Korczyńskiego podobnych, zdawały się sypać iskry i tryskać płomienie. Z żywością i zapałem, które widocznie zwyciężać musiały trochę nieśmiałości i zmieszania, z rękami w tył założonymi i lekkim ukłonem, zwrócił się ku Różycowi.

– Przepraszam pana – zaczął głosem prawdziwie młodzieńczym i trochę więcej niż wypadało podniesionym – ale tak chciałbym wiedzieć, jakie reformy i urządzenia wprowadzić pan zamierza w swojej Wołowszczyźnie. Słyszałem, że są to dobra bardzo zaniedbane, i jak dowiedziałem się, że pan w nich sam zamieszkałeś, ucieszyłem się nadzwyczajnie. Tak cieszyłem

się, doprawdy, że będę miał przyjemność poznać pana, i tak obiecywałem sobie obszernie o tym z panem pomówić... że... że nie mogłem sobie odmówić...

Przed kilku godzinami młodziutki syn gospodarstwa został przez ojca swego tym z gości, którzy go jeszcze nie znali, przedstawiony; wiedząc więc, kim był ten, kto go teraz z widocznym połączeniem żarliwości z nieśmiałością napastował, Różyc uśmiechnął się uprzejmie i po chwili wahania odpowiedział:

– Bardzo mi przyjemnie i chciałbym prawdziwie życzenie pańskie spełnić... tylko... tylko, że o wprowadzeniu reform czy ulepszeń w Wołowszczyźnie dotąd nie pomyślałem...

Szczere, naiwne, głębokie zdziwienie odbiło się na ruchliwej i wyrazistej twarzy studenta.

– Jak to!... – zaczął – a ja myślałem, że właśnie tacy ludzie jak pan, młodzi i możni... dawać muszą inicjatywę... przykład... naukę...

– Ależ ja wcale nie jestem już młody! – z silnym drganiem czoła i trochę przykrym śmiechem zawołał Różyc.

– *Quand on a mange un million, on se sent un siecle sur le dos, n'est-ce pas*⁶⁹ – z trochę koleżeńską poufałością szepnął do Różyca hrabia.

Ale młodziutki Witold Korczyński na przerwy te nie zważał i mówił znowu:

⁶⁹ *quand on a mange...* (franc.) – gdy się przejadło milion, czuje się cały wiek na barkach, nieprawdaż?

– Mnie to, widzi pan, niezmiernie interesuje... Od dwóch lat nie byłem w domu, bo w przeszłym roku ojciec pozwolił mi spędzić wakacje na praktyce agronomicznej w pewnych wielkich i wzorowo zagospodarowanych dobrach... Teraz skończyłem w szkole kurs drugi i mam już niejaki wyobrażenie o tym, jak być powinno, wiedząc dobrze skądinąd, jak w naszych stronach jest... Mnie się zdaje, że jest bardzo źle pod każdym względem, i że panowie powinniście ogromnie wziąć się do pracy i nad ziemią, i nad ludem, aby...

– Widziu – z pewnym zakłopotaniem do stryjecznego brata przemówił Zygmunt – głowę masz tak napelnioną teoriami, że wygłaszać je potrzebujesz zawsze i wszędzie... Jest to zwykłą cechą pierwszej młodości...

– Naturalnie – prostując się i głowę podnosząc przerwał Witold, a z oczu posypały się mu iskry – i nie obraziłeś mnie wcale, Zygmunco, przypominając, że jestem bardzo młody. Ty zresztą także młody jesteś i nie masz prawa usypiać na swych malarskich laurach. Cóż byś, na przykład, odpowiedział mi, gdybym cię zapytał: jak w twoich Osowcach stoi lud wiejski... tak... na przykład... pod względem oświaty... moralności, ekonomicznego bytu?...

– Odpowiedziałbym, że stoi on pod tymi wszystkimi względami jak najgorzej... – z niedbałym uśmiechem odparł Zygmunt.

– I ty o tym możesz tak lekceważąco mówić! I panowie możecie tak obojętnie względem tego się zachowywać! – oburzył

się chłopak i znowu zwrócił się do Różyca. – Mnie się zdaje, że pan chyba inaczej myślisz o tym niż Zygmunt... on tak był wychowany... zresztą... artysta! Ale pan pewnie zechcesz zstąpić do klas niższych, tak długo zaniedbanych, a którym wszystkie idee naszych czasów przyznają prawo...

– Mój Widziu – z widocznym już znudzeniem przerwał znowu Zygmunt – idee czasu są rzeczą bardzo piękną...

– I szanowną – z uśmiechem dorzucił hrabia.

– Ale spytaj się swego ojca, w jakie położenie popadł był kiedyś, kiedy to zamierzał zstępować... dźwigać.

Witold zarumienił się jak zmieszana dziewczyna, spuścił oczy i wyjąkał:

– Mój ojciec... nie jest dość możny... nie posiada może dość środków...

Widocznie ta wzmianka o ojcu sprawiła mu przykrość, wnet jednak z odrodzoną żarliwością zwrócił się do Różyca:

– Ale pan... – zaczął.

Tu przecież głos młody także, choć trochę grubszy od jego głosu, przerwał mu wykrzyknikiem:

– Witold ma słuszność, zupełną słuszność! Któż, jeśli nie panowie, powinien naprawiać błędy starszych, a nam młodszym drogi torować?... Gniew przejmuję, kiedy przybywając z szerokiego świata widzimy, jak wszystko zastojowi okropnie ulega. Gospodarstwa rutyniczne albo zrujnowane, ziemia z rąk waszych ucieka, lud dziczeje, a nikt ani palcem nie poruszy, aby cokolwiek podnieść... udoskonalić...

Z tymi słowami w sukurs Witoldowi przybywał nieco starszy od niego kolega szkolny, student tak jak i on, syn jednego z obecnych tu i w tej chwili na ganku siedzących obywateli.

– Temperatura podnosić się zaczyna – szepnął do Różyc hrabia.

Ale Różyc wszystkich tych przemów studentów słuchał ze spuszczoneymi oczami, nerwowym ruchem palców igrając ze sznurkiem od binokli, z drgającym, tak drgającym czołem, że drgania te dosięgały skóry czaszki pod rzadkimi, ufryzowanymi włosami. Coś go dręczyło i jakby zamierzał koniec położyć sytuacji dla niego przykrej, zwrócił się do Zygmunta z prośbą, aby przedstawił go on matce swojej.

Hrabia podążył z wolna ku punktowi salonu, w którym znajdowała się jego narzeczona; dwaj studenci, wraz z trzecim, który się do nich przyłączył, żywo rozmawiając i gestykulując usunęli się na stronę, a Zygmunt Korczyński i Różyc przebywali całą długość salonu zmierzając ku fotelowi, na którym w gronie pań, ale milcząca i nieco wyosobniona, siedziała pani Andrzejowa. Na ukłon przedstawianego jej dystyngowanego pana odpowiedziała zwykłym sobie powolnym pochyleniem głowy, która ani na chwilę nic ze swego wyniosłego i surowego charakteru nie utraciła. Dopiero kiedy Różyc obok niej usiadłszy mówić zaczął o tym, że widział i podziwiał na jednej z wielkomijskich wystaw obraz, który przed trzema laty wyszedł był spod pędzla jej syna, podniosła powieki i w twarzy stojącego przed nią Zygmunta z nieopisanym spojrzeniem zatopiła swe

oczy, jeszcze bardzo piękne, choć widać było, że barwę ich i blaski przez długie lata gasiły tęsknoty i łzy. Przy tym surowe jej usta rozwarły się nieco i zarysowały uśmiech niewymownej tkliwości i słodyczy. Był to jednak przelotny błysk, po którym grzecznie, ale chłodno rozmawiać zaczęła ze swym nowym znajomym o talencie Zygmunta, o przeszkodach, jakie znajduje on w rozwijaniu go, odkąd mieszka w domu, o trudności połączenia zawodu gospodarza wiejskiego z natchnieniami i potrzebami artysty... Przy tych ostatnich uwagach wbrew zwyczajnemu układowi swemu uczyniła parę niespokojnych poruszeń i znowu oczy na syna podniosła, tym razem przecież badawcze i trochę strwożone. Ale do ramienia Zygmunta pośpiesznie uczepliła się już młodzianka jego żona i z zalotnymi minkami coś do niego szepcąc, uprowadziła go na stronę. Niektóre z pań siedzących na kanapie i fotelach nieznacznie ukazywały sobie młodą parę, oględnie i z cicha robiąc uwagi, że w tym małżeństwie czułość żony o wiele stopni przenosi czułość męża, że ona, dość posażna, świetnie skoligacona i wychowana, wydaje się zakochana w nim bez pamięci, a on ma bardzo minę człowieka położeniem swym znudzonego. Wieści chodzą, że gospodarstwem prawie się nie zajmuje i interesy swe wcale nieosobliwie prowadzi, a pani Andrzejowa żałować już zaczyna, że wychowała syna w nadzwyczajnych pieśczościach, z dala od kraju i tego kawałka ziemi, na którym żyć mu wypadało.

– Dobrze jej tak, bo jest dumna jak udzielna księżna i syna za półbożka miała... – zagadała jakaś żywa i mowna sąsiadka,

jedna z tych, których jedwabne suknie nosiły na sobie widoczne ślady dawności i kilkakrotnych przerabiań.

Druga, łagodniejsza, z długą, mizerną twarzą na dłoń opartą, inaczej o tym sądziła. Głową ubraną w dziwne jakieś pióra powoli wstrząsając, smutnie zaczęła:

– Bez ojca chowany... bez ojca!... Co to jest chłopców wychowywać bez ojca, to ja wiem, bo i mnie w tym samym czasie, co i pani Andrzejowej, opiekuna dla synów zabrakło!...

– Ciotkę miał za to – sprzeciwiła się pierwsza – tę Darzecką, co to wypadkiem za bogatego człowieka wyszedłszy, sama nie wie, jak dąć się i stroić... Ona także synowczykowi poduszczeni pod boki podkładała i geniusz wmawiała...

– Przez pamięć dla brata może – broniła druga – przez pamięć dla brata... i jakiegoż brata i człowieka!... Sierotę po nim pieściła i jak najwyżej wyniesionym widzieć pragnęła.

Kawa czarna i towarzyszące jej napoje już przez lokajów rozniesione zostały, ale tacę z likierami Kirlo pochwycił z rąk służącego i na bocznym stole w salonie ją postawił. Kościste policzki jego rumieniły się trochę, oczy błyszczały, najjowialniejszy w świecie uśmiech otwierał wąskie usta. Był w tej chwili upostaciowaniem doskonałego zadowolenia ze zjedzonego obiadu, wypitego wina i najbardziej może z panującego dokoła towarzyskiego gwaru. W dwóch palcach jednej ręki trzymając zgaszone przez wzgląd na panie cygaro, drugą trzymał flakony napełnione płynami różnych barw i wabił nimi ku sobie wszystkich, którzy się znajdowali w pobliżu. W

poblizu tacy z likierem znalazł się naprzód ów otyły i na wesołego gastronomo wyglądający obywatel; podążyło ku niej potem z ganku paru innych sąsiadów, stanął też przy niej z opróżnionym kieliszkiem w rękę stary Orzelski.

– A co pan piłeś? maraskino? różany? kawowy? – zagadał Kirło. – Może innego teraz? którego? służę!

– Kawowego kropeczkę, jeżeli łaska!

– Dobrze, a który to?

– Drugi! – z dobrodusznym uśmiechem i rozkosznie ustami cmokając odparł ojciec Justyny.

– Bóg trójęce lubi! – zawołał częstujący i przed starym, którego okrągła twarz rumieniła się coraz bardziej, postawił jeszcze jeden napełniony kieliszek.

Wszyscy blisko stojący zaśmieli się wiedząc, że żartowniś zmierza do zupełnego upojenia starego, ale on wymawiał się i jeden kieliszek do ust niosąc, drugi na środek stołu odsuwał.

– Nie... nie... nie... – tłumaczył się – gdybym jeszcze ten wypił, to nie mógłbym te...

– Czego byś nie mógł? – spytało na raz ze śmiechem kilka głosów.

– Grać – odpowiedział.

– Racja! – odrzekł Kirło. – No, to kiedy pić pan nie chcesz, idź przynajmniej do pańienek. Widzisz pan, jaką smutną minę ma panna Teresa... ot, tam, z gardłem obwiązany siedzi i marzy... pewno o panu... Bo panowie może nie wiecie, jaki to z naszego muzyka bałamut i amator płci pięknej... ho, ho! Kiedyś był

sławny z tego... a i teraz jeszcze... panna Teresa wie o tym najlepiej...

Ktoś mu przerwał zapytaniem jakimś, więc zaczął o czym innym mówić i żartować z kogo innego. Orzelski zaś w dwóch palcach trzymając kieliszek, do połowy jeszcze zielonym trunkiem napełniony, drobnym krokiem, z dobrodusznym wyrazem oczu i uśmiechu, wyprostowując się i wyginając naprzód okrągły żołądek, zmierzał istotnie ku gronu panien, które wielkim półkołem obsiadły stół, piętrzący się albumami i ilustracjami w zniszczonych oprawach.

W gronie tym złożonym ze starszych Darzeckich i kilku innych panien, mniej lub więcej wykwintnie ubranych i wesoło rozmawiających, znajdowała się i Justyna. Ciemny i niekosztowny jej ubiór uderzająco wyróżniał się pośród różnobarwnych i jasnych strojów, a głowa, tylko czarnym warkoczem i parą świeżych kwiatów ozdobiona, prawie surowego charakteru nabierała od wszystkich tych strojnych, ruchliwych i wesołych główek. Ona wesoła nie była. Już Darzeckie, bliskie jej krewne, uczyniły jej uwagę, że jak zazwyczaj ubrała się niewłaściwie i w ubraniu tym, a także ze swym milczącym usposobieniem, wygląda jak desperatka.

Uczucia desperacji może nie doświadczała, ale w toczących się rozmowach o zagranicy i wyprawie młodej narzeczonej, o różnych towarzystwach, zabawach, nowych książkach i słynnych w tej chwili kompozycjach muzycznych prawie żadnego nie przyjmowała udziału. Chwilami, gdy zamyślała się

i nieruchomym wzrokiem patrzyła w przestrzeń, można było zgadnąć, że czuła się zupełnie na zewnątrz tego wszystkiego, co dokoła niej zajmowało i rozweselało innych. Ciężka nuda spłynęła jej na oczy i usta, czyniąc w tej chwili twarz jej daleko starszą, niż była istotnie. Znużenie i zeszywnięcie rysów nie pierchło wtedy nawet, gdy zobaczyła swego ojca około tacy z likierami i usłyszała głośne żarty Kirły wraz ze wtórczymi im śmiechami sąsiadów. Nie uczyniła tym razem nic, aby przeszkodzić tej zresztą dość pospolitej igraszce, i w poczuciu bezsilności własnej nieruchoma pozostała. Tylko brwi jej ściągnęły się nad oczami, które znudzone, znużone, napełniały się wyrazem niepocieszalnego smutku. Ale jakichkolwiek w tej chwili doświadczała uczuć, nikt ich nie spostrzegął i nie odgadywał. Widoczne było, że obojętna dla wszystkiego, co ją otaczało, nawzajem żadnej takiej nie przedstawiała cyfry, z którą by ktokolwiek dla jakichkolwiek przyczyn liczyć się tu chciał czy musiał. Towarzyski i kuzynki dla milczącego jej humoru i może skromnego stroju trochę się od niej odwracały, hrabia tuż obok niej prowadzący ze swą narzeczoną dowcipną szermierkę ignorował ją zupełnie; dwaj ludzie, którzy w czasie obiadu szturmowali ją przelotnymi, ale znaczącymi spojrzeniami, przed chwilą salon opuścili. Różyc, którego stopniowo, ale bardzo widocznie opanowywało dziwne dla wszystkiego zubożenie, ze ściemniałą nagle cerą i zgasłymi oczami nieznacznie wysunął się w kierunku sali jadalnej. Zygmunt Korczyński, po cichej, ale dość żywej rozmowie z żoną, którą na koniec obok matki swej

umieścić, wyszedł na ganek.

Na ganku rozstawiono już stoły kartowe, ale grono poważnych panów jeszcze do gry nie zasiadało. Kończyli picie likierów, palili cygara i gwarnie rozmawiali. Wprzódy nieco do salonu dolatywały z rozmowy ich niektóre słowa, rzecz by można techniczne czy profesjonalne, jako to: tyle i tyle kopiejek za pud⁷⁰ takiego i takiego zboża; tyle i tyle za wiadro wódki; taki i taki umłót; taka i taka orka, siejba, kośba itd. Teraz jednak mówili już o polityce. Przedmiotu tego dotknął pierwszy Darzecki, który pod grubą kolumną zieleni sztywnie stojąc i kręte nitki cygarowego dymu z cienkich warg wypuszczając, płynnie i kwieście mówił o różnych w gazetach wyczytanych przewidywaniach i kombinacjach. Niektórzy z sąsiadów żywszymi albo i rubasznymi uwagami i wykrzykami mowę tę przerywali. Najbardziej nawet ogorzali i zgrubiali, najmniej z pozoru do czynienia mieć mogący z jakimkolwiek drukiem, przy tej okoliczności mówili o krajach dalekich i ludziach potężnych, zapalając się przy tym, rozprawiając i zawzięte zawodząc sprzeczki. Gospodarz domu w rozmowie tej najmniejszy przyjmował udział. Prawie pośrodku ganku siedział on na żelaznym krzeselku w takiej pozycji, że od ogarniającej go płachty światła postać jego odcinała się w pełni swych silnych i ciężkich zarysów i że można mu było prawie policzyć wszystkie zmarszczki na czole i policzkach i wszystkie białe nitki w gęstych i ciemnych włosach. Z ramieniem położonym na stojącym przed

⁷⁰ pud – ros. jednostka wagi równa 40 funtom, czyli 16,38 kg.

nim stoliku, machinalnie bawiąc się kieliszkiem, w którym łamał się promień słońca, odzywał się rzadko, a pochyloną nieco głowę wstrząsał czasem i uśmiechał się to filuternie i niedowierzająco, to smutnie. Raz jednak, wśród najbardziej ożywionej rozmowy, jakby sobie coś nagle przypomniał, głowę podniósł, uśmiechnął się, kieliszkiem o stół uderzył i zawołał:

– Te gazety, moi panowie, to czyste zawracanie głowy i nic więcej! Jak się ich człowiek na noc naczyta, to potem śnią mu się takie rzeczy, że wołałby wcale nie spać.

Spod zielonej kolumny trochę ironiczny głos Darzeckiego zapytał:

– Cóż takiego? Czy miałeś, panie Benedyckie, z powodu gazet straszny sen jaki?

– Naturalnie – odparł Korczyński – i jak jeszcze straszny!

Uśmiechnął się żartobliwie, ale zarazem długiego węża mocno w dół pociągnął.

– Nie jestem przecież babą, abym snami miał się przerażać – zaczął – ale miałem jeden taki, że każdemu by od niego włosy dębem na głowie stanęły. Ot, jak było. Przed dwoma jakoś miesiącami naczytałem się był wieczorem o wojnach takich, co były, są, będą i licho już zresztą wie jakich. Zaraz potem położyłem się, usnąłem i śni się mnie... uważacie, panowie, że do Korczyna naszło mnóstwo wojska bismarkowskiego... słowem, pruskiego wojska... Dziedziniec i ogród pełen żołnierzy, dom pełen oficerów... Ja w strachu! Zniszczą Korczyn, myślę sobie, do góry nogami przewrócą, spalą, stratuja, rozerwą, jeżeli nie

przyjmę ich tak, jak tego żądają... Co robić? Wola, niewola, przyjmuję... Tak, zdaje się, zwijam się, tak częstuję, karmię, poję, zapraszam, w oczy patrzę, czy kontenci... A oni piją, jedzą, hałasują, hulają... Chwała Bogu, kontenci, myślę sobie, i sam kontent jestem... Ot, myślę, zaraz pójdą sobie z Panem Bogiem, objadłszy mnie, co prawda, dziedziniec i ogród zdeptawszy, ale resztę w całości zostawiając... Już zdaje się i odjeżdżać sobie mają... żołnierze na konie siadają, oficerowie szable przypasują... już zaraz i cicho u mnie będzie... Wychodzę, zdaje się, na ganek, z wielkim ukontentowaniem, aż tu, panie, patrzę, z tych pagórków, co to wiecie, tam het, za równiną... drugie wojska...

Tu zaciął się.

– To... tamto...

Promień słońca filuternym błyskiem przebiegł mu w piwnych źrenicach.

– Cóż? Strach mnie do szpiku kości przejął... lecą! to... tamto... panie, pędzą... także do Korczyna... wprost do Korczyna... a tamci jeszcze nie wyjechali... Masz! myślę sobie... Przyjmowałem jednych, aby mi dworu z dymem nie puścili... a teraz to... tamto... i będzie mnie tu ostatni amen! Jak chcesz, człowiecze, kręć się i wierć się, nie wykręcisz się i nie wywiercisz. Z tej strony ci w skórę i z tamtej... także w skórę! O Jezus, Maria! Obudziłem się cały w potach i nazajutrz chodziłem jak struty.

– Sen mara! – tonem pocieszenia odezwał się ktoś z obecnych.

– Prawdziwie typowy sen! – zawołał Darzecki z tak głośnym śmiechem, jakby w tej chwili zwykła dystynkcja zupełnie wyszła mu z głowy; ale zarazem szyję, zazwyczaj sztywnie wyprostowaną, zgarbił nieco, przez co kółka cygarowego dymu, dotąd triumfująco sobie w górę ulatujące, ciężko jakoś wionęły ku ziemi.

– Co tam! – zaczął w kącie ganku jakiś widocznie zgryźliwy i mocno przez życie gryziony sąsiad – co tam te Prusaki! Bez Prusaków najbliżsi sąsiedzi ogryzą nas jak psy kości... Jeszcze jednego procesu z chłopami o pastwisko nie ukończył, a już mi drugi o grunt pod leśnictwem wytoczyli!...

– Oj, te procesy! – stęknął pan Benedykt.

– Napłodziło się ich u nas jak robactwa w mokre lato! – zauważył ktoś inny.

– *A propos!* – zaczął Darzecki – jakże tam jest z tym twoim procesem, panie Benedyckie, który ci ta szlachta... jakże się nazywa?... wytoczyła?

– Bohatyrowicze! – podjął Korczyński – a cóż? złupić chcą ze mnie pięćdziesiąt dziesięcin wygonu... ktoś w nich wmówił, że one do nich należeć powinny... Wnieśli do sądu... i w pierwszej instancji przegrali... Zanoszą teraz apelację... trwa to już dwa lata i co mnie ta historia pieniędzy i zgryzoty kosztuje!...

– Czy nie mają żadnej racji? – przerwało parę głosów.

– Taką chyba, że paszy mają mało, więc chcą moją własnością paść swoje inwentarze – bronił się pan Benedykt. – Planami i wszystkimi dokumentami dowieść mogę...

Zapalać się zaczął i byłby pewno długo rozwiódł się nad procesem, o którym mowa sprowadziła mu na czoło zdwojoną ilość zmarszczek, ale zobaczył kilka osób z przedpokoju do salonu wchodzących i pośpiesznie zerwał się z krzesła. W tej samej chwili jedna z pań na kanapie siedzących i wszystkim, co je otaczało, bardzo zajętych rękę do czoła podniosła.

– W imię Ojca... – cicho do sąsiadki szepnęła. – Toż to Kirłowa zjawia się tutaj! A skądże jej się to wzięło! Już chyba lat z dziesięć nigdzie w sąsiedztwie nie bywa! Ależ zmieniła się, zmieniła, o, moja pani!

W progu salonu pan Benedykt z widocznym i szczególnym uszanowaniem podawał ramię kobiecie, za którą postępowała młodzianka, niespełna może szesnastoletnia dziewczyna i dwóch młodszych od niej chłopców w szkolnych ubiorach. Średniego wzrostu, szczupła, prosta, z wdzięczną linią szyi i ramion, żona Kirły wyglądała z daleka na kobietę bardzo młodą, a złudzeniu temu dopomagały włosy niezmiernie jasnej barwy, z tyłu głowy w prześliczny, ogromny warkocz upięte. Z bliska dopiero uderzał i prawie zadziwiał kontrast, który z młodością kibici jej i warkoczy tworzyła twarz tak ogorzła, że od włosów ciemniejsza, z czołem przerżniętym kilku poprzecznymi zmarszczkami, ze zwiędłymi, choć bardzo kształtnymi ustami. Była to po prostu zgrubiała i sterana twarz kobiety jeszcze młodej, bo trzydziestoparoletniej, z natury wcale ładnej. Bardzo zgrabna pomimo swej starej i niemodnej sukni, szła przez salon na ramieniu gospodarza domu wsparta, nieśmiała jakaś, prawie

złęknioma, z niepokojem oglądająca się na postępujące za nią dzieci. Kiedy pani Emilia, powstawszy z kanapy i szeleszcząc suknią okrytą bogatym i błyszczącym haftem, wprowadziła ją do grona najpoważniejszych kobiet, ze zmieszanego jej spojrzenia, roztargnionego uśmiechu i wahających się, lękliwych ruchów poznać można było, że od wszelkich towarzyskich zebrań bardzo odwykła, a z odległych wspomnień wiedząc dobrze, jak wśród nich znajdować się należy, trwożyła się ciągle, aby czegoś niewłaściwego i nieprzyzwoitego nie popełnić. Drżała trochę i spieszenie oddychała siadając obok wytwornej i wyniosłej pani Andrzejowej, która jednak dość przyjaźnie, choć zawsze trochę z wysoka, oświadczała jej swoje przyjemne zdziwienie nad tym, że na koniec spotkać ją mogła, ją, która od tak dawna nie ukazuje się nigdzie. Ośmielona trochę, jednak przyciszonym jeszcze głosem odpowiedziała:

– Pan Benedykt był tak łaskaw, że zapraszał mnie razy kilka i sam, i przez Justynkę, którą do mnie przysyłał. A jakżebym ja takiemu dobrodziejowi odmówić mogła?

– Szwagier mój ma więc przyjemność widywać panią czasem?

Kirłowa splotła ręce, okryte zbyt wielkimi i niezupełnie świeżymi rękawiczkami.

– O, mój Boże! – zawołała – a jakżebym ja sobie z gospodarstwem i interesami rady dać mogła bez pomocy zacnego sąsiada? Teraz to już nic: nauczyłam się i przywykłam. Ale z początku byłabym przepadła razem z dziećmi, gdyby pan

Benedykt nie pomagał mi radami, a czasem i osobistym dojrzeniem tego i owego...

Teraz, gdy w zapale mówić zaczęła głośno, w głosie jej parę razy zabrzmiały nuty grube, z delikatnością kibici jej i ruchów dziwnie sprzeczne; użyła też paru wyrażen wcale niewykwintnych.

– Jak Boga kocham – dokończyła – takiego dobrego człowieka jak on chyba na tym podłym świecie nie ma...

Toteż na twarz pani Andrzejowej wybiło się trochę niesmaku, a u boku świekry swej siedząca śliczniutka Klotylda szeroko oczy otworzyła i z trudnością powściągnęła latające po jej pąsowych ustach uśmieški. Gospodyni domu pośpieszyła wyrazić ubolewanie, że tak bliska sąsiadka przybyła dziś do jej domu tak późno. Kirłowa zmieszała się znowu, zgrabną swą kibici pochyliła w trochę niezgrabnym ukłonie i widocznie zdobywając się na śmiałość, zbyt głośno odpowiedziała:

– A jakże ja, moja pani, mogę tak w każdej chwili zostawiać w domu dzieci? Troje starszych odważyłam się wziąć z sobą, bo myślałam, że mi państwo tego za złe nie weźmiecie; ale dwoje młodszych nie mogłam przecież na rękach sług zostawić i musiałam czekać przyjścia Maksymowej, która je wyniańczyła i taką jest poczciwą babą, że byle tylko posłać po nią, zaraz przychodzi... Z małymi dziećmi to jak ze szkłem, ostrożności trzeba... ale moja babula Maksymowa dobrze ich tam dopilnuje...

Za plecami świekry swej Klotylda wpychała koronki

chusteczki w parszające śmiechem usta; pani Andrzejowa jak grób umilkła; pani Emilia podniosła rękę do czoła i gardła, jakby w tej chwili dostawać zaczynała migreny i globusu. Jedna z tych pań, które ciągle ciche uwagi nad wszystkim czyniły, szepnęła do drugiej:

– Jak ta Kirłowa zgrubiała i sprościła, o moja pani! A jaka z niej przed zamążpójściem śliczna panienka była!... Różycówna z domu przecież!

Kirło biegł z ganku na powitanie żony. Po prostu biegł. Przybiegłszy pochwycił obie jej ręce i okrył je najczulszymi pocałunkami. Twarz jego, silnie zarumieniona od trunków, takie wyrażała zadowolenie, że aż mu oczy zwilgotniały.

– Jak to dobrze, jak to dobrze, że choć raz w świat się wybrałaś! – wołał, a potem zwrócił się do otaczających: – Moja Marynia to taka domatorka, że ją od gospodarstwa i dzieci ani wyciągnąć...

Ona, z podniesionym ku niemu wzrokiem, serdecznie też ręce mu uściśnęła.

– A dawno państwo nie widzieliście się z sobą? – żartobliwie ktoś ze strony zagadnął.

– A z tydzień już będzie, jak w domu nie byłem! – z zupełną swobodą odparł Kirło.

– Mąż mój ma już taki charakter, że potrzebuje rozrywek i nudzi się w domu; ja go więc we wszystkim z największą ochotą wyęcnam – pośpiesznie dodała Kirłowa.

Kirło szedł witać dzieci. Dwaj chłopcy, w gimnazjalnych

bluzach i przeraźliwie stukającym obuwiu, z wiszącymi u boków czerwonymi rękami, przyparli się do fortepianu i wytrzeszczonym wzrokiem na wszystkich i wszystko patrzali. Dziewczynkę Justyna przywiodła do grona panien i obok kilku podlotków umieściła. Niezupełnie jeszcze długa suknia z białego muślinu, różową wstążką przepasana, śliczna musiała wydawać się w domu i matce, i córce; tu jednak obok bombiastych i z mnóstwa fatałaszek złożonych strojów młodszych panien Darzeckich i żółtawej, na bladaczkę widocznie chorej córki Korczyńskich wyglądała bardzo skromnie i ubogo. Spod tej sukni ukazujące się małe stopy w skórzanych, grubych bucikach dziwnie odbijały przy szeregu wykwintnych stopek, okrytych ażurowymi pończoszkami i pantofelkami takimi, że każdy z nich ozdabiać mógł jako cacko ładną etażerkę. Właścicielka tego biednego stroju nie przedstawiałaby także nic osobliwego, gdyby nie posiadała przedziwnej świeżości twarzy i nieporównanej dziewiczości spojrzenia i ruchów, które ją czyniły zupełnie podobną do świeżo rozkwitłej i zza zielonych liści ciekawie wyglądającej róży polnej. Ciekawie spośród różowej twarzy patrzyły oczy jej, błękitne jak niezabudki; gruby i tak jasny jak u matki warkocz wił się po spływających w dół jej ramionach; ręce zbyt ciasnymi rękawiczkami jak pączki zaokrąglone na kolanach splotła i – milczała. Panienki, obok których usiadła i którym Francuzka nauczycielka pomagała w rozpatrywaniu ilustracji, rzuciły na nią parę ukośnych spojrzeń i zajęcia swojego wcale dla niej nie przerwały; ale w zamian z przeciwległego

końca salonu biegł ku niej młody i zgrabny chłopak, z dziecinną prawie radością w ładnych, lecz już trochę zmęczonych rysach. Pochwycił obie jej ręce, po koleżeńsku mocno nimi zatrzęsł i szybkim ruchem obok niej usiadł.

– Jak dawno ja panią... pannę Marię... czy można jak dawniej mówić: Maryniu?

– Można – odszepnęła rumieniąc się po brzegi jasnych włosów i ukazując w śmiechu rząd śnieżnych zębów.

– A pani... Maryniu, będzie mi mówić po imieniu?

– Czemuż by nie? – ze zdziwieniem odpowiedziała.

– Dawno cię już nie widziałem, moja droga, kochana Maryniu! Dwa lata nie byłem w domu... Jak ty od tego czasu urosłaś...

– I ty, Witold, zmieniłeś się trochę... zmizerniałeś...

– Pracuję... uczę się... myślę... A ty co porabiasz?

– To co i dawniej: mamie w gospodarstwie pomagam, młodszą siostrę uczę... ogród warzywny i nabiał zupełnie już do mnie należą...

Ostatnie słowa z dumą wyrzekła.

– A stara Maksymowa czy żyje? – zapytał Witold.

– Żyje, zdrowiuteńka!

– To dobrze! A też dzieciaki, nad którymi dwa lata temu tak ślęczałaś?

– Już czytać umieją...

– Moja ty droga, dobra!... jak ja się cieszę, że zobaczyłem ciebie! Ile ja tobie do powiedzenia mieć będę.

– Przyjedziesz do Olszynki?

– A jakże! Przyjadę, przyjadę! Nie raz, sto razy!

Z dziecinnym uszczęśliwieniem, od którego oboje drżeli prawie, Witold Korczyński i Marynia Kirlanka patrzyli sobie w oczy. Wtem, jakby wtór do ich radości, rozległy się w salonie naprzód fortepianowe akordy, a potem przeciągłe tony skrzypiec. Przed chwilą pani Emilia uczuła, że dalsze rozmawianie z gośćmi stawało się dla niej coraz trudniejsze; sztuczne podniecenie, które z rana uczyniło ją żywą i mówną, ustępowało przed znużeniem i osłabieniem; szczupła jej kibić garbiła się i opadała na poręcz kanapy, po prostu siły ją opuszczały. Gasnącymi oczami porozumiała się z Justyną, która wstała i zbliżyła się do fortepianu. Orzelski, który po wysączeniu z kieliszka ostatniej kropli likieru i kilku krygach wykonanych przed rumieniącą się Teresą Plińską, drobnymi swymi kroczkami kręcił się dokoła swych leżących na fortepianie skrzypiec, ujął je teraz powoli, z lubością, jak najmilsze dziecko, i z oczami rozkosznie przymrużonymi, smyczkiem po strunie powiódł.

Dźwięki muzyki napełniły salon. Ojciec i córka grali jakąś piękną, długą i trudną kompozycję, przy której stopniowo, ale zadziwiająco Orzelski zmieniał się i przetwarzał. W miarę rozwijania się i potężnienia tonów, spod smyczka jego wychodzących, stary muzyk także wyrastał, usubtelniał się, szlachetniał. Niewielka i pękata postać jego nabierała linii prostych, niskie i białe czoło, z którego w tej chwili zniknęły

wszystkie zmarszczki, wysoko podnosił, wzrok promienny, natchniony daleko kędyś posyłał. Lotne marzenia i skrzące zapały, morza rozkoszy i smutku, ze strun skrzypiec lejąc się w jego piersi, co chwilę zmieniały grę jego rysów, ścierając z nich wszelki ślad pospolitości i głupoty. W tym natchnionym artyście ani by poznać było podobna tego smakosza i zmysłowca, który przed chwilą nie mógł rozstać się z talerzem i słodkie oczy robił do starej panny z obwiązany gardłem; ani tego dobrodusznego, głupowatego starca, który bez cienia urazy poddawał się drwinom znajomych. Było to prawie czarodziejstwem, a tą czarodziejką, która go różdżką swoją dotknęła, była wielka, całe długie już życie tego człowieka przenikająca namiętność.

Justyna swój trudny i zawikłany wtór wykonywała z precyzją i czystością, świadczącą o znacznej muzycznej wprawie, ale nie widać było po niej najłżejszego miłego albo przykrego wrażenia. Zupełnie obojętna, trochę nawet sztywna, z twarzą, w której żaden rys ani razu nie drgnął, widocznie spełniała obowiązek swój starannie, umiejętnie, ale zimno. Grała na pamięć; powieki miała spuszczone, a kiedy je podnosiła, wzrok jej był tak samo jak przedtem znużony i przygasły. Raz jednak odbiło się w nim wrażenie przykre. Naprzeciw siebie ujrzała stojącego we drzwiach salonu Różyca. Przez ostatni upłyniony kwadrans zaszła w nim dziwna zmiana. Opuścił był salon osłabionym krokiem, pożółkły i cierpiący; wrócił odmłodzony, świeży, promieniejący, z błyszczącymi oczami i lekkim nawet zarumienieniem na welinowych policzkach. Staął w drzwiach,

pociągnął w dół binokle i na grającą patrzył z takim wyrazem, że prędko spuściła ona oczy i ani razu już ich nie podniosła. Był to wzrok taki, jakim śmiały i pewny siebie zdobywca niewiast ogarnia, rozbiera i niejako w posiadanie swe obejmuje kobietę, której zażądał.

Muzyka trwała długo; niektórzy słuchali jej z uwagą i przyjemnością, a niektórzy z pootwieranymi od zdziwienia albo skrycie poziewającymi ustami. Na ganku nawet gwarne przedtem rozmowy przycichły. Gospodyni domu, nie potrzebując mówić, odpoczywała. W chwili, kiedy skrzypce i fortepian grzmiały świetnym i wybornie wykonywanym brio⁷¹, Różyc nieznacznie i na palcach przesunął się przez salon i na niezajętym krześle obok Kirłowej usiadł. Ona przyjaźnie i poufale uśmiechając się podała mu rękę. Wszyscy wiedzieli, że ten trzydziestoletni pan, który już stracił pół miliona, i ta spracowana kobieta w starej sukni byli z sobą dość blisko spokrewnieni. Z właściwą sobie gracją ruchów nachylił się on do samego prawie ucha sąsiadki.

– Kuzynko – szepnął – czy znasz dobrze pannę Orzelską?

Twierdząco skinęła głową.

– Bywa ona u ciebie?

Znów głową kiwnęła i z ciekawością na niego spojrzała.

– Chcę cię prosić... abyś nas kiedy razem do siebie zaprosiła... żebyśmy tak wypadkiem... spotkali się kiedy u

⁷¹ *brio* (skrót od: wł. *con brio*) – część utworu muzycznego grana z werwą (często: *allegro con brio*).

ciebie... Tu nie wypada mi bywać tak często... jak bym tego potrzebował...

Oczy szeroko otworzyła i naprzód wpatrzyła się w niego z nieopisanym zdziwieniem, a potem tak głośno, że aż kilka osób na nią się obejrzało, wybuchnęła:

– A toż co?...

I dźwiękiem własnego głosu przełęczniona cicho dokończyła:

– Czy nie myślisz czasem tej biednej dziewczyny bałamucić?

No, to spotykaj się z nią w swoim Wiedniu, ale u mnie jej pewno nie spotkasz...

Różyc śmiał się cicho.

– Parafiaństwo, kuzynko – szepnął.

Wiedział zapewne, że wyraz ten ją ukole. Jakoż na mgnienie oka zmieszała się i zasmuciła. Ale potem energicznie odpowiedziała:

– Niech sobie będzie parafiaństwo! Lepiej byś i ty wyszedł na tym, kuzynku, gdybyś był sobie parafianinem.

Nagle zamyślając się odpowiedział:

– Może...

Ale w tej chwili nie mógł znać długo ani zamyślać się, ani smuć.

– Moja droga kuzynko – szepnął znowu – żebyś wiedziała, jak ona mi się podoba!... Ślicznie zbudowana kobieta i takiego coś ma w sobie... te szare oczy przy czarnych włosach...

Patrzała chwilę na nienaturalny blask jego oczu i zwiększające się rumieńce. Czuła się zwierzeniami, które jej czynił, obrażona,

ale obrazę zwyciężała litość...

– Biedny ty jesteś, kuzynku... a dziś w dodatku i upiłeś się jeszcze czy co?

Znów z zamyśleniem odpowiedział.

– Może...

Muzyka umilkła, kilka osób otoczyło Orzelskiego, dziękując mu i chwając odegraną kompozycję. On prostował się, promieniał.

– Caca uwerturka! – mówił – caca!...

Justyna powstała z wolna i odejść od fortepianu zamierzała, kiedy Zygmunt Korczyński Orzelskiego opuszczając, drogę jej zastąpił. Pięknej istotnie muzyki słuchał on był stojąc w pozie jakby z przyzwyczajenia malowniczej. Smutny wydawał się i rozmarzony. Teraz z niepewnym i przymuszonym uśmiechem na bladej twarzy, półgłosem przemówił:

– Zdaje mi się kuzynko, że nie lubisz muzyki tak, jak lubiłaś ją dawniej...

Na ostatnim wyrazie położył znaczący nacisk. Ona stała przed nim ze spuszczoneymi powiekami, nieruchoma, ale wzruszenia swego ukryć zupełnie nie mogła.

– Nie – odrzekła z cicha – nie, nie lubię już muzyki wcale...

Stał ciągle tak, aby odejść i rozpoczętej rozmowy przerwać nie mogła.

– O, gust kobiet zmienny jest! – zawołał. – Ale w tobie zaszą zmianę przypisuję temu, że oprócz muzyki ojca swego, która zresztą jest wyborna, żadnej innej nigdy nie słyszysz... Gdybyś

słyszała...

Tu ożywiając się coraz, mówić jej zaczął o mistrzach muzycznych, których grę słyszał w wielkich europejskich miastach. Potem opowiadał o nowych słynnych operach. Sposób mówienia miał łatwy, obrazowy, okazujący niepospolite znanstwo muzyki i w ogóle sztuk pięknych. Ona słuchała go wciąż w nieruchomej postawie, kiedy niekiedy paru słowy odpowiadając, ale bledsza niż zwykle i z szybko podnoszącą się pierśią. Widać było, że głos jego ją upajał i że zbliżenie z nim poruszało do głębi całą jej istotę. On w jej bladej i zamyślanej twarzy zatapiał oczy, tak jak u wszystkich Korczyńskich duże, w podłużnej oprawie i z piwną źrenicą. Zręcznym poruszeniem salonowego strategika dokonał takiego półobrotu, że ją sobą od kilku w pobliżu stojących osób odgradził i malowniczo wspierając się o fortepian zapytał: dlaczego, gdy on do Korczyzna przyjeżdża, ona bywa najczęściej niewidzialna lub ukazuje się tylko na krótko?

Odpowiedziała, że czasem wuja w gospodarstwie wyręcza, a czasem ojca pielęgnować musi.

Zaśmiał się.

– Po cóż mówisz nieprawdę? – szepnął. – Nie chcesz mnie widywać, wiem o tym! Masz do mnie urazę i pogardzasz mną! Słusznie, ja sam sobą pogardzać zaczynam!

W głosie jego było tyle gorzycy i żalu, że prędko odpowiedziała:

– Nie, nie... nie to!

Chciała mówić dalej, ale urwała nagle, bo w drugim końcu salonu ujrzała parę oczu utkwionych w nią z nieopisanym wyrazem. Były to oczy Klotyldy, więcej jeszcze błyszczące i szafirowe jak zwykle, ale wcale inaczej niż zwykle patrzące. Obok młodziutkiej kobiety ze swym wiecznie jowialnym, a trochę złośliwym uśmiechem na twarzy siedział Kirło. Przed chwilą ukazał jej rozmawiającą przy fortepianie parę i żartobliwie zapytał:

– Czy pani nie zazdrosna?

– O kogo? O co? – zapytała, ale patrząc we wskazanym jej kierunku zarumieniła się jak wiśnia.

– Pani nie wie? – ciągnął żartowniś – toż to pierwsza miłość mężulka... Panna Justyna... pierwsza miłość... a pani zna przysłowie...

Tu przerażającą francuszczyznę zaczął:

– *On... on rewien... tużur...*

– *A ses premiers amours*⁷² – dokończyła żona Zygmunta i z niedbałym śmiechem dodała: – Wiem, wiem dobrze o tej pierwszej miłości... wszyscy mi tu o niej opowiadali... A pan może zna inne przysłowie polskie: Pierwsze kotki...

– Za płotki! – dokończył Kirło i zaśmiał się szczerze i z całego serca.

Ale na ustach Klotyldy prędko zamarł uśmiech i sama ona zmartwiała jakby, oczy swe wlepiając w tę wysoką i pysznie

⁷² *on revient toujours a ses premiers amours* (franc.) – zawsze się wraca do pierwszej miłości.

rozwinętą kobietę, do której z ożywioną i wzruszoną twarzą mąż jej przemawiał tak długo... długo... drogę jej zastępując i od innych ludzi odgradzając ją sobą. Justyna spotkała się z tym wlepionym w nią spojrzeniem, które zdawało się ją osypywać żarem gniewu i nienawiści. Ale dziewiętnastoletnie serce, które spojrzenie to jej posyłało, zdjąć musiały zarazem trwoga i żal, bo Justyna widziała, jak szafirowe, rozżarzone zrazu oczy Klody zaczęły wilgotnieć i mglić się, aż stanęły w nich wielkie, szklane, z całej znać siły wstrzymywane łzy. Zarazem, ładną tę i świeżą jak wiosna twarz okrył wyraz cierpienia, który uczynił ją podobną do twarzy bezbronnego, a dotkliwie udęczonego dziecka. W tej chwili Zygmunt Korczyński, ramieniem swym dotykając prawie rękawa sukni Justyny, z cicha zapytywał:

– Czy zupełnie, zupełnie już przeszłość naszą wyrzuciłaś ze swej pamięci? Czy nie przemówisz do mnie nigdy jak do przyjaciela swego, do brata?

Z trudnością odrywając oczy od zmienionej twarzy Klody, podniosła głowę i zimno spojrzała na stojącego przed nią, a wzrokiem błagającego ją mężczyznę.

– Zupełnie i nigdy – odpowiedziała z taką pewnością głosu, że zraniony czy obrażony oddał jej lekki ukłon i usunął się na stronę.

W salonie zrobiło się trochę chaosu; ktoś zaproponował przechadzkę po ogrodzie, panie wstawały z kanap i fotelów, młodzież z pierwszego hasła korzystając zbiegała ze wschodów ganku, na którym poważni panowie już przy kartowych stołach

do gry zasiadali. Pan Benedykt wraz z innymi gotował się do rozpoczęcia winta, ale widocznie bez zapału i tylko przez grzeczność. Kirło za to tak chciwie na zielone sukno i karty spoglądał, że na chwilę śmiać się i innych śmieszyć przestał. Znać było, że tę rozrywkę namiętniej jeszcze lubił niż inne.

Pani Emilia wraz z innymi paniami zbliżała się ku drzwiom na ganek prowadzącym. Przechadzka po ogrodzie, w którym i wiatr powiewał, i słońce jeszcze silnie dogrzewało, przejmowała ją obawą. Ruchem głowy przywołała Justynę i słabym swym głosem poprosiła o przyniesienie płaszcza, chustki na głowę, parasolika, rękawiczek... Justyna śpiesznie zwróciła się ku drzwiom przedpokoju, Różyc poskoczył za nią.

– Pani pozwoli, że ją wyręczę...

Po rozmowie swej z Zygmuntem, blada i zmieszana, słów tych, z doskonałą galanterią wymówionych, nie usłyszała i nie spostrzegła, że do przedpokoju wbiegł za nią Różyc i razem z nią zbliżył się do wieszadeł złożonych z rogów łosich i jelenich, na których wprzódy już przygotowano rzeczy, teraz przez panią Emilię zażądane. Podniosła ramiona dla zdjęcia płaszcza i na jednej z rąk swoich uczuła dotknięcie jakiejś gładkiej jak atlas ręki. Zarazem zobaczyła obok siebie zbyt cienką, ale wytworną postać młodego pana, który z pełną pośpiechu usługowością, zwoje koronkowej chustki niby rozplątując, ręką swoją ścigał jej rękę i w twarzy jej zatapiał takie samo spojrzenie jak to, które raz już przed kwadransem była spotkała. Wyrzekł przy tym po cichu kilka słów, których nie dosłyszała; może szum

w uszach i ogień w głowie uczuła, bo spaşowiała aż po brzegi czarnych włosów. Odwróciła się prędko i niosąc ozdobny płaszcz pani domu, z krwistym rumieńcem na policzkach i obrazą w oczach do salonu powróciła. Za nią, doskonale nad sobą panujący, szklami binokli pobłyskując, z koronkową chustką i parasolikiem w rękach szedł Różyc. Zapewne w towarzystwie tym zauważono dość wyraźne zajęcie się tego ostatniego ubogą krewną gospodarstwa, bo kilka osób spojrzało na nią ciekawie i z zadziwieniem, a Klotylda już na ramieniu męża swego zwieszona, z ironicznym uśmieszkiem na ustach obrzuciła ją od głowy do stóp jednym z tych spojrzeń, które z namiętnych i wymownych oczu wypadają jak strzały obelgi. Ale to młode serce, o szczęście swoje strwożone, tylko co jeszcze przyjmować w siebie zaczęło truciznę życia, więc gniew i pogarda ustępowały w nim prędko przed smutkiem i rozżaleniem. U stóp wschodów gankowych stojąc Klotylda mocno, mocno tuliła się do boku swego męża i podnosiła ku niemu rozżalone oczy. On na nią nie patrzył. Oczekując na zejście z ganku matki swej i gospodyni domu, z niecierpliwością w zaciśniętych wargach, wzrok pełen niespełnionych marzeń topił w gęstwinie ogrodu. U brzegu ganku gospodyni domu dalszy pochód gości swych zatrzymywała. Płaszczem owinięta, z głową koronkami gęsto omotaną, z rozpiętym parasolikiem, mężnie wyszła na ganek, ale przed wschodami rozdzielającymi go z ogrodem zawahała się i stanęła. Wyraz cierpienia i zakłopotania twarz jej okrył.

– Doprawdy... – zaczęła – nie będę mogła... nie, nie będę

mogła za nic zejść z tych wschodów.

Nikt się temu nie dziwił; wiedziano powszechnie o sposobie życia, który wiodła, i jej niezmiernie słabym zdrowiu. Kilku panów z pośpiechem pomoc swą ofiarowało, ale ona jej nie przyjęła. Bardzo dobrze wiedząc o tym, że wygląda jeszcze młodo i powabnie, nie chciała okazać się niedołączna. Jednak wschody te były dla niej straszne... Najbliżej stojącym osobom mówiła, że doświadcza takiego uczucia, jakby przebywając je koniecznie, koniecznie upaść musiała... Zbliżała się ku nim i odstępowała, wyciągała naprzód śliczną nóżkę i z lekkimi wykrzykami cofała ją jakby na widok rozwartej paszczyki węża; walczyła z sobą tak, że aż okryła się rumieńcem wysilenia. Na koniec, z krótkim, nerwowym śmiechem nie zeszła, ale zbiegła ze wschodów prędko, lekko, z wdziękiem. Powodzenie to ośmieliło ją znać i ucieszyło, bo pośród kilku kobiet i mężczyzn, którzy ją otoczyli szła dalej aleją ogrodu równym i silnym krokiem, z ożywieniem rozmawiając. Darzecki, który zza kartowego stołu przypatrywał się tej scenie, ironicznie trochę zauważył:

– Ależ twoja żona, panie Benedykcie, nie jest tak bardzo osłabiona, jak się jej zdaje...

– At! – rozdając karty odrzucił Korczyński – z nudów zasiedziała się i od chodzenia odwykła... Zresztą, zawsze słabe zdrowie miała!...

W pustym zupełnie salonie Justyna, przed otwartymi drzwiami stojąc, patrzyła na towarzystwo rozsypujące się w różne

strony ogrodu, aż odwróciwszy się ku sali jadalnej zmierzała. Zaledwie jednak kilka kroków uczyniła, usłyszała za sobą szybkie stąpanie i z cicha wymówione swe imię. Zygmunt Korczyński szedł za nią, niespokojne spojrzenia rzucając na fortepian, krzesła i stoły.

– Zapomniałem wziąć swój kapelusz... kapelusza szukam...
– ze zmieszaniem i drżącymi usty wyszeptał.

Prędko, zanim usunąć się zdołała, zbliżył się ku niej i rękę jej pochwycił.

– Kuzynko – zaczął – czy nie cofniesz tych słów, które tylko co powiedziałaś?... Zupełnie i nigdy! Więc o przeszłości zapomniałaś zupełnie i nigdy niczym dla mnie nie będziesz... nawet przyjaciółką... siostrą? Ależ ja nie mogę...

Oślupiała zrazu, oblana gorącem jego słów i wzroku, prędko jednak i ruchem gwałtownym rękę swą z dłoni jego wyrwała.

– Czego chcesz ode mnie? – zawołała. – Jakim prawem, za co robisz sobie ze mnie zabawkę całego swego życia? Dość już... proszę cię, kuzynie... czego chcesz?

Słowa plątały się jej w ustach i głos zamierał w gardle.

– Duszy twojej chcę, Justyno... przyjaźni... ufności...

– Duszy! – zaśmiała się przeciągle i bolesna ironia mignęła jej w oczach. – Czy myślisz, że jestem takim samym dzieckiem, jakim byłam wtedy, kiedy mnie te wszystkie twoje piękne... o! takie poetyczne słowa...

Nie dokończyła. Nagle opanowała siebie i postąpiwszy parę kroków naprzód, rękę ku ogrodowi wyciągnęła.

– Idź, kuzynku, i podaj ramię żonie swojej, która jest ślicznym i zapewne dobrym dzieckiem, twemu sumieniu powierzonym. Ona cię kocha... a moja dusza...

Od stóp do głowy drżeć zaczęła.

– Moja dusza – dokończyła – nie przyjmie nigdy tego, co ty jej teraz ofiarować możesz!

Chwiejnym trochę, ale śpiesznym krokiem, jakby nie tylko od niego, lecz i od samej siebie uciekała, z salonu wyszła.

W sali jadalnej zobaczyła Martę, która nisko schylając się nad stołem i głośno sapiąc, pogrążona była w układaniu na kryształowych podstawach owoców i konfitur. Stała i patrzyła chwilę na szerokie, zgarbione plecy i w tysiąc zmarszczek pogiętą twarz starej panny. Przybliżyła się prędko i dotknęła ciemnej, kościstej ręki, która z niezmierną starannością bujnym, czerwonym głogiem warstwę białych porzeczek przyozdabiała.

– A toż co? – głowę podnosząc krzyknęła Marta. – Czego ty chcesz ode mnie? – łagodniej zapytała.

Drżąca jeszcze i ze łzami w oczach Justyna szepnęła:

– Może pomóc... przynieść... cokolwiek zrobić?

– Ot, jeszcze czego! Wiesz dobrze, że nie lubię, aby kto wtrącał się do moich interesów... Sama sobie zawsze radę daję i teraz dam... Baw się, kiedy ci wesoło...

– Mnie niewesoło... – odpowiedziała.

– A co ja na to poradzę? Melancholiczka jesteś! Do głowy po rozum pójdz, chłopców bałamuć, to i wesoło będzie...

Mówiła to zwykłym sobie tonem, szorstko i ironicznie, ale

zmarszczki jej czoła przerzedziły się trochę, a wzrok ognisty i chmurny nabierał przyjaźniejszego wyrazu. Zdawało się, że wnet podniesie swą rękę, po której ściekało trochę konfiturowego soku, i ruchem pieśczoły przesunie ją po rozognionej twarzy stojącej przed nią dziewczyny. Ale w tej chwili u końca sali rozległ się przy bufecie brzęk padającego na ziemię i rozbijającego się szkła wraz z piskliwym wykrzykiem kobiecym. Była to panna służąca pani Emilii, wystrojona i fertyczna, która tu niby Marcie w zajęciach jej pomagała, ale daleko więcej eleganckim kamerdynerem Różyca niżeli robotą swoją zajęta, jeden z niesionych ku stołowi przedmiotów z rąk wypuściła.

– Wieczna niedola! – porywając się z miejsca i do bufetu przyskakując krzyknęła Marta – kryształową karafkę stukła! Otóż to wasza pomoc! Idź mi stąd zaraz, frygo, i ani pokazuj się więcej! Ruszajcie stąd wszyscy! Sama wszystko własnymi rękami robić wolę niż do takich szkód dopuszczać! Od garnitur⁷³ karafka!... Sto lat może garnitur był cały, a teraz, masz!... Wieczna niedola! Uf! Nie mogę!

Zgryziona tak, że aż jej ręce drżały, rozgniewanym, a więcej jeszcze rozżalonym głosem na służbę krzyczała, dla zebrania szczątków karafki na ziemi przysiadła i zakaszła się długim, przeraźliwym, grzmotowym kaszlem.

⁷³ garnitur – tu: komplet.

V

Justyna bocznymi drzwiami wybiegła z domu i brzegiem warzywnych ogrodów szła w kierunku pola. Wkrótce też znalazła się na ścieżce, kręto biegnącej pomiędzy zbożem i mającej pozór wąskiego korytarzyka, którego ściany tworzyło żyto wysokie, gęste, jeszcze zielone, ale już w bujne kłosa wypływające i szafirowymi cętkami bławatków usiane. Było coś tajemniczego i pociągającego w tej ścieżce utopionej na dnie kłosistego morza, która, zaczynając się u stóp zabudowań dworskich, biegła w głąb równiny, biała i twardo udeptana. Wydłużając się, to skracając, zwracała się ona w różne kierunki: zdawało się nieraz, że już, już kończy się i urywa, aż za zawrotem albo za zieloną miedzą ukazywała się znowu, wabiąc i wiodąc – nie wiedzieć dokąd. Nikt widzieć jej nie mógł oprócz tego, kto nią szedł, a ten, kto nią szedł, nie widział także nic oprócz gęstwiny łądyg i kłosów dokoła siebie, a nad sobą błękitnej kopuły nieba. Była to niska puszcza, u szczytów swych samotna i cicha, a w dole wrząca życiem niewidzialnym, które ją napępiało mnóstwem szelestów, ćwierkań, fruwań, brzęczeń, świergotów zlewających się w nieustanny, przy samej ziemi kipiący szmer.

Justyna wypadkiem znalazła się na tej ścieżce i nie myślała wcale o tym, dokąd ją ona zawiedzie. Więcej instynktownie niż rozmyślnie uciekała od tego wszystkiego, co ją raniło, nudziło i poniżało. Od kilku lat cierpiała wiele i coraz więcej...

Dlaczego czuła się tak głęboko i bez ratunku nieszczęśliwa? Jakim sposobem życie jej taki kierunek przybrało? Dlaczego z gorącego snu pierwszej młodości obudziła się nie tylko samotna i smutna, ale zarazem obrażona i z nie wyschłą dotąd kroplą goryczy w sercu? W tłumnym nieładzie odłamy przeszłości zbiegały do jej pamięci; szła prędko, ze schyloną głową i myślała, że kiedy była dzieckiem, już tylko słyszała o tym, że kiedyś ludzie bywali weseli i szczęśliwi, że im żyć było łatwo; teraz zaś życie stało się próżne uciech, a pełne trudów i przeszkód. Te przeszkody przełamywano dokoła niej z wyrzekaniami, których treść coraz lepiej rozumiała, i z wysileniami, od których ludzkie ciała chudły i zmarszczkami okrywały się twarze. Ale jej ojciec czuł się spokojny i szczęśliwy, tak jak i dawniej; nie przełamywał nic i żadnych wysileń nie czynił. Wprawdzie ten wychowaniec minionej minuty czasu, którego przez całą młodość dla pięknej gry na skrzypcach pieściły i wychwalały wszystkie dostępne mu towarzystwa i za którego rozmarzonymi oczami przepadało wiele kobiet, nie był zawsze taki, jaki stał się w ostatnich dziesięciu latach, ale posiadał wszystkie zadatki tej przyszłej swojej postaci. Justyna pamiętała, jak stopniowo zaokrąglał się i nabierał pulchności rąk i policzków, smutnym albo zagniewanym nie widziała go nigdy. Jakimikolwiek były otaczające go okoliczności, cokolwiek jego albo bliskich mu spotykało, zachowywał on zawsze wraz z niezmaconą pogodą, dziecięcą prawie łagodność. Unosił się i płonał wtedy tylko, kiedy grał. Grał ciągle, z przerwami przez nieuchronne konieczności

sprawdzonymi. Można by myśleć, że ukochana sztuka zużywała wszystkie jego siły i zaspokajała pragnienia. Tak przecież nie było. Miał drugą jeszcze namiętność. Pod złotawym, a potem już siwiejącym wąsem zawsze purpurowe, zmysłowe jego usta układały się w wyraz lubości, ilekroć zobaczył jakąkolwiek ładną twarzyczkę lub zgrabną kibić niewieścią. Można było nawet uczynić to spostrzeżenie, że obie jego namiętności podsycaly się wzajemnie. Im dłużej grał, tym posuwiściej i z większym rozmarzeniem przybliżał się do przedmiotu miłosnych swych wzruszeń, im silniejsze i bardziej przez przeciwności rozdrażniane były te wzruszenia, tym więcej i zapamiętał grał. Wiele wspomnień mętnych i urywanych, ale o których teraz jeszcze z podniesionymi powiekami myśleć nie mogła, pozostało Justynie z czasu tego, kiedy jej matka często i gorzko płakała, a o jej ojcu domowi z cichym śmiechem wiele pomiędzy sobą szeptali. Wtedy jeszcze dziwiła się nie rozumiejąc, ale niebawem zrozumieć musiała. Dokładnie, plastycznie, dziś jeszcze wyobrazić sobie mogła tę kobietę, chudą i zwinną, z włosami jak krucze pióra czarnymi i ognistymi oczami, czasem gadatliwą i zalotną, częściej ponurą... Była to jej nauczycielka Francuzka... Uczyła ją krótko i prędko dom opuściła, a prawie jednocześnie w podróż, która długo trwać miała, wyjechał i Orzelski. Zabrał z sobą swoje skrzypce. Nie tylko skrzypce – bo przed wyjazdem zaciągnął dług nowy i znaczny. Czy nieobecność ojca trwała kilka miesięcy lub cały rok, Justyna nie pamiętała, ale o jej przyczynie wtedy już wiedziała dokładnie

i jasno, bo w przeraźliwym rozstroju domowym i majątkowym nikt jej przed nią bardzo nie ukrywał. W zamian pamiętny był dla niej dzień, w którym pośród krzyczącej, znieważającej albo żałośnie wyrzekającej gromady kredytorów siadała z matką do powozu. Pojechały do Korczyna. Z pamięci Justyny nigdy nie wyszła rozmowa matki jej z Benedyktem Korczyńskim, w której kobieta od dawna już na siłach upadająca, a teraz śmiertelnie zagrożona, błagała krewnego o zaopiekowanie się jej córką w razie jej rychłej zapewne śmierci. Zwałtała i bezsilna, drżała na całym ciele, ręce wychudłe i jak wosk żółte załamując, a twarz jak opłatek przezroczystą strumieniami łez oblewając. Pan Benedykt mówił niewiele, końce długiego wąsa do ust wkładał i przygryzał, ponuro przed siebie patrzył, aż na koniec chylące się przed nim czoło krewnej ucałował i ku niemu wyciągnięte, biedne, żółte ręce mocno uściśnął. Kiedy powróciły do domu, na dziedzińcu już usłyszały tony skrzypiec. Pan tego domu powrócił, nie na długo. Wkrótce wiadomością o śmierci swej krewnej przywołany, pan Benedykt przyjechał, z mnóstwem trudów interesy majątkowe Orzelskiego uregulował, małą sumkę z ogólnego rozbicia uratował i owdowiałego ojca wraz z czternastoletnią córką do Korczyna zabrał. Orzelski okazywał się przez ten układ rzeczy zupełnie uszczęśliwiony. Po swej ostatniej romantycznej przygodzie postarzał się znacznie, więcej tyć zaczął i dla płci pięknej zubożył. Nie pozbył się przeto wszelkich przyjemności życia. Kuchnia korczyńska dzięki Marcie była wcale dobra, a dni całe zostawały wolne,

zupełnie wolne od wszystkiego, co przedtem ciążyło niekiedy na nich. Mógł je bez żadnej już przeszkody i odpowiedzialności poświęcać muzyce.

Teraz przed pamięcią Justyny powstała kobieta z majestatyczną postawą, z głową wyniosłe podniesioną i skromnie spuszczonej powiekami, w wiecznie czarnym, wdowim ubraniu. Była to po panu Benedykcie druga jej dobrodziejka. Zobaczywszy dziewczynkę, która jeszcze nosiła żałobę po matce, przyciągnęła ją ku sobie i serdecznie ucałowała. Zawsze smutne jej oczy napełniły się litością. Do obecnego pana Benedykta rzekła, że krewna Korczyńskich nie może być dla niej obca, że obowiązek wychowania jej na jednym tylko z braci ciążyć nie powinien, że ona, w imię Andrzeja, prosi o danie jej w nim udziału. Gdy wymawiała imię zginionego męża, chłodne zawsze jej usta drżały.

– Ty wiesz, bracie – dokończyła – jak niezachwianie chowam w mym sercu miłość i wierność dla tego bohatera mego. Niewidzialny cielesnym oczom, jest on zawsze duchowi memu obecny. Często rozmawiam z nim w ciszy nocnej i błagam Boga, aby pozwolił mu słuchać słów moich; kto wie, może prośba moja wysłuchana bywa! Dziś mu powiem, że w rodzinie jego jest biedna sierota, której losem, wspólnie z tobą zajmę się w jego zastępstwie.

Zajęła się, nawet szczerze i starannie. Na spółkę z panem Benedyktem opłacała nauczycielki Justyny, sprawiała jej coraz nowe i ładne suknie, sprowadzała dla niej książki i nuty. Czasem

dorosłą już dziewczynkę na tygodnie i miesiące zabierała do swoich niegdyś pięknych i obszernych, a dziś znacznie zmalałych i powoli w ruinę upadających Osowiec.

Tu umysł Justyny napełnił się mnóstwem obrazów, składających główny moment dotychczasowego jej życia. Młody chłopak, o sześć lat od niej starszy, w domu przy drogo opłacanych nauczycielach chowany i przez matkę starannie od wszelkich powszednich zajęć i zjawisk życia uchylany, wypieszczony, delikatny, z przepowiadaną mu przez wszystkich otaczających słoneczną przyszłością genialnego artysty... Z tym na wpeł wykwintnym paniczem, a na wpeł rozegzaltowanym artystą, łączyły się dla Justyny wspomnienia tych wszystkich wydarzeń i wzruszeń, które zazwyczaj stanowią wątek miłości świeżej, szczerzej, lata trwającej i obustronnie uczuwanej. Były tam ranki majowe i księżycowe wieczory, długie przechadzki, ciche rozmowy, wspólne czytania poetycznych i wzniosłych utworów, płacze pożegnań, kiedy on dla kształcenia talentu swego odjeżdżał w dalekie kraje, rozłączenia napełnione palącą tęsknotą i kojącymi ją nadziejami, listy wysyłane i otrzymywane, namiętne radości powitań, przyrzeczenia, przysięgi, plany wspólnej przyszłości, upojenia, po których dniami i tygodniami czuła na swych ustach ogień i słodycz jego pocałunków. Dziś jeszcze o tym wszystkim wspominając, stanęła śród ścieżki i w dłoniach ukryła twarz, do której dawna, silna i jedyna jej dotąd miłość uderzyła falą wzburzonej krwi. Prędko przecież pobladła, z gniewem w oczach wyprostowała

się i szła dalej. Jakże skończył się ten poemat? O, bardzo prozaicznie! Wprawdzie bohater poematu wymówił głośno wyraz: „Małżeństwo!” i nawet przez całe dwa miesiące, zrazu energicznie i uparcie, a potem coraz słabiej go powtarzał. W tych dwóch miesiącach Justyna pamiętała każdy dzień i prawie każde do niej i o niej wymówione słowo. Myślała wtedy, że idzie o jej życie, więc wzrokiem i słuchem, które stały się nagle bardzo przenikliwymi, badała wszystko, co działo się wkoło niej. Wiedziała też o wszystkim. Wkoło niej wrzało. Pani Andrzejewej ubyło coś z jej majestatycznej postawy, tak czuła się zrozpaczona postanowieniem syna. Mogła ona z wielką dobrocią i hojnością wychowywać ubogą sierotę, związkiem krwi połączoną z człowiekiem, którego w miarę upływającego czasu coraz więcej, jak utraconego kochanka i świętego męczennika, kochała i czciła. Ale kiedy potem tę nawet lubioną przez siebie dziewczynę przymierzała z synem swoim, znalazła ją tak malutką i położeniem w świecie, i wychowaniem, i urodą, i rozumem, że po prostu pojąć nie mogła takiego związku. O majątek mniej dbała, chociaż i pod tym względem, pomimo rzetelnego oderwania się od materialnych spraw świata i bardzo małego rozumienia majątkowych interesów, czuła, że upadające Osowce potrzebowały wzmocnienia i podpór. Ale przede wszystkim pragnęła dla syna kobiety wysoko urodzonej, z rozległymi koligacjami, z wychowaniem świetnym, jakiejś na koniec muzy, która by niewątpliwemu dla niej geniuszowi jego dopomagała do wzrostu i lotu. Wszystko to, bez gniewu

i uniesienia, bo z krewną Andrzeja źle obejść się nie mogła, owszem, smutnie, ale też i dumnie wypowiedziała Justynie.

Daleko mniej powściągliwa była ciotka Zygmunta, kobieta bardzo żywa i wysoko ceniąca bogactwo.

– Powinnaś była wiedzieć, moja Justynko – mawiała – że tacy ludzie jak Zygmunt z takimi jak ty dziewczętami romansują często, ale nie żenią się prawie nigdy!

Na głowę pana Benedykta posypały się gromy. Pani Andrzejowa co parę dni wzywała go do Osowiec; Darzecka przyjeżdżała sama i z szelestem jedwabnych sukien, wzburzona, głośno swe gniewy i niechęci wyrażająca, wpadała do gabinetu brata. Wdał się też w sprawę i sam arystokratycznie wyglądający Darzecki, monotonną i płynną mową swą bratu żony oświadczając, że wcale nie zgadza się z jego chęciami i gustami, aby tak bliski mu przez żonę krewny żenił się – nie wiedzieć z kim... Pan Benedykt wpadał w gniewy tak głośne, że w całym domu go słyszano, gdy zapytywał: „Czy ma dziewczynę utopić albo zastrzelić?” Na koniec zażądał rozmówić się o tej sprawie z Zygmuntem. Rozmówił się i na zakończenie z chmurną żartobliwością rzekł:

– Wiesz co, gagatku? jedź sobie znowu za granicę i ucz się malować... Osowce wprawdzie zrujnują się do reszty, ale tobie samemu serce pewno nie pęknie, bo... bo prawdę mówiąc, sam nie wiesz, czego chcesz!

Wyjechał – a po dwóch latach spędzonych w ogniskach sztuk pięknych, przeważnie w Monachium, wrócił żonaty.

Całe to zajście było dla Justyny ciosem zrazu, który wtrącił ją w rozpacz, a potem policzkiem, pod którym uczuła, że jest dumna i że godność ludzka okrutniej jeszcze zraniona w niej została niżeli miłość. Było ono także ostrą strzałą, która serce jej przesywając, otworzyła zarazem jej oczy. Spozstrzegła i rozumiała wiele rzeczy umykających dotąd wzrokowi jej i rozwadze. Zrozumiała przede wszystkim położenie własne i dla swej marnej terazniejszości wzgardą zdjęta, zlekła się przyszłości... Dotąd miłość, uciechy jej, cierpienia i marzenia pożerały jej czas i do syta karmiły myśli i serce. Gdy tego pokarmu zabrakło, spostrzegła i uczuła, że nie posiada żadnego innego dla nasycenia ciężko wlokących się godzin i dni; że w niej i dokoła niej nie ma nic takiego, na czym by mogła zawiesić kotwicę nadziei jakiegokolwiek, choćby z pospolitego metalu ukutej. Czasem, gdy zamykała oczy i myślała o tym, co z nią jest i być może, zdawało się jej, że patrzy w jakąś bezmierną pustkę, po której niby widma strapione i wątlejące błąkały się młode siły jej ciała i ducha... Teraz człowiek ten chce znowu w tej pustce rozpalić płomień, który już raz tak srodze opalił jej skrzydła. Przed kilkunastu zaledwie minutami do głębi istoty swej czuła się wzruszona samym tylko dźwiękiem jego głosu. Była już zapomniana, a teraz... czyż znowu... czyż znowu? Sto głosów zdawało się w niej wołać: Nie! A jednak w nudzie i bezcelowości życia swego może kiedy... może... Nie była dzieckiem, miała lat dwadzieścia cztery i kiedyś bardzo kochała – wiedziała, czuła, czym bywa i jakie przemoce wywiera szaf

krwi i serca... Przerażenie dreszczem po ciele jej przebiegło. Zarazem czoło jej zapaliło się wstydem. Przypomniała sobie spojrzenia i zaczepki tego drugiego, wykwintnego pana, z wychudłym ciałem, chorobliwie drgającym czołem i atłasową ręką, która tak bardzo znacząco szukała i dotknęła jej ręki. Cóż to było? Podobała mu się? Widziała to aż nadto, ale czyliż także z doświadczenia nie wiedziała, że „tacy ludzie jak on z takimi jak ona dziewczętami romansują często, ale nie żenią się prawie nigdy”. Kimże więc była? Jakie było jej miejsce i znaczenie pośród tych, z którymi upływało jej życie? O! Naturalnie, powiedziano jej to kiedyś i sama to przyznawała – była ona nie wiedzieć kim!

Obu dłońmi schwyciła się za rozpaloną głowę, w gardle uczuła dławienie żalu, a na podniebieniu palącą gorycz upokorzonej dumy. Jednak uspokajała się powoli. Z szerokiej przestrzeni przylatywały świeże powiewy i łaskawie muskały jej włosy i szyję. Zza łez widziała wpatrzone w nią litościwie szafirowe oczy bławatków i kłosa zielone, prawie nieruchome, po których przecież cicho płynął kojący szmer. Przed sobą, o kroków kilkanaście, zobaczyła wznoszącą się nad zbożem, rozłożystą i całą w słońcu stojącą gruszę polną; pień, gałęzie i wszystkie liście tego drzewa były złote. Oglądała się dokoła, na wzburzoną twarz jej spływał wyraz ulgi. Widać było, że powoli o sobie i troskach swoich myśleć przestawała. Pochyliła się i rozchyliwszy gęste łodygi zboża, z zajęciem popatrzała na fioletowe lady i rohule, gęstymi splotami obejmujące łodygi żyta. Gdy podnosiła głowę,

jeden z kłosów szorstko przesunął się po jej twarzy; wzięła go w rękę i ostrożnie obejrzała napełniające go młode ziarna. Liliowy motyl wzbił się jej spod stóp i kręto wyleciał nad zboże; ścigała go wzrokiem, póki nie zniknął. Była już teraz o parę tylko kroków od gruszy polnej i ogłuszył ją krzyk drobnych ptaków, których ilość nieprzeliczona skakała, fruwała, kołysała się pośród złotych liści. W tej samej chwili, za zbożem, niedaleko, rozległ się głos ludzki. Był to silny i czysty głos męski, który zawołał:

– Hej, kasztan, hej, hej!

A w minutę potem po raz drugi:

– Wolniej, gniada, wolniej!

W wołaniu tym, rozchodzącym się po ciszy polnej, nie było nic smutnego; owszem, brzmiało ono raźnie i ochoczo. Wnet potem rozległo się gwizdanie, w którym wyraźnie rozpoznać można było nutę piosenki zaczynającej się od słów:

Przy drodze, przy drodze jawor rozkwitnąwszy

Gdzie pojedziesz, mój Jasieńku, konia osiodławszy?

Jaworu tam nie było, ale u stóp gruszy polnej urywał się wąski korytarzyk i w prostej, długo ze stron obu wyciągniętej linii wysokie żyto staowało nad płachtą nagiej, ciemnej, świeżo zoranej ziemi. Justyna wyszła ze zbożowej puszczy i pod gruszą stanęła. Z jednej strony w znacznej odległości widać było długą i szaro stąd wyglądającą wieś, z drugiej dość blisko stały wzgórza porośłe drzewami; naprzeciw, jak okiem sięgnąć, niski owies i groch biało kwitnący okrywały ziemię. Ta sama ścieżka, którą Justyna zaszła aż w głąb równiny, przerwana płachtą zoranej roli,

uparcie odradzała się wraz z nią i białym paskiem przerzynając puszystą zieloność grochu, znowu w owsie przepadała.

Od jednego ze wzgórz ku gruszy polnej posuwał się pług, ciągnięty przez parę koni, z których jeden był kasztanowaty, z konopiastą grzywą, drugi – gniady, z białą nogą i białą łatą na czole. Za pługiem, z rękami opartymi na wysoko sterczących *rączkach* pługu, szedł wysoki i zgrabny człowiek, w białym płóciennym surducie, długim do kolan obuwii i małej czapce, która skórzanym daszkiem osłaniając mu czoło, nie zasłaniała z tyłu głowy jasnozłocistych włosów. Szedł prosto, równym krokiem bez żadnego widocznego wysilenia; lejce z grubego sznura mocno z sobą połączone i wzdłuż boków końskich wyprężone, poniżej ramion opasywały mu plecy. Idąc wygwizdywał trzecią już strofę piosnki:

Rybacy, rybacy, sieci zarzucajcie,

Nadobnego Jasia na brzeg wyciągajcie.

Pług posuwał się dość prędko; lemiesz⁷⁴ głęboko pograżał się w rolę, po żelaznej, błyszczącej policy⁷⁵ nieustannie przepływały strumienie ciemnej, w miarę piasek rozsypującej się ziemi. Niewielkie konie z połyskującą sierścią szły równo i raźnie, a w niejkiej od nich odległości kilka wron, zdając się zaglądać im w oczy, tu i ówdzie skakało albo poważnie i ze spuszczoneymi dziobami siadało na grudach.

Nagle oracz gwizdać przestał i o kilka kroków spostrzec

⁷⁴ *lemiesz* – metalowa część pługu, zagłębiająca się w ziemię podczas orki.

⁷⁵ *polica* – odkładnica; część pługu odkładająca skiby podcięte przez lemiesz.

już można było, że uczył się zdziwiony. Prędkim ruchem czapkę zdjął z głowy, konie zatrzymał i na kobietę, która tak niespodzianie dla niego wyszła spomiędzy gęstego zboża, patrzył ze zmieszaniem na twarzy i w postawie. Usta mu otworzyły się i pod złotawym wąsem ukazały śnieżne zęby. Uśmiechnął się, twarz odwrócił, zawahał się, chrząknął, na koniec, bojąc się znać zbyt głośno przemówić, prawie po cichu przemówił:

– Czy panienka potrzebuje czego? Może drogę dokąd pokazać lub robotnikom pana Korczyńskiego coś powiedzieć? oni tam za górką...

Odjął ręce od pługa, do odejścia gotów. Justyna postąpiła parę kroków po wąskim, zielonym pasie, rozdzielającym ścianę żyta z płachtą zoranej ziemi.

– Dziękuję – odpowiedziała – wyszłam na przechadzkę i sama nie wiem, jakim sposobem aż tutaj zaszłam...

Ruchem głowy wskazał na białą ścieżkę spośród żyta wyglądającą.

– Ta ścieżka przyprowadziła – zauważył. – Ale to nic – dodał – że panienka tak daleko od dworu zaszła. Można wrócić krótszą drogą, tamtędy... między owsem trzeba iść i wyjdzie się na wprost okolicy, a stamtąd to już do dworu krótka droga.

Mówił teraz głośniej już, prędko i z widocznym pragnieniem okazania się grzecznym i usłużnym. Wyciągniętym ramieniem wskazywał owies, przerzynającą go zieloną drogę i szarzejącą u jej końca okolicę. Justyna patrzyła na żywe jego ruchy, którym kształtność ciała nadawała szczególną zręczność i giętkość; nie

mogła też nie spostrzec, że z błękitnych, roziskrzonych oczu, zza zmieszania i zawstydzenia, wybuchała mu tajemna, lecz nie dająca utaić się radość.

– Pan Jan Bohatyrowicz? – trochę nieśmiało zapytała.

Odkryte i od reszty twarzy bielsze jego czoło zaszło rumieńcem, z rumianych i ogorzałych policzków ledwie krew nie wytrysnęła.

– A jakże! – odpowiedział i palcami dotykając rączek pługa, ze spuszczonej oczami zapytał: – Skąd panienka wie, kto ja jestem?

– Widuję pana czasem... ciotka Marta mówiła mi o ojcu i stryju pana...

Znów twarz na chwilę odwrócił i chrząknął, ale śmieiej już odpowiedział:

– Pewno o stryju Anzelmie, bo on kiedyś dobrze znał pannę Martę...

Urwał i po krótkim milczeniu, zdobywając się widocznie na nową śmiałość, dodał jeszcze:

– I ja też kiedyś w Korczyni bywałem... ociec mnie tam brał z sobą... ale już potem nigdy nie byłem. Czego chodzić, kiedy żadnej przyczyny nie ma?

I jakby mu nagle przyszła na pamięć jakaś obraza czy niechęć, głowę podniósł trochę butnie, brwi zmarszczył, ręce na rączkach pługa położył i zawołał na konie, aby szły naprzód. Lejce tylko, które mu plecy opasywały, ściągnął i parę razy do koni przemówił:

– Wolniej, kasztan! Wolniej, gniada, wolniej!

Pług posunął się znowu, tylko daleko powolniej niż wprzódy, i znowu lemiesz głęboko rył się w pulchną rolę, a po błyszczącej policy spływały strumienie ciemnej, miałkowej ziemi. Justyna wąskim brzegiem żytniego łąnu szła obok pługa, z niejakim zdziwieniem na zachmurzoną nagle twarz towarzysza patrząc. Po chwili, wskazując rolę, zapytała:

– Po koniczynie?

– A jakże – odpowiedział.

– Pod pszenicę?

Rzucił na nią szybkie spojrzenie, w którym błysnęło trochę niedowierzania i obawy. Pomyślał może, że ona chce z niego żartować.

– Panienska niby to zna się na gospodarstwie?

Zmieszała się z kolei. Istotnie bardzo mało posiadała wiadomości o tej ziemi, po której stąpała i której zjawiska, obrazy i plony budziły w niej często ciekawość i zachwycenie. To i owo z rozmów toczonych dokoła niej zapamiętała, ale z bliska pracom rolniczym nie przypatrywała się nigdy. W tej chwili dziwiła ją pozorna przynajmniej łatwość, z jaką młody rolnik pracę swoją spełniał. Wyobrażała sobie, że orać jest bardzo ciężko.

– Wszelako bywa – odpowiedział. – Bywa, że ciężko, bywa, że letko. Po pierwsze, to od gruntu zależy, a po wtóre, od uzwyczajenia i od siły. Do tego i pługi teraz insze jak dawniej. Dla mnie mórg zaorać to tak, jak prawie na spacer pójść.

Przy ostatnich wyrazach głową rzucił raźnie, w górę spojrzął i znowu w uśmiechu, ale tym razem jakby triumfującym, białe zęby mu pod złotawym wąsem błysnęły. Widocznie w poczuciu siły własnej i uzdatnienia do tej pracy, którą przez całe życie spełniał, uczuł się dumny i wesoły. W ogóle w postawie, mowie i całym obejściu się jego dziwnie mieszały się z sobą i ruchliwie jedna przed drugą ustępowały: dzika nieśmiałość i harda butność, kobieca prawie wstydlivość i męska dojrzała siła. Znać w nim też było wielką żywość i mówność, powściągane przez chęć okazywania się grzecznym i przystojnym⁷⁶. W tej chwili przecież żywość i mówność wzięły górę nad nieśmiałością. Coś u pługą poprawiwszy wyprostował się, na konie, które były stanęły, cmoknął i z promieniejącą twarzą zawołał:

– Prędzej bym śmierci spodziewał się w tym momencie niż panienkę wśród pola zobaczyć. Wszyscy mówili, że dziś we dworze bal...

– Niewesoło mi było na tym balu i wołałam iść w pole – żywo też i zupełnie mimo woli odpowiedziała Justyna.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Dłużej i śmielej niż dotąd popatrzył na nią.

– Ja to już dawno wiem – ciszej znowu odpowiedział – że panience nie zawsze tam bywa wesoło. Ludziom gąb nie zatknąć, a i twarz człowieka wygada czasem, co się w sercu kryje. Jaż panienkę, choć z daleka, a często widuję...

⁷⁶ przystojny – tu: przyzwoity, zachowujący się jak przystoi; układny, delikatny.

Wstrzymał się. Głos jego, ten silny głos, który na całą okolicę rzucał dźwięki rozgłośnych pieśni, zmaćił się i urwał. Po chwili dopiero dokończył:

– Może panienka gniewa się na mnie, że tak śmieie powiedziałem?...

I niespokojnie, głowę pochylając, spojrział w twarz idącej obok niego kobiety. Zarumieniona była, ale nie rozgniewana; owszem, spod spuszczonej powiek wzrok jej podniósł się na niego ciekawie i przyjaźnie. Znowu okrągłe i rumiane jego policzki w ogniu stanęły. Odwrócił twarz, zawahał się, chrząknął i dokończył:

– Panienka i wiedzieć o tym nie może, że ja na panienkę czasem patrzę i różne myśli przychodzą mnie do głowy. Słonko małego ptaszka nie widzi, jednakowoż on śpiewać zaczyna, kiedy ono wzejdzie, i nikt jemu tego zabronić nie może, bo choć on w niskim krzaku mieszka, ale swoje śpiewanie i swoją wolność ma!

Znowu, pomimo woli może, podniósł głowę, oczy błysnęły mu dumą czy zapalem i u końca wyoranej bruzdy pług zatrzymując, raźnie zawołał:

– Co tam! Ja panience powiem, że nie trzeba nadmiar troskać się i smęcić. Są na świecie złe ludzie, są i dobre. Podczas smętno bywa, a podczas może być i wesoło. Najgorsza to jest rzecz, kiedy człowiek nic nie robi, a tylko o swoich biedach myśli!...

– To prawda – uśmiechnęła się Justyna – ale jeżeli kto na świecie nic do robienia nie ma?...

– To nie może być... – zaczął i nie mógł dokończyć, bo

z niejaką trudnością zawracał pług, aby poprzeczną bruzdą odgraniczyć zaoraną rolę od kwitnącego grochu. Jakkolwiek utrzymywał, że wyoranie morga ziemi było dla niego tym samym prawie, co przechadzka, jednak, zatrzymując pług u początku drogi owies przerzynającej, ocierał sobie pot, który bujną rosą wystąpił mu na czoło.

Justyna pogładziła konopiastą, gęstą i wypieszczoną grzywę kasztanka.

– Ładne i zgrabne koniki – zauważyła.

– Silne i bardzo głośne – widocznie pochwała jej uradowany odpowiedział – głos mój znają, do ręki idą... Wszelakie zwierzę – dodał – ugłaskać można, byle jemu lubienie i dobre staranie okazać. Dla mnie zaś nic w gospodarstwie nie ma nad konie. Tak już widać przywodziłem się do ojca, bo nieboszczyk ociec za końmi aż przepadał...

Przewrócił pług w ten sposób, aby bokiem sunąć się mógł po ziemi, lejce zdjął z pleców i cmoknął na konie, które weszły na nieszeroką, trawą i dzikimi kwiatami porośłą drogę.

– Czy pan ojca swego pamięta? – zapytała Justyna.

– Dlaczego nie? Czasu śmierci jego siedem lat miałem i do nikogo, zdaje się, tak jak do niego, przywiązany nie byłem...

– A matka żyje?

– Żyje, chwala Bogu, ale ja z nią tak jak prawie nigdy nie byłem...

Mówił teraz żywo i prędko, coraz więcej pozbywając się nieśmiałości. Można by nawet myśleć, że zapytania Justyny

sprawiły mu radość, jakąś głęboką radość, która wilgotną mgłą przyćmiła na chwilę roziskrzony blask jego oczu.

– Prawdę powiedziawszy – dodał – to stryj Anzelm był dla mnie i ojcem, i matką; ale kiedyś się zachorował i kilka lat nie tylko co, ale z łóżka podźwignąć się nie mógł. Wtenczas na mnie wszystko spadło: i gospodarstwu, i choremu stryju, i młodej siostrze, i samemu sobie rady dawać musiałem, sam tak jak prawie dzieckiem jeszcze będąc. Najadłem się też w czasie niemało biedy, a w czasie i ludzie niemało mnie nakrzywdzili...

Machnął ręką i znowu brwi trochę zmarszczył, ale zaraz z powracającą wesołością dokończył:

– Teraz za to wszystko u nas odmieniło się na dobre, i tyle tylko mojej biedy, co jej we własnych żądaniach wynajdę.

– Jakież to żądania? – z żartobliwym uśmiechem zapytała Justyna.

On zmieszał się znowu, odwrócił twarz, chrząknął i po chwili dopiero odpowiedział:

– Różne u człowieka bywają żądania: podczas i takie, co nigdy spełnić się nie mogą. Już, zdaje się, i wygnasz je z serca, i zapomnisz, a smutek i tęsknota, wszystko jedno, po nich ostają...

Spojrzał w górę i zamyślił się, ale w tej chwili w owsie zaszumiało i o kilka kroków przed końmi ukazała się na wąskiej miedzy, dość szczególnie wyglądająca kobieta. Była to dziewczyna dwudziestoletnia, wysoka, z potężnymi rozmiarami ciała i twarzą tryskającą świeżością i zdrowiem. Kasztanowate włosy, słońcem przeniknięte, jeżyły się dokoła jej głowy jak

złota gęstwina; gruby, płatany warkocz opadał na szerokie plecy, okryte jaskraworóżowym kaftanem. W dużej płachcie, przymocowanej do pasa, niosła mnóstwo polnego ziele, szła wyprostowana, szerokim i silnym krokiem, a spod kraciastej samodziałowej spódnicy wyżej niż do kostek ukazywały się jej duże, bosc nogi. Z dala już widać było bławatkowy szafir jej oczu, które pod brwiami kasztanowatymi zaświeciły, rozbłysły i w twarzy Jana jak w tęczy utkwily. Kiwnęła ku niemu głową i obojętnym spojrzeniem powiódłszy po Justynie, z szerokim uśmiechem pąsowych warg zawołała:

– Pan Jan widać czasu ma dużo, kiedy sobie tak pomału idzie!

Uchylił trochę czapki.

– A panna Jadwiga co takiego w fartuszku niesie?

– Ziele dla krów! Czy to pan Jan nie poznał? Widać, że na słońce spojrzął, to w oczach pociemniało!

– Może panna Jadwiga i zgadła! – z cichym śmiechem odpowiedział.

Teraz ogromna dziewczyna z szafirowymi oczami i szeroko śmiejącymi się usty drogę mu zejść musiała i przechodząc raz jeszcze z bliska spojrzęła na niego. Uśmiech jej zmącił się i zniknął, głowę trochę pochyliła i wymówiła prędko:

– Dlaczego to pan Jan niełaskaw nigdy nas nawiedzić? Zdaje się, że nie na końcu świata żyjem. Już i dziadunio o panu wspominał...

Nie zatrzymując się ani na sekundę, pług i konie wyminęła i przodem poszła, a gdy z wielkim swym fartuchem, pełnym

zieleni, z bogato rozwiniętymi kształtami ciała i jeżącą się nad głową złotą gęstwiną włosów szła prosto i prędko, można by ją było porównać do ogromnej, silnej i w sile swojej ponętnej Cerery⁷⁷.

– Kto to? – zapytała Justyna.

– To jest panna Domuntówna, najbogatsza w okolicy aktorka...

Justyna szeroko oczy ze zdumienia otworzyła. Jan uśmiechnął się.

– Państwo nie rozumieją naszych nazwań – objaśnił. – Aktorka, czyli sukcesorka... to jest... dziedziczka... Dziadunio panny Domuntówny, Jakub Bohatyrowicz, miał tylko jedną córkę, którą wydał za Domunta. Córka i zięć prędko pomarli i tę jedną wnuczkę jemu zostawili. Całe tedy gospodarstwo, wcale piękne, na nią spadnie, a o starym gadają, że i pieniądze jeszcze ma...

Justyna uśmiechnęła się. Spostrzegła była rozkochane spojrzenie, jakie Domuntówna przez mgnienie oka zatopiła w twarzy Jana.

– Piękna panna! – ścigając wzrokiem oddalającą się, zauważyła.

– Co do piękności, to bynajmniej! – z widocznym niezadowoleniem odpowiedział – owszem, zdaje się, że nadmiar wielka i gruba! Ale – poprawił się spieszenie – pracowita i z dobrym sercem, to prawda! Czy panienka uwierzy, że

⁷⁷ Cerera – w mit. rzym. bogini urodzaju, patronka uprawy roli.

gospodarstwo u niej idzie nie gorzej jak u jakiego mężczyzny? ... I wszystko ona robić zdoła, taka silna... Przeszłego lata o najemników trudno było, to, aż śmiech powiedzieć, sama z parobkiem kosiła i orała... Wtedy mnie stryj powiedział, żebym jej pomagał, bo starego Jakuba bardzo szanuje i do tego głowę sobie nabił...

Zamilkł, widocznie czegoś nie dopowiadając; zmieszał się znowu, chrząknął i prędko zagadał:

– Ten Jakub to może już prawie dziewięćdziesiąt lat ma... Francuzów pamięta⁷⁸, a więcej jak pięćdziesiąt lat temu z dziadem pana Benedykta Korczyńskiego na wojnę chodził. Po wojnie ożenił się, już w późnym wieku, i doświadczył wielkiego nieszczęścia. Żonka go porzuciła, a on to sobie tak wziął do serca, że od tego czasu troszkę zwariował. Nie to, żeby całkowicie wariatem był, ale troszkę... Jadwiśka pięknie staruszka dopatruje, lubi jego i pieści jak małe dziecko...

Czuć było, że zbliżali się do wsi dużej i ludnej. Głosy ludzi i zwierząt coraz wyraźniej dawały się słyszeć. U brzegu kończącego się owsa trzej chłopcy, bosi i w białych z grubego płótna ubraniach, z niewielkiej przestrzeni pola zbierali koniczynę. Jeden, barczysty, tęgi i rudowłosy, kosił, a dwaj, młodzi, niedorośli, grabili i zgarniali ściętą trawę w małe kopice. Jan uśmiechnął się, otworzył usta dla powiedzenia czegoś i

⁷⁸ *Francuzów pamięta...* – tj. pamięta przemarsz wojsk fr. ciągnących pod wodzą cesarza Napoleona przez ziemie polskie na wyprawę na Rosję w czerwcu 1812 r. (24 czerwca Wielka Armia przekroczyła Niemen).

powściągnął się, na koniec, nie mogąc znać powstrzymać się zupełnie, do kosarza, którego kosa pobrzękiwała i na słońcu pobłyskiwała, zawołał:

– Adaś! A spóźniliście się z koniczyną, aż wstyd patrzeć! Będzie wam za to od ojca!...

Zaczepony, nie odwracając się, z gniewem odkrzyknął:

– Ciągnij się za swój nos, a o cudzy nie dbaj!

Jeden z młodszych chłopców grabiami rześko ziemię drapiąc, cienkim głosem zawołał:

– E! Ociec dziś na nas i nie patrzy! Z miasta tylko co powrócić i o procesie gada!

– Ja po swojej koniczynie już dziś i zaorałem! – filuternie sprzeciwił się jeszcze Jan.

– Wiadomo! Żebyś ty czego lepiej nie zrobił! Znać dudka z czubka! – sarknął znowu kosarz.

– W ojca wrodził się – zauważył Jan do Justyny – taki gniewliwy jak i ociec. Oni mnie streczno-streczni przychodzą, Fabiana Bohatyrowicza synowie... i pomiędzy nami kłótni żadnej nie ma. Tylko tego Adasia najwięcej teraz to gryzie, że mu w jesieni do wojska trzeba iść... Jak sobie na to wspomni, gadziną staje... Jeszcze i czwarty brat u nich jest, Julek, ale taki zawzięty rybak, że go z Niemna ani ściągnąć... Za Niemnem i za swoim psem, Sargasem, świata nie widzi, a do tego troszkę głupi. A siostrę ich, Elżunię, panienka widziała...

Wtem stanął, zatrzymał konie i smutnie wymówił:

– Ot już i okolica, i droga do dworu...

Zdjął czapkę i w wahającej się postawie na Justynę patrzył.

– Może bym ja – zaczął nieśmiało – panienkę do domu odprowadził, żeby podczas jaki zły pies albo bydlę nie nastraszyło!...

Może jedno z tych nie spełnionych żądań, o których przed chwilą mówił, smutkiem napełniło mu oczy. Może żałował ubiegłej godziny czasu, przedłużyć ją pragnąc. Z niepokojem patrzył na tę, tak mu z pozoru obcą kobietę, która w tej chwili wcale go nie słuchając, głowę podała naprzód, ciekawe i zachwycone oczy wlepiając w obraz tylko co ujrany. Był to raczej mały i skromny obrazek wiejskiej zagrody, ale który dziś i z bliska widziany, powiał na nią czarem ciszy i świeżości.

– Śliczna zagroda! – zawołała – kto tu mieszka?

– Stryj Anzelm, czyli my wszyscy troje, bo pomiędzy nami we wszystkim jest wspólność.

Mówiąc to, dwoma skokami przebył białą drogę wieś z polem rozdzielającą, jednym ruchem ręki otworzył na oścież zamykającą ogrodzenie, przezroczystą i niewysoką bramę. Przez bramę tę właśnie Justyna ujrzała część zagrody; teraz, gdy wewnątrz jej szerzej odsłoniło się przed nią, szybko postąpiła naprzód.

Jan Bohatyrowicz z czapką w ręku i schyloną w ukłonie głową stał u bramy, wyciągniętym ramieniem wewnątrz zagrody ukazując...

– Proszę wejść, bardzo proszę wejść i spocząć. Stryj będzie bardzo kontenty i siostry zaraz zawołam... proszę, bardzo

proszę...

Nieśmiałość jego zniknęła bez śladu. Na swoich śmieciach puszył się trochę i dumniał, grzeczną przy tym gościnność okazać pragnąc.

Zagroda była dość obszerna. Płot, z niewysokich i gładko ociosanych desek zrobiony, obejmował dobry mórg ziemi, na której z zielonej jak szmaragd łąki wyrastała setka młodych, przed kilku laty zaledwie zasadzonych grusz, śliw i jabłoni. Gdzieniedzie te wysmukłe i z widoczną starannością piastowane płonki osypane już były zawiązkami owoców, a tu i ówdzie pomiędzy nimi stare wiśnie stały, całe w potopie czerwonych jagód. Środkiem ogrodu koła wyżłobiły na trawie dość szeroką drogę i gęsto zasiała się na niej biała dzięcielina. Za owocowymi drzewami ze dwadzieścia ulów, na błękitno pomalowanych, do połowy kryło się w łanie biało i różowo kwitnącego maku, zza którego wystrzeliwały malwy obrosłe płaskim i różnobarwnym kwiatem i ukazywała się gęstwina melisy, bladej na tle ciemnozielonych wysokich i rozczochranych konopi. Dalej nisko na zagonach rosły lub wiły się warzywa, żółte słoneczniki wzbijały się nad delikatnym lasem białego kminku; tu i ówdzie pod grzędami wyrastały czerwone gaszty i rozpierały się rozłożyste krzaki wieczorników. Stuletnia może sapieżanka⁷⁹ gałęzie swe już bezpłodne, ale nieprzeniknioną gęszczą⁸⁰ listowia okryte kładła na oknach i ścianie domu, którego okiennice i

⁷⁹ *sapieżanka* – odmiana gruszy.

⁸⁰ *gęszcz* – dziś: gęstwina.

narożniki, na biało pomalowane, wesoło zza niej wyglądały. Dom, w samej głębi tej sporej przestrzeni stojący, niski był, szary, słomą pokryty, z jednym kominem i słomianą strzechą. Do ogrodu stał boczną ścianą, w której świeciły dwa spore okna, a mały ganek z zębiasto wyrzeźbionym okapem i niskie drzwi do wyjścia miał od dziedzińca, na którym zza niziutkiego opłotku widać było świron⁸¹ z wystającym i na kilku słupkach opartym dachem i stajnię, przed którą leżała brona, stały kozły do piłowania drzewa i żółciało trochę rozsypanej słomy. Stodoła wyglądała zza domu i kilku tuż przy sobie rosnących lip, a jeszcze dalej, za dziedzińcem i lipami, ledwie widzialny z wysokiej góry, migotał wąski pas Niemna z żółtą za nim ścianą i u samego skłonu nieba ciemną wstęgą boru. Promienie słońca, które pochylało się już do zachodu, igrały po trawie i w gałęziach rozżarzały barwy kwiatów, a wiśnie w wielkie rubiny zmieniały. Nad tym wszystkim w głębokiej ciszy dzwonił w drzewach świergot wróbli, brzmiało monotonne, basowe brzęczenie pszczół i wzbijało się morze woni z przemagającym wszystkie inne zapachem świeżo skoszonej trawy.

Świeżo skoszoną trawę grabiami zgarniał i w małą kopiec na dziedzińcu składał człowiek dość wysoki, bosy, w ciemnej, do kolan sięgającej kapocie i wielkiej, baraniej czapce. Ta czapka tworzyła mu jakby drugą głowę i uderzający stanowiła kontrast z resztą ubrania. Stary być musiał czy osłabiony, bo ruchy miał powolne i przygarbione plecy. Grabie jego nieustannie, ale

⁸¹ świron (a. świrna; daw.) – spichlerz, magazyn.

powoli posuwały się po ziemi, a od połowy ogrodu słyszeć już można było rozmowę, którą prowadził z kimś niewidzialnym, za domem znać i płotem dziedzińca stojącym.

– Apelacja już, chwalić Boga, podana i mucha poniesie to, co pan Korczyński w wyższej instancji wygra! – prędko i zapalczywie mówił głos niewidzialnego człowieka.

– A ja sto razy Fabianu mówiłem i sto pierwszy powtórzę, że mucha naje się tym, co my od pana Korczyńskiego wygramy – powoli i monotonnym głosem odpowiedział człowiek grabiący skoszoną trawę.

– Czemuż to tak? – wybuchnęło zza płotu popędliwe zapytanie. – Czy to Anzelm dla naszej powszechności dobra nie życzy?

– Życzę – brzmiała odpowiedź – ale powiadam: po cudze nie sięgaj!

– A jak pokaże się, że wygon nie cudzy, tylko nasz? A Bóg mnie ubij na duszy i ciele, że pokaże się tak, a nie inaczej...

– Fabiana adwokat zbałamucił i Fabian wierzy...

– Jeszcze ten nie urodził się, kto by potrafił mnie zbałamucić! Do sąsiada po rozum nie pójdę i nawet u Anzelma jego nie poproszę, choć Anzelmowi jeszcze ta mądrość z głowy nie wywietrzała, co jej kiedyś od wielkich panów nabrał...

Głos niewidzialnego człowieka przybierał wciąż popędliwości, aż przy ostatnich słowach stał się rozgniewany i zgryźliwy. Grabiący trawę z jednostajną wciąż powolnością zaczął:

– Niechaj mnie Fabian wielkimi panami oczu nie wypieka... ja ich dwadzieścia lat nie widziałem i do śmierci już pewno nie obaczę...

– Wszystko równo. Czego się człowiek za młodu nauczy, to i na starość mruczy – dojadł głos zza płota.

Wtem niewielki, kudłaty pies z żółtą sierścią i wydłużonym tak jak u lisa pyskiem, który dotąd spokojnie leżał na rozrzuconej przed stajnią słomie, zerwał się i z głośnym szczekaniem ku ogrodowi poskoczył. Z ogrodu na dziedziniec wbiegła para koni, ciągnąc za sobą pług w ten sposób, że łatwo mógł zaczepić o płot albo świron i zepsuciu ulec. Człowiek w baranej czapce głowę podniósł.

– A toż co? A gdzie Janek? – na widok samopas pędzących koni żywiej przemówił.

Ale w tejsze chwili za czepiającym się już płotu pługiem przyskoczył Jan, bez czapki, która w ogrodzie na trawie leżała, zaczerwieniony i zdyszany. Jednym zamachem rąk pługowi nadał właściwy kierunek, lejce podjął i konie, które głosowi jego posłuszne były jak dzieci, przed stajnią zatrzymał. W mgnieniu oka przy stryju znalazł się i za ramię go pochwycił.

– Stryjaszku! Żeby stryjaszek wiedział, jakie mnie dziś szczęście spotkało...

Ręce jego drżały, głos dygotał – w palcach ścisnął kapotę starego, który z rąk grabie wypuścił.

– A toż co? Kto tam w sadzie?

Żółty pies, minawszy pług i konie, ze szczekaniem wpadł do

ogrodu.

– Mucyk! – rzucając stryja wołał za nim Janek – pójdź tu, Mucyk!...

– Daj pokój Mucyku! Kto to taki? Pani jakaś? Czego ona...

Z dłoni sobie daszek nad oczami robił i w głąb ogrodu patrząc, usiłował rozpoznać rysy kobiety, dokoła której zwijał się poszczekując uspokojony już Mucyk.

Jan stryja za rękę chwycił.

– Z Korczyna... panna Justyna. Stryj wie... ta, co to ja stryju zawsze opowiadałem... Niech stryj idzie i przywita się...

Ze zdziwieniem i prawie przerażeniem przygarbiony człowiek cofnął się ku domowi.

– A toż co? – zawołał – z Korczyna... na co? Po co? Dla jakiej przyczyny?...

– Bardzo jej upodobało się u nas, przyszła spocząć... niechże stryj idzie...

Ale stary plecami przyparł się do ściany domu.

– Na co mnie? Nie pójdę... kiedy ją przywiodłeś, to idźże do niej sam...

– Kiedy mnie konie odprząć i nakarmić trzeba! – gwałtownie szeptał Jan i za obie już ręce opierającego się pociągał. – Stryjku, stryjaszku, mój mileńki! Mój rodzony! Proszę iść... prędko... ona w gościnę do nas przyszła... proszę iść...

– Wariat ty, Janek, czy co? Ze wszystkim jak u wariata oczy błyszczą... czego ty mnie tam ciągniesz?... sam idź!

– A konie! I czy to pięknie, żeby stryj sam gością w

swojej chacie nie przywitał?... Proszę już iść... prędzej... mój rodzony!...

Bosy i przygarbiony człowiek otulał się swą kapotą, głową w wielkiej baraniej czapce trząsał przecząco, do ściany wciąż się przypierał, ale przemoc, którą ten oszalały w tej chwili chłopak na nim wywierał, była widoczna. Wyrывая ręce swoje z jego dłoni, w pół z gniewem, w pół ze zgrozotą zawołał:

– A puśćże już! Niechajże choć buty wdzieję! Ze wszystkim wariat!

– Pójdzie stryj?

– A już pójdę... ale niech buty wdzieję...

Zniknął w głębi domu: Jan wpadł jeszcze od ogrodu.

– Niech panienka będzie łaskawa, siędzie, zaraz stryj przyjdzie... ja konie odprzęgę...

I rzucił się ku stajni, do koni.

W dużym tym ogrodzie, który był zarazem owocowy, warzywny i kwiatowy, a także łąką i pasieką, znajdowała się jedna tylko ławka, przy ścianie domu pod dwoma oknami stojąca, z wąskiej, na dwu słupkach opartej deski złożona i tak długa, że dziesięć osób rzędem na niej usiąść by mogło. Tuż przed nią wyrastał z trawy szereg sztywnych malw, a nieco na prawo pszczoły nad błękitnymi ulami i różowymi makami brzęczały. Z tej ławki podniosła się wysoka i kształtna kobieta, z głową czarnymi warkoczami owiniętą i śniadą twarzą, o rysach wydatnych, którą rzeźwiące powietrze pola oblało teraz świeżym rumieńcem. Pomiędzy malwami, sama do pysznie rozwiniętego

kwiatu podobna, stała w nieśmiałej trochę postawie, a szare jej oczy z dala już wpatrywały się w zbliżającego się ku niej człowieka. Nie był on dla niej całkiem nieznanym. Zastępszała coś była o przeszłości jego, wspólnej z przeszłością Korczyńskich, z tą przeszłością, o której teraz prawie nigdy nie wspominało w Korczynie, lecz której niestarte pamiątki tkwiły w sieroctwie Zygmunta, w wiecznej żałobie jego matki, w położeniu, sposobie życia i posepności oczu Benedykta. Domyślała się także czegoś, czegoś więcej nad przelotną znajomość, co niegdyś zachodzić musiało pomiędzy człowiekiem tym i Martą. Z bliska, pomimo ruchów ocieężałych i przygarbionych pleców, mniej staro wyglądał on niż z daleka. Z twarzy jego o rysach ściągłych i regularnym profilu poznać można było, że nie miał więcej jak lat pięćdziesiąt, ale była to twarz cierpiąca i zamyślona, z cerą od słońca trochę zaróżowioną, z zapadłymi policzkami i spłowiałym błękitem oczu. Ze sposobu, w jaki zbliżył się do nieznanego sobie kobiety, z ukłonu, jaki jej oddał, znać było, że dworne obyczaje nie były mu całkiem obce. Uchylił nieco baraniej czapki, lecz wnet ją znowu włożył na głowę.

– Jestem Anzelm Bohatyrowicz – powolnym swym i monotonnym głosem wymówił – przepraszam, że w czapce ostane, ale taką mam głowę, która lęka się przeziębienia...

Było w nim coś obojętne i przymuszonego, kiedy dłonią swą dotknął ręki, którą śpiesznie podała mu Justyna. Wzrokiem twarz jej omijał, a pod krótkim, siwiejącym wąsem bladawe jego usta zarysowywały linię surową. Jednak dwornym znowu gestem

wskazał ławkę mówiąc:

– Proszę, bardzo proszę sieść i odpocząć...

Sam w stojącej postawie pozostał i daleko kędyś patrząc milczał. Pomimo usiłowań, które czynił, aby okazać się grzecznym i gościnnym, czuć w nim było dzikie boczenie się od ludzi i ukrywane, lecz niepozbyte uczucie niechęci. Spostrzegła to Justyna i ze zmieszaniem zaczęła:

– Przepraszam, że weszłam, ale ogród ten wydał mi się tak świeży i pociągający, a pan Jan tak mnie uprzejmie zapraszał...

Trudno byłoby zgadnąć, czy pochwała jego zagrody albo też poufałe nazwanie po imieniu synowca nieco go rozpogodziły.

– Owszem – rzekł – bardzo dziękuję... Już i nie spodziewałem się takiej promocji⁸², ażeby kto z Korczyzna moją ubogą chatę nawiedził...

Znowu uchylił czapki.

– A jakże miewa się panna Marta Korczyńska? – zapytał.

– Często i przyjaźnie o panu wspomina – żywo odpowiedziała Justyna.

– Być nie może – zaprzeczył – pani tak tylko, z łaski swojej... Tyle lat... Widziałem ja ją... będzie temu lat trzy, w kościele... u! zmieniła się, postarzała... ze wszystkim już insza, jak była.

– Od wielu lat wujowi memu pomaga i ciężko pracuje – wtrąciła Justyna.

Trochę urągliwy uśmiech po ustach mu przemknął i ciszej rzekł:

⁸² *promocja* – tu: *zaszczyt*.

– A lękała się pracy! Ot, wszystko jedno, pracować wypadło...

Zamyślił się, długą, bladą ręką poprawił nad czołem czapkę i daleko kędyś bladymi oczami patrząc, monotonnym swym głosem wymówił:

– Poranek widział kwitnącą, rumianą, a wieczór babą obaczył...

Czy ta krótka rozmowa zajęła go i ożywiła lub też sposób wyrażenia się Justyny przypomnieniem czegoś dawno minionego pociągał go ku niej – postąpił krok naprzód i na ławce, dość jednak daleko od niej, usiadł.

Wtem zza węgła domu ukazał się Jan, na rozmawiających spojrzął i nie zbliżając się przemówił:

– Stryju, panience sad nasz bardzo się upodobał!

– Chodźże tu! – zawołał Anzelm.

Chłopak widocznie walczył z sobą.

– Kiedyż jeszcze koniom nie wszystek owies zasypałem...

– To idź i zasypuj!

A zwracając się do Justyny, znowu trochę czapki uchylił:

– Bardzo kontenty jestem, że się pani mój sadek upodobał.

Wszystko to pochodzi z mego własnego sadzenia i starania. Gdyby pani dziesięć lat temu tu przyszła, obaczyłaby same rudery, badyle, śmiecie i paskudztwo...

Justyna powiedziała mu, że słyszała o jego długiej i ciężkiej chorobie.

– A... a... a... od ko... kogo?

Zdziwił się tak, że aż jąkać się zaczął. Białe oczy jego z wyteżeniem w twarzy jej utkwily.

– Czyżby w Korczynie kto jeszcze o mnie wspo...wspo... mi...

Machnął ręką i prędko dodał:

– A to pewno Janek pani o tym mówił... Żeby nie! Dobrze jemu zapamiętało się to niedołęstwo moje, bo wiele on podtenczas biedy przecierpiał, tego i opowiedzieć trudno... A co to był za defekt, o tym jeden Pan Bóg wiedzieć może, dość, że zwałił mnie z nóg jak kłodę i dziewięć lat bezwładnym i w bólach trzymał... U doktorów radziłem się ze trzy razy, ale nie pomogli i nawet nic zepsutego w ciele moim nie wynaleźli... Mówili, że hipokondrię⁸³ mam... hipokondrykiem mnie nazywali... Duszna to podobno była choroba więcej niżeli cielesna...

Rozgadał się i powolnym, monotonnym swym głosem opowiadać zaczął minione swe cierpienia. Z tego, co opowiadał, i nawet z wielu trwających jeszcze cech jego powierzchowności łatwo można było odgadnąć jedną z tych strasznych chorób nerwowych, które dla samej nauki do określenia i zwyciężenia wielce trudne bywają. Jakim sposobem pochwyciła ona tego człowieka prostego i tak ściśle z życiem natury spojonego, o którym Marta mawiała Justynie, że miał kiedyś postawę dębu i twarz do kwitnącego maku podobną? Widać, że on sam nieraz

⁸³ *hipochondria* – zaburzenie nerwicowe przejawiające się poczuciem nieuzasadnionego lęku o zdrowie lub równie bezpodstawnym przekonaniem, że cierpi się na poważną chorobę; powoduje to nadmierne skupienie na własnym ciele. Tu mamy do czynienia ze zniekształconą formą: *hipokondria*.

zapytywał siebie o to, bo w zwykły sobie sposób zamyślając się i kędyś daleko patrząc dokończył:

– Różne na świecie bywają zdarzenia... Bywa to, że człowieka przez pole idącego szkodliwy wiatr obejmie i reumatyzmu albo innej choroby go nabawi. A bywają i insze wiatry, nie te, co w polu świszczą, ale te, co przez drogę życia człowieka przelatują...

Potrząsał głową i kędyś daleko patrzył.

Powolnym ruchem podniósł się z ławki i znowu czapki nieco uchylił.

– To może pani będzie łaskawa sadek mój obejrzeć, kiedy się tak upodobał...

Po niedawno skoszonej i gładkiej jak kobierzec trawie od drzewka do drzewka przechodząc, opowiadał jej wiek i pochodzenie każdego z nich, tłumaczył sposoby hodowania i gatunki.

– To jest bonkreta... a to panny jesienne... to francmadama...⁸⁴ tam trzy sapieżanki... tam jabłka oliwne, zimowe papierówki... kalwinki... sztetyny...⁸⁵ a tamten gaik cały śliwowy...

Wyprężenie jego rysów, mające w sobie coś obojętnego i razem bolesnego, miękło i znikało; w bladym błękitcie źrenic pobłyskiwać zaczęły nikłe, lecz prawie wesołe iskry. Po Justynie znać też było, że w tej zagrodzie, napełnionej urodzajnością i ciszą, swobodniej i szerzej oddychała niż przed godziną w

⁸⁴ *bonkreta* (...) *francmaclama* – odmiany grusz.

⁸⁵ *kalwinka*, *sztetyna* – odmiany jabłoni.

napełnionym gośćmi salonie.

Znajdowali się właśnie przy sporej grupie śliwowych drzewek i Anzelm opowiadał, w jaki sposób chroni renklody i mirabele przed zimowymi śniegami i mrozami, kiedy Jan wybiegł znowu z dziedzińca i o kilka kroków stanąwszy słuchał przez chwilę ich rozmowy.

– Czy panienka da wiary – zawołał – że stryj to wszystko własnymi rękami zasadził i teraz dopatruje?... Zdaje się taki słaby, a wielką ma siłę i wytrwałość...

Anzelm obejrzał się.

– Chodźże tu, Janek! – po raz drugi zawołał.

Ale chłopak wahał się znowu, to ku dziedzińcowi, to na Justynę patrząc. Widoczne było, że pragnął być tu i tam.

– A kiedyż jeszcze konie napoić trzeba...

– Pewno, że trzeba – odpowiedział Anzelm.

I zwracając się do Justyny, zwykłą sobie powolną i czasem przerywaną mową, ale coraz swobodniej opowiadać zaczął, jak w ciężkiej słabości leżąc, nieraz nawet na świętą Wolę Bożą szemrał za to, że go beczynnym i niepożytecznym uczyniła; jak gryzł go i przestraszał los tego chłopca, sieroty po bracie, którego źli sąsiedzi krzywdzili i z własności obdzierali, z sieroctwa i dziecinnego jego wieku korzystając; jak na koniec, kiedy już zdźwignął się z niemocy, ręce paliły się mu do roboty.

– Już to też dziesiąty rok, jak zmartwychpowstałem i chłopiec mój dorósł... Najpierw od sąsiadów wyprocesowaliśmy to, co nam odebrane było, potem zbudowaliśmy ten oto domek, a

potem już wszystko poszło: i pasieka, i sadek. Janek nauczył się pszczelnictwa od jednego takiego człowieka, co sam na naukę do wielkiego miasta jeździł; ja znów od młodu przyuczony byłem do stolarstwa i jego przyuczyłem.

Szerokim gestem zatoczył dokoła:

– Wszystko to jest robota własnych rąk naszych: i ten płot z desek, i ten ganeczek, i ule. W potrzebie najemników do pomocy bierzem, ale sami my rolniki i sadowniki, i pasieczniki, i stolarze... W biednym stanie inaczej nie może być, kiedy człowiek żąda nie tylko nasycenia ciała, ale i tych różnych elegancji i przykrasek, co i niekoniecznie potrzebne, ale dla oczów miłe...

Śmiał się teraz cichym, piersiowym śmiechem, przygarbione plecy prostował; nikłe iskry zlały się mu w źrenicach w spokojny i ciepły promień. Jednak w głębi tego człowieka było coś, co falą smutku czy zniechęcenia rychło gasiło jego wesołość. Pochylił znowu głowę, przygarbił się i powoli dodał:

– Wszystko to jest doczesność i znikomość. Nie na takie roboty człowiek patrzył, a wniwecz poszły; nie takimi nadziejami karmił się, a najadł się trucizny... Każda rzecz na świecie jak woda przepływa, jak liść na drzewie żółknie i gnije...

Patrzył w ziemię, mówił to monotonnie i coraz ciszej; można byłoby myśleć, że słowa te były pacierzem, który odmawiał od lat wielu, po wiele razy co dzień i może co nocy. Powoli jednak podniósł twarz i daleko patrzeć zaczął.

– Ale nie każdy ma jednostajną łaskę u Boga i jeden więcej,

drugi mniej szczęśliwości na tym świecie użyje. Może z tego wszystkiego Janek, dzieci jego i wnuki słodko i mile korzystać będą... Do tego – dodał – każdemu gniazdo swoje miłe, a osobliwie nam...

Tu wzrok jego przesunął się po twarzy Justyny.

– Panowie to co inszego – dokończył – do wielkich miast jeżdżą, za granicami przemieszkują, różne zabawy i rozkosze mają... A dla nas co? Dla nas ani Paryżów, ani honorów, ani pięknych muzyczek, ani wesołych asamblów⁸⁶ nie ma. Gniazdo nasze – wszystko nasze... i dla tej przyczyny trzymamy się jego zębami i pazurami.

Justyna spuściła oczy. Było w nim znowu coś niechętnego i trochę urągliwego, kiedy słowa te wymawiał, a przed jej wzrokiem, nie wiedzieć czemu, stanął w tej chwili młody człowiek w ubraniu żurnal mód przypominającym, z postawą z przyzwyczajenia jakby malowniczo ułożoną, z wyrazem wiecznego niezadowolenia w pięknych oczach, a na ustach ze wspomnieniami cudów cywilizacji, widzianych i słyszanych w dalekich krajach. Ona tego człowieka kiedyś bardzo kochała, ale wydało się jej w tej chwili, że było to bardzo, niezmiernie dawno. W tej chwili także uczuła, że pomiędzy nią, stojącą wśród tej zagrody, a nim, przesuwanym swą twarz bladą i niezadowoloną po korczyńskim salonie, leżała wielka przestrzeń. Uczuła się daleko, daleko od Korczyna – gdzieś na jakimś zupełnie innym świecie.

⁸⁶ *assamble* (z fr.) – zebrania towarzyskie.

Kiedy podniosła oczy, u końca dziedzińca zobaczyła wybiegającego zza góry kasztanka, a tuż za nim jechał na gniadej Jan. Konie napojone i wykąpane w rzece, otrząsały z siebie gęste krople wody wesoło parskając. Jan z gniadej zeskoczył, a w minutę potem z wnętrza stajni zawołał:

– Antolka! Antolka!

Wołał tak na młodziutką dziewczynkę, która w krótkiej spódnicy, w różowym kaftanie i bosa ukazała się zza góry, niosąc na ramieniu koromysło⁸⁷ z dwoma pełnymi wiadrami. Wysmukła i wątła, przechylała się trochę na bok pod tym ciężarem i jedno ramię dla utrzymania równowagi z dala od ciała trzymała.

– A co? – cienkim głosem odkrzyknęła.

– Weź kluczkę i wisien z drzewa nazdejmu! Prędzej tylko!

– Na co?

– Dla gościa.

I ciszej dodał:

– W sad popatrzaj!

Dziewczynka spiesznie wiadra z wodą na ganku postawiła i koromysło z ramienia zdjęła, po czym na ogród spojrzawszy, ręką twarz zasłoniła i do domu wpadła. W minutę wybiegła znowu, ale już w trzewikach i z długą, u końca zakrzywioną tyczką w rękę. Jak sarna przez ogród ku największej wiśni biegła, zagony przeskakując, ze wstydliwie spuszczoną głową. Ciemny warkocz aż do pasa spadał po szczupłych i gładkich jej plecach, u końca czerwoną wstążeczką związany. U początku

⁸⁷ *koromysło* – nosidło do noszenia wiader na barkach.

warkocza sterczał czerwony kwiat gasztu. Podskoczyła, kluczką gałąź przechyliła i prędko wiśnie rwać zaczęła.

– Przyrodnia jego siostra – z cicha rzekł Anzelm do Justyny – z jednej matki, nie z jednego ojca... Jaśmontówna... Jego matka, po bracie moim owdowiawszy, drugi raz za Jaśmonta poszła i o trzy mile stąd w Jaśmontowskiej okolicy żyła.

Siedzieli znowu na ławce, pod ścianą domu, ale dokoła nich mniej cicho i samotnie stawać się zaczynało, niż było wprzód. W szczelinach płotu zaświecił jeszcze jeden jaskraworóżowy kaftanik, zupełnie taki sam, jak te, które miały na sobie Domuntówna i Jaśmontówna, a nad niewysokimi deskami ukazało się czoło kobiece; oczy pod czołem tym umieszczone, przez szczeliny zaglądać musiały do wnętrza zagrody Anzelma. Po chwili, dalej nieco, wysunęła się znad płotu cała głowa mężczyzny, z krótko ostrzyżonymi włosami, sterczącymi wąsami i okrągłą różową twarzą, w miejscu zaś, gdzie kończyło się ogrodzenie z desek, nad niskim płotkiem, od kilku minut już stała, nie postrzeżona dotąd przez nikogo, podstarzała kobieta, w ciemnym, krótkim ubraniu i w chustce na kształt czepka na głowie związanej. Ciekawa znać była także zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie sąsiada, jednak stała nieruchomo, w postawie zamyślanej, z podłużną i bladą twarzą na dłoni opartą. Anzelm na ciekawych sąsiadów nie zwracał żadnej uwagi i powoli, ale z zajęciem zapytywał Justynę o sposoby, w jakie zasadzają i pielęgnują owocowe drzewa we dworskim ogrodzie. Mało o tym wiedziała, gdyż ogrodem korczyńskim, z wyłącznością sobie

właściwą, zajmowała się Marta.

Uśmiechnął się znowu i głową pokiwał.

– A lękała się pracy!... – z cicha powtórzył.

Jan wbiegł z dziedzińca, zupełnie już widać o wyprzężonych z pługą ulubieńców i współpracowników swych spokojny. Pobiegł do siostry i za ramię ją wzięwszy, do ławki pod domem stojącej prowadził. Z koszykiem pełnym wisien w ręku i z pochyloną ciągle głową przed Justyną stanęła. Widać było, że gdyby ją brat nieco powyżej ręki mocno nie trzymał, pierzchnęłaby wnet i schowała się gdziekolwiek. Ale wysmukła i cienka jej kibić była tak do młodej brzoźki podobna, drobna schylona twarz miała tyle łagodnego wdzięku, a w oczach, które na chwilę oderwała od ziemi, błysnęła taka dziecinna ciekawość, z taką dziecinną bojaźliwością złączona, że Justyna ruchem zupełnie instynktownym za rękę ją pochwyciła, na ławie przy sobie posadziła i objąwszy, w białe, ciemnymi włosami zarzucone czoło pocałowała. Daleko ognistszy rumieniec niż ten, który oblał twarz jego siostry, wytrysnął na czoło i policzki Jana. Uszy jego nawet stanęły w ogniu! Stojąc pod sapieżanką, o pień jej plecami wsparty, spojrzał na niebo, na szczyty drzew, dokoła siebie i ręką przetarł czoło i oczy. Coś znać w tej chwili wezbrało w tej szerokiej i silnej piersi, a przed oczami iskry sypiącymi świat może zakręcił się wir. Justyna, patrząc na wiotką i zaledwie dorosłą dziewczynkę, przypomniała sobie to koromysło i te dwa ciężkie wiadra z wodą, które przed chwilą na plecach jej widziała.

– Czy to nie ciężko wodę nosić... na tak wysoką górę? – z cicha zapytała.

– Żeby nie! – kręcąc w palcach brzeg fartucha odszepnęła Antolka.

– Krwawa u nas woda – wtrącił Anzelm – z góry po nią iść trzeba i nieść ją pod górę.

– Toteż, zimową porą osobiwie, częściej ja wody przyniosę niżli ona – jakby usprawiedliwiając się rzekł Jan.

– Częściej on przyniesie niżli ja – podnosząc głowę i na brata patrząc potwierdziła siostra. – Ale – dodała prędko i z wzrastającym zawstydzieniem – ja także mogę... czemu nie! Już ja w tym roku drugie lato żać będę...

Justyna zamyśliła się – o czym? Może przed jej pamięcią stanęła kobieta wątła także i delikatna, którą dziś widziała wysuwającą i cofającą drobne nóżki z niewymowną trwogą uczuwaną przed zejściem z kilku wschodów.

– Żaden człowiek sił swoich nie zna, dopóki ich w potrzebie... – zaczął Anzelm, ale nie skończył, bo w tej chwili rozległ się u płota głuchy stuk, podobny do tego, jaki by sprawiła spadająca na ziemię ogromna kluska. Niewysoka i krępa dziewczyna w różowym kaftanie, podobna istotnie do pulchnej i zarumienionej kluski, przez płot przeskoczyła i szybko zbliżała się do rozmawiających. Z dała już wśród okrągłej i tłustej jej twarzy śmiały się do nich jej białe zęby, błyszczące oczy i zuchwale zadarty nosek. Z dała też na powitanie głową kiwała i wołała:

– Dobry wieczór! Wszystkim państwu dobry wieczór!

– Czego? – patrząc na nią zwięźle zapytał Anzelm.

Tuż przed nim stając, głośno zaszcebiotała:

– Przyszłam do Antolki wody pożyczyć...

– Czy w garść wody nabierzesz? – flegmatycznie zapytał gospodarz zagrody.

Dziewczyna spojrzała na czerwone ręce swe, które wzdłuż jej kraciastej spódnicy wisiały, i wybuchnęła śmiechem.

– Bardzo słusznie! – przestając śmiać się, ale wciąż białe zęby ukazując odpowiedziała. – Wody w garść nie nabiorę, nie po wodę też przyszłam, ale żeby panienkę z Korczyzna zobaczyć... Panienska mnie zna!

– O! Już zna! Raz ciebie na wozie jadącą widziała i już zna!
– zapominając o bojaźliwości swej oburzyła się Antolka.

– Bardzo słusznie! Bo kto na kogo kwiatami rzuca, ten tego nie tylko zna, ale pewno i lubi!

– To jest prawda, że panienska bukiet wtedy wprost na nią upadł! – potwierdził Jan.

– Takie już moje szczęście! Bardzo słusznie! – na całe gardło zaśmiała się znowu dziewczyna.

I wszyscy śmiać się zaczęli, nawet Anzelm ze słabym uśmiechem zwrócił się do Justyny:

– Elżunia Bohatyrowiczówna, Fabiana córka... najpuściejsza dziewczyna z całej okolicy...

– Bardzo słusznie! I pan Anzelm nie był pewno taki smętny, kiedy był młody – odcięła się Elżunia.

– A warto by było rozumu troszkę nabrać, kiedy już tak jak prawie zaręczona – zażartował Jan.

– Nieprawda, jeszcze nie zaręczona, jeszcze ociec na oględziny pojedzie...

– Tak jak prawie zaręczona! Tak jak prawie zaręczona. – rozszczebiotała się nagle Antolka. – Jaśmont ze swatem przyjeżdżał... nasza mama tobie go wyswatała... Może nie mówiłaś, że ładny?

I koszyk z wiśniami pod samą prawie twarz przyjaciółki podsunęła.

– Na, jedz wiśnie!

Elżunia pełną garścią zaczerpnęła z koszyka czerwonych jagód i wnet je do ust poniosła, ale od płotu zabrzmiał męski głos, z gniewnym i groźnym akcentem wołający:

– Alżunia! A ty tu czego? Czy to tobie w chacie roboty nie stało?... Alżunia!

Człowiek, który przed chwilą głowę znad ogrodzenia ukazywał, przestąpił niski płotek w tym miejscu, gdzie stała podstarzała, mizerna kobieta, i poważnymi, ale szerokimi kroki dążył ku domowi Anzelma, ustawicznie dziewczynę przywołując. Córka tu przyszła niby po wodę, ojciec przychodził niby po córkę. Nie zlekła się ona bynajmniej, tylko umilkła, może dlatego, że usta miała pełne wisien, i usunęła się trochę pomiędzy wysokie malwy. Żółty Mucyk z gwałtownym szczekaniem zabiegł drogę przybywającemu, ale on go końcem buta odtrącił i z fantazją w postawie wśród obecnych stanął. Średniego

wzrostu był, krępy, w surducie z grubego sukna i wysokich butach, z twarzą bardzo podobną do takiego rydza, w którego by wprawiono zadarty nos, kępkę sterzcących wąsów i małe, błyszczące oczy.

– Niechże i mnie będzie pozwolone przywitać Anzelmowego gościa – zaczął z niejaką nadętością w głosie i wymowie, a oczki jego drwiąco trochę świeciły. – Dawne to już czasy, kiedy przez nasze ubogie progi przestępowały takie znakomite nogi, a nie wiadomo, co by to pan Korczyński powiedział, gdyby wiedział, że siostrzenica jego znajduje się w Bohatyrowieckiej okolicy, tak jak prawie w samym gnieździe jego największych wrogów!...

Jan głowę w tył odrzucił i parę kroków naprzód postąpił.

– My nikomu wrogami nie jesteśmy... – żywo zawołał.

– Czy Fabianu język tak świerzbi, że przyszedł tu nie w czas o takich rzeczach gadać? – ze zwykłą sobie powolnością zapytał Anzelm, ale żywszym trochę ruchem czapkę poprawił.

– A niby to Anzelm żadnego żalu do pana Korczyńskiego w sercu swoim nie chowa i żadnej ubliży od niego nie otrzymał? – znacznie już popędliwiej rzucił przybyły i coraz prędzej, z coraz więcej błyszczącymi oczami ciągnął: – Czy to Anzelm już nie pamięta, jak pan Korczyński przed całym swoim dworem mnie i Anzelma złodziejami nazwał? Czy Anzelm nie pamięta, jak pan Korczyński na nas różne kondemnacje⁸⁸ u sądów wyjednywał? Czy Anzelm nie pamięta, jak pan Korczyński do góry nos podejmuje, kiedy koło okolicy przechodzi albo przejeżdża?

⁸⁸ kondemnacja (z łac. *condemnatio*: skazanie) – zaoczny wyrok sądowy.

Ale Anzelm wyprostował się trochę, baranią czapkę bladą swą długą ręką na czole przesunął i przerwał:

– Co ja pamiętam o panu Korczyńskim wspominając, Fabian ze wszystkimi swymi synami na plecach by nie poniósł. Jednakowoż źle nie życzę nikomu i między niczymi wrogami nie jestem... Niech pan Korczyński żyje i zdrow będzie długie lata... Ja jemu przekleństwa nie posyłałem i nigdy nie poszlę...

Splowiałe jego oczy spojrzały kędyś daleko i plecy wnet przygarbiły się znowu. Fabian obie dłonie na kłębach oparł i zjadliwie wybuchnął:

– Anzelm zawsze taki, jakby wczorajszego dnia z Panem Bogiem gadał. Ale ja inszy: ja panu Korczyńskiemu do śmierci nie daruję i tego, że mnie złodziejem przezwał, i tych krwawych rublów, co ze mnie na różne sztrafy⁸⁹ wycisnął... Nie zląknę się ja i przed siostrzenicą jego powiedzieć, że ten proces, który z Bohatyrowiczami ma, przeze mnie ma. Ja szlachtę do niego namówił, ja adwokata znalazł, ja staram się i zabiegam. Niech zna, że i biedna mucha odejmuje się, kiedy ją ubijają. Czy wygramy, czy przegramy, ale on tymczasem naje się kłopotów i koszta położy. Dobrze mnie i to. Dobra kozie brzoza. On arystokrat i w złotych pokojach mieszka, a ja ubogi szlachcic, z niskiej chaty, ale bywa, że mała mucha wielkiego konia do krwi ukąsi. Może ja w tym procesie darmo zdrowie położę i fortunę swoją nadweręzę, może mnie głupie ludzie i kłać będą na wypadek przegrania. Ale mam nadzieję, że tak nie będzie, bo

⁸⁹ *sztraf* (z niem.) – kara.

Bóg kotwica moja, a kogo on ma w swojej obronie, ten w złej nawie nie utonie...

Mówiąc to wszystko, brał się w boki, szeroko rozmachiwał rękami, głos coraz podnosił, cały wewnątrz kipiał, a na twarzy spotniał. Zdawać się mogło, że nigdy mówić nie przestanie: ale Jan, który niespokojne wejrzenia na Justynę rzucał, głową kręcił, usta przygryzał i widocznie powściągał się z trudnością, teraz na ramieniu rękę mu oparł.

– Niech pan Fabian upamięta się... – przez zaciśnięte zęby wymówił.

Stary obejrzał się i głowę podnieść musiał, aby w twarz wysokiemu chłopakowi spojrzeć.

– A co to? – krzyknął.

– Niech pan Fabian do upamiętania przyjdzie! – głośniejszy powtórzył Jan, a z oczów jego tryskały takie błyskawice gniewu i z całej siły tłumionej groźby, że stary zmieszał się i nagle ochłonął.

– A co ja takiego nagadałem? – ciszej zapytał.

– Głupstw, głupstw ociec nagadał! – krzyknęła wyskakując zza małw Elżusia i chwytając go za połę surduta, energicznie dodała: – Bardzo słusznie! Niech już sobie ociec stąd idzie, bo jak jeszcze troszkę tu postoi, znów pan Korczyński na język ojcu wlezie...

Córkę usunął i ze zmieszonym wzrokiem rzekł:

– Jeżeli co nie w czas naplotło mi się w gębie, to przepraszam... przepraszam... Język bez pamięci, sekretu nie

strzyma... Przepraszam... dobranoc państwu!

Zdjął czapkę i miał odchodzić, ale zatrzymał się jeszcze, na Jana patrząc. W rozgniewanej i rozognionej przed chwilą jego twarzy wszystko teraz śmiać się zdawało: i czerwone policzki, i małe oczy, i zadarty nos, i ruszające się wąsy. Czapką ku Janowi machnął i zawołał:

– Kiedy Jezus przed Herodem do Egiptu uciekał, to i mnie przed tobą uciekać nie wstyd; ale to sobie pamiętaj, że jaja kur nie uczą. Pierwej doznaj, potem gań... Dobranoc!

Machnął czapką i ku płotowi poszedł. Elżunia biegła tuż za jego plecami, podskakując, przyśpiewując i pestki od wisien z ust wypluwając. Wtem nad ogrodzeniem przesunęła się w powietrzu błyszcząca kosa i rozległo się basowe, niegłośne nucenie:

A kto chce rozkoszy użyć,

Niech idzie do wojska służyć...

Czuć było, że ten, kto słowa te nucił, smutny był czy nadąsany.

Fabian przyśpieszył kroku i znowu najgroźniejszym swym głosem zawołał:

– Adaś! A nie mogłeś to koniczyny skosić, kiedy ja w mieście byłem! Wszystkie zęby ci w gardło wepchnę, gamuło!

– Już skoszona i niech ociec na darmo swego gardła nie mocije! – wcale nie przestraszonym głosem odpowiedział tęgi, rudawy, ale prosty i przystojny chłopak, który wraz ze swą kosą ukazał się za niskim płotkiem. Nieruchomo dotąd stojąca mizerna kobiecina odwróciła się ku szaremu domkowi, nie opodal od zagrody Anzelma, za płotem, drzewami i kawałkiem

ogrodu ledwie widzialnemu.

– Alżusia! Po wodę zbiegaj! – piskliwie i bardzo przeciągle zawołała.

Z daleka już ozwał się rozkazujący głos Fabiana:

– Nie trzeba! Imość zawsze tylko byś się Alżusią posługiwała, a chłopcom wszystkie folgi robiła. Niech Adaś po wodę schodzi, a dziewczyna i bez tego wieczrę gotować będzie!

– Adaś! Schodzisz? – zawołała, a raczej zaśpiewała znowu matka.

– Zaraz! – odkrzyknął niewidzialny już za drzewami chłopak i głośniejsze zanucił:

Tam on rozkoszy użyje,

Krwi jak wody się napije...

W ogrodzie Anzelma znowu zapanowała cisza. Jan nieśmiało zbliżył się do Justyny.

– Czy pani nie gniewa się za te... nieprzyjemności, które on mówił o panu Korczyńskim?

Słyszał, że stryj nazywał ją panią, i w ten sam sposób mówić do niej zaczął. Stryj lepiej od niego wiedział, jak mówić i z każdym obchodzić się trzeba, bo przez lat parę codziennie prawie bywał we dworze. Ale Anzelm niespokojny się stawał. Raz w raz poprawiał czapkę i na słońce mrużącymi się oczami spoglądał. Stało ono u skłonu nieba, w bliskiej już od ciemnego boru odległości; niewiele więcej nad godzinę do zachodu zostawało...

– Janek!

Spod baraniej czapki blade oczy z niepokojem wznosił ku

twarży synowca.

– Czy my już dziś nie pójdziem do Jana i Cecylii?

Jan zmieszał się także.

– Może nie pójdziem... co tam, że jeden dzień opuścimy!...

Stary głowę pochylił.

– Źle! Źle będzie – szepnął – jeżeli do jesiennej pory krzyża nie skończym...

– Czy pani była w parowie Jana i Cecylii? – zapytał Jan Justynę.

Przypominała sobie. Zdawało jej się, że coś o miejscu nazwę tę noszącym słyszała, ale nie była tam, nie, najpewniej nie była tam nigdy.

– A pewno, pewno... co państwa takie rzeczy obchodzić mogą! – rzekł Anzelm.

Justyna wstała. Znać pierwszą jej myślą było pożegnać tych ludzi i odejść. Ale rysy jej wyprężyły się, zeszywniały i twarz przybrała w mgnieniu oka pozór daleko starszej, niż była istotnie. Tak z nią stawało się zawsze, gdy uczuwała silne dotknięcie jakiejś wielkiej nudy czy żałości. Łatwo można było odgadnąć, że pomimo zdrowia i siły, które z niej całej uderzały, należała do organizacji, które rychło głodnymi sercami swymi młodość swoją pożerają. Nie chciała stąd iść ani tam wracać. Co ona tam będzie robić? Znowu sztywnie siedzieć obok wystrojonej i szczebiocącej narzeczonej hrabiego, znowu patrzeć na poniewierkę siwych włosów ojca, znowu spotykać podejrzliwe spojrzenie pani Andrzejowej lub łzą oszklone oczy Klotyldy,

znowu przy każdym zbliżeniu tego człowieka, którego kiedyś pragnęła jak szczęścia, drzeć przed nim, przed nimi, przed trucizną własnego wzruszenia! Po co tam ona? komu potrzebna? Kto jej powrotu tam pragnie? A jeśli pragnie ktokolwiek, o! po tysiąc razy bodajby to pragnienie we wstręt się zmieniło! A tu? cicho, bezpiecznie i tak świeżo, jakby dla niej, rodzącej się na nowo, rodził się jakiś świat nowy.

Wzrokiem przechodząc ze zmęczonej i cierpiącej twarzy Anzelma ku pochylonej w nagłym zamyśleniu głowie Jana, z prośbą wymówiła:

– Weźcie mnie z sobą!

Anzelm uważnie i ciekawie na nią popatrzył.

– A dla ja... jakiej przy... przyczyny? – zapytał jękając się, jak zwykle bywało, gdy był zdziwiony albo wzruszony.

Zaraz jednak potwierdzająco głową skinął i czapkę prawie zupełnie nad głową podniósł.

– Owszem, owszem – uprzejmie zaprosił.

VI

Szlakiem wzdłuż ogrodu przez koła wyżłobionym i białą dziecieliną wsianym wyszli na nieszeroką drogę, która okolicę z polem rozdzielała. Długi dzień letni zbliżał się do swego końca, w cichej i świetnej glorii pogody. Na całej przestrzeni niebieskiego sklepienia ani jednej chmurki, ani nawet jednego obłoczka nie było. Szafirowe w środku, bladło ono u skłonów, na zachodzie świecąc ogromną tarczą słoneczną, samotnie ku ciemnemu borowi płynącą. Długo rozciągnięta i wraz z brzegiem rzeki w półkole nieco zginająca się okolica stała cała w złotawej mgłę utworzonej z lekkiej kurzawy, na wskroś promieniami słońca przepojonej. Z dala można by mniemać, że był to tylko gęsty pas roślinności, ale co kilkanaście lub co kilkadziesiąt kroków ukazywały się wśród tej zielonej powodzi coraz inne ludzkie siedliska. Były to szare, niskie i słomą pokryte domy, w pobliżu domów stojące świrny z wystającymi i na kilku słupkach opartymi dachami, stodoły, stajnie, obory, podwórka i sady. Niewysokie albo i całkiem niskie płoty z desek, kołków lub wzdłuż umieszczanych żerdzi nierozwikłaną dla oka płataniną rozdzielały pomiędzy sobą te zagrody, które nie stały w szeregu prosto wytkniętym, ale wypadkiem jakby rozsypane cofały się w głąb lub wysuwały naprzód, czasem znacznymi przestrzeniami osamotnione, a czasem jedne zza drugich do połowy zaledwie wysunięte i wzajem na siebie następować się zdające; czasem

zepchnięte aż na skraj wysokiej, ku rzece staczającej się góry, czasem krańcami ogrodów i tyłami stodół dosięgające przypolnej drogi. O wielkiej dawności tych siedlisk opowiadała wielka starość otaczających je drzew. Jedne z domów tonęły prawie w rozłożystych i srebro przelewających topolach, zza innych ciemne lipy wznosiły wysoko poważne swe wierzchołki; tu płaczące brzozy kładły na ściany i okna swe wiotkie gałęzie, ówdzie popielate wierzby wykrzywiały we wsze strony mnóstwo swych węzłowatych i powyszczerbianych pni albo przysadzisto po ogrodach rozsadały się odwieczne grusze, albo najrzadsze i najwynioślejsze wyrastały na dziedzińcach słupiate jawory. Niżej, młodsze od owych prastarych towarzyszy i stróży wsi, wiśniowe i śliwowe gaje nęciły wzrok głębokim cieniem swych bujnie rozrostłych wierzchołków i połączaną przez ruchome promienie słońca trawą swych podścielisk. Niżej jeszcze, tuż przy płotach albo pod ścianami świrnow i stodół, pełno było niskich leszczyn, zdziczałych malin i gęsto splecionych wiklin, wonnej piłowiei, krzaczastego żywokostu i brudnożółtych blekotów, zmieszanych ze śnieżnymi powojami lulku i kolczastymi kwiatami ostów. Tej dzikiej zarośli spod płotów i ścian wypleniać nikt tu znać nie miał czasu albo chęci, ale w zamian ogrody płynęły istotnym chaosem zmieszanych z sobą uprawnych roślin. Wszędzie tu nad zielenią niskich warzyw delikatnym lasem powiewały cienkie kminy i lebiody, maki różowo i biało kwitły, gęstą ścianą stały wysokie konopie, na wysmukłe tyki fasola rzucała zielone girlandy. U końca

ogrodów, tuż przy domach, na większych lub mniejszych grzędach mieniły się mnóstwem jaskrawych i łagodniejszych barw zmieszane, zwikłane, wzajem głuszące się i jedne nad drugimi bujające gaszty, wieczorniki, malwy, nagietki, żółte gwoździki, wysokie kiciaste rezedy, krzaczyste boże drzewka, pomarańczowe nasturcje, różowe grochy pachnące.

Wszystko to związane z sobą było podwójną siecią płotów i ścieżek. Te ostatnie w niezliczonych skrętach biegły od domu do domu, przerzynały ogrody, przeskakiwały płoty, prześlizgiwały się pod ścianami, urywały się, znikały i z gęstej zieleni wyływały znowu, przed myśl i wyobraźnię przywodząc jakieś tłumne, spójne, gromadne życie. Jak obrazek za obrazkiem, zagrody te ukazywały się jedna za drugą, z daleka i z bliska, samotne lub ściśle jedna ku drugiej przysunięte, podobne do siebie, a przecież rozmiarami swych domów, gatunkami drzew i przemagającymi barwami roślin ze sobą różne. Wspólne tło błękitu i zieleni, wśród którego rozsiane były, czyniło z nich jeden obraz rozległy i bijący w otaczające powietrze stugłośnym rozgwarem.

Justyna szeroko otwartymi oczami dokoła siebie patrzała. Znajdowała się teraz w samym niejako wnętrzu okolicy, spajającymi ją drózkami i ścieżkami postępując. Kilkadziesiąt domów, które okrążała albo przez których dziedzińce i ogrody przechodziła, zamieszkiwało kilkaset istot ludzkich, które wszystkie u końca tego dnia pogody i pracy wysypywały się na zewnątrz. Mnóstwo kraciastych spódnic i kolorowych

kaftanów kobiecych migotało wszędzie... Na dziedzińcach, wśród ogromnego gdakania kur, kobiety cienkimi głosami do nocnych siedlisk zwoływały domowe ptastwo. Inne siedziały na zagonach pieląc warzywo, inne jeszcze szły z wiadrami wody na ramionach albo w wielkich fartuchach niosły dzikie zielsko, albo przed domami myły domowe statki, albo po grzędach rwały do koszów liście sałaty, lebiody, buraków. Jednokonne i dwukonne pługi, na szeroko rozkraczonych włokach⁹⁰ położone, wracały z pola, a idący za nimi mężczyźni, starzy i młodzi, w kapotach i surdutach, w wysokich butach i bosy, w czapkach małych i zgrabnych albo wielkich i kosmatych, pokrzykiwali na konie, z daleka zamieniając się urywkami rozmów; z łąk albo od łąnów pastewnych roślin powracający pobłyskiwali kosami albo wznosili w powietrze zębiaste profile grabi. We wnętrzu domów huczały obracane żarna i stukały krosna. Na każdej drodze, za każdym płotem ożywał się tętent koni, które chłopcy wyprowadzali na nocną paszę. Jedne z nich biegły luzem, na innych jechały bosa niedorostki, w płóciennych ubraniach i z rozweselonymi twarzami pod zsuniętymi na tył głowy daszkami starych czapek. Na każdym dziedzińcu czekał lub bawiąc się z dziećmi wesoło skomlał jakiś Mucyk, Żuczek, Sargas, Wilczek, których imiona, głośno przez dzieci wykrzykiwane, rozlegały się daleko. Pod gęstymi warzywami śmigały bure i czarne koty; butne koguty z płotów i gałęzi

⁹⁰ *włoka* (a. *włóka*) – dwa skrzyżowane kije, na których po skończonej orce ciągnie się pług z pola do domu; por. czasowniki: włóczyć, wlec.

rzucały światu przeciągłe dobranoc; stada kaczek powracających z rzeki wylatywały zza góry i z krzykiem padały na trawy. W wiśniowych gajach dziewczęta podskakiwały ku okrytym jagodami gałęziom, a w pobliżu tych miejsc cienistych niejeden pług zatrzymywał się na chwilę i niejedna koza z brzękiem wikłała się wśród gałęzi, gdy jej właściciel pochylał głowę – nie wiadomo, czy ku zerwanej wiśni, czy ku uchu dziewczyny rumieniącemu się pod wetkniętą we włosy nagietką. Czasem pod ścianą domu kilka podstarzałych kobiet siedziało na długiej ławie gwarząc spokojnie, z beczynniciem na kolana opuszczonymi rękami. Czasem na koniu, prowadzonym do kuźni, przesunęła się postać młodzieńcza, tak wysmukła i zgrabna, jakby przez natchnionego snycerza wykuta, z doskonale pięknymi liniami ogorzałego i przez słońce pozłoczonego profilu. Czasem siwowłosy starzec powoli przeszedł pod szeregiem wysokich lip. Lecz w ogólności był to rój ludzki do roju pszczoł podobny, ciężki i własnoręcznie pracujący, w grubej odzieży, z grubymi rękami, z ciemną ogorzałością na twarzach i z potem na czołach – nie ponury jednak, owszem, tu i ówdzie rzucający w powietrze wybuchy śmiechów kobiecych, młodzieńczych, dzieciennych. Pieśni zaczynane i przerywane pracą wzbijały się jedną lub kilku nutami i milknąc tu, odzywały się ówdzie, to bliżej, to dalej, to skoczne, to tęskne, aż pojedynczy męski głos jakiś przetrwał wszystkie inne i rozgłośnie na dziedzińce, ogrody i aż na pola rzucił strofę tej samej pieśni, którą niedawno wygwizdywał idący za pługiem Jan...

*Przy drodze, przy drodze jawor rozkwitnąwszy,
Gdzie pojedziesz, mój Jasieńku, konia osiodławszy...*

Może śpiewałby dalej, ale około najbliższego domu powstał krzyk zmieszany z lamentem i śmiechem. Na drodze ściśniętej pomiędzy płotami dwóch zagród ukazała się para ludzi, z których jeden był małym, przygarbionym starcem, w płóciennej, aż do stóp zapiętej kapocie, a drugą – wysoka, pleczysta dziewczyna w różowym kaftanie i z kasztanowatymi włosami. Śnieżnie biała kapota nie była bielsza od włosów staruszka, z rzadka rozsianych po żółtej jego czaszce, a twarz jego bezzębna, malutka od ściągających ją zmarszczek, okryta była w tej chwili wyrazem nieprzytomnego przerażenia, które objawiało się także w widocznym drzeniu rąk jego i całej szczupłej, zwiedłej postaci. Nie mógłby był pewnie ustać na płaczących się i podrygujących nogach, gdyby go wielka i silna dziewczyna w pół nie obejmowała, twarz swą ku twarzy jego pochylając i czasem łagodnie, a czasem z wybuchającą energią przemawiając:

– Niech dziadunio uspokoi się! Niech dziadunio do chaty powraca! Pacenko nie przyjechał! Pacenki nigdzie nie ma. On już po babulkę nie przyjedzie! On już umarł i babulka umarła! Proszę nie dziwaczyć i do chaty wracać!

Ale stary prostował się z całej siły i na perswazje dziewczyny nie zważając, dygocącym głosem bełkotał i wykrzykiwał:

– Pójdę! Znajdę! Zabiję zwoznika! Babulki nie dam. Gdzie on jest? Chodźmy, Jadwiśku, szukać! Prędzej chodźmy!

Dziewczyna podtrzymując wciąż jego chwiejącą się postać

powtarzała:

– Pacenki nie ma! Pacenko umarł i nigdy już nie przyjedzie!
To tylko te złe chłopcy Ładysiowe dziadunia tak straszą.

Ale stary rwał się naprzód i swoje powtarzał, a coraz więcej trzął się i zwiędłą ręką w powietrzu wygrażać zaczynał. Za nim dwaj chłopcy, bosi, gołogłowi, z minami wiejskich urwisów, wyskakiwali śmiejąc się głośno i powtarzając:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.